cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #234 06/2026

Dawid Wildstein
CO PLATON MYŚLAŁ O AI?

Tomasz Łysiak
UPRZEJMY MILICJANT – PORADNIK NA DZIŚ!

Antoni Rybczyński
CZARNA FLAGA NAD CZARNYM LĄDEM. DŻIHAD W AFRYCE

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

OKŁADKA: MARIUSZ TRZOLIŃSKI

ISSN 1895-4960

OBŁAWA NA WOLNE SŁOWO

TEMAT NUMERU 4–14



Tusk likwiduje wolność słowa. Po włamaniach będą morderstwa polityczne? / 4

IDEE 16–29



Gdy łzy dobrej siostry potrafią zdziałać cuda / 16

HISTORIA 36–63



W chmurach i na nieludzkiej ziemi. Opowieść o Józefie Czapskim / 36

KULTURA 68–79



Upadłe Hollywood w każdym domu / 68

ŚWIAT 80–97



Trump w Chinach. Pekin pokazał klatkę, Zachód wpadł w histerię / 80

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Tusk likwiduje wolność słowa. Po włamaniach będą morderstwa polityczne? 4

Z prof. Ryszardem Legutką rozmawia Jakub Maciejewski
Wojna tusko-polska 10

IDEE

Stefan Czerniecki
Gdy łzy dobrej siostry potrafią zdziałać cuda 16

Dawid Wildstein
Co Platon myślał o AI? 21

Małgorzata Matuszak
Dzieciństwo na pokaz 26

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
W chmurach i na nieludzkiej ziemi. Opowieść o Józefie Czapskim 36

Tomasz Łysiak
Uprzejmy milicjant – poradnik na dziś! 42

Dariusz Jarosiński
Tajemnicze misje Józefa Hieronima Retingera 46

Ewa Polak-Pałkiewicz
Wielkie ucieczki Polaków 52

Agnieszka Kowalczyk
Filomackie Wilno. Miasto „winnych zbrodni patriotyzmu” 58

KULTURA

Mateusz Matyszkowicz
Upadłe Hollywood w każdym domu 68

Krzysztof Karnkowski
Z krzyżem i różańcem przez kraj 72

Łukasz Czarnecki
Herosi, jakich świat nie widział 76

ŚWIAT

Hanna Shen
Trump w Chinach. Pekin pokazał klatkę, Zachód wpadł w histerię 80

Antoni Rybczyński
Czarna flaga nad Czarnym Lądem. Dżihad w Afryce 85

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 90

oprac. Antoni Rybczyński
Kryzys w Putinlandzie 93

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Potrzeba niezależności
NA POCZĄTEK 3



Marcin Wolski
Ucieczka od wolności
PAPKULTURA 9



Małgorzata Matuszak
Czym jest... harmonia
KATECHIZM INTELIGENTA 15



Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Kryzys mniejszych miast. Najgorsze przed nami
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 30



Krzysztof Wołodźko
Odrzucony świat. Pamiętniki wiejskich kobiet
DZIENNIK LEKTUR 70



Marek Kalinowski
Flea kontra jazz
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 98



Tomasz Sakiewicz
Wrogowie demokracji
OSTATNIE SŁOWO 99

„NOWE PAŃSTWO”
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 22 290 29 58 (wew.1)
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

Potrzeba niezależności

Niezależność traktujemy wyjątkowo poważnie. Po pierwsze, dajemy szansę na realną dyskusję, a po drugie, krytykujemy merytorycznie nawet tych, z którymi najczęściej się zgadzamy. Na tym polega uczciwe dziennikarstwo.

W demokracji dziennikarze – w imieniu obywateli – kontrolują władzę. Jest zupełnie oczywiste, iż mają swoje poglądy, ale jednocześnie są zdolni do uczciwej krytyki zarówno tych, którzy są im światopoglądowo bardzo odlegli, jak i tych znacznie im bliższych. Tak to powinno działać i w wielu cywilizowanych miejscach na świecie właśnie tak wygląda. W Polsce ogromna część mediów jest po prostu elementem systemu postkomunistycznego, a niektóre dodatkowo – jako byty finansowane z zagranicy – reprezentują interes właścicieli. Nie wiem, jak bardzo trzeba być naiwnym, by wierzyć, że firma medialna mająca centrum swych interesów poza Polską, wprost finansowana przez państwowe spółki obcego państwa, będzie działać wbrew celom swego płatnika i decydenta. Wiele krajów uniemożliwia taki proceder, bo wie, iż gra polityczna toczy się nie tylko między politykami, lecz przede wszystkim w dyskusji publicznej. Można torpedować żywotne interesy Rzeczypospolitej, umiejętnie manipulując opinią publiczną i przez nią wpływać na decyzje władz naszego państwa albo wręcz kształtować sympatie wyborcze poprzez media. Niby jest to oczywiste – ale w Polsce absolutnie niedoceniane przez samych obywateli i polityków. Telewizja Republika całkowicie wyłamuje się z tych schematów. Nie jest częścią postkomunistycznego układu, przeciwnie – bardzo ten układ zwalcza. Nie jest uzależniona od zewnętrznego właściciela, przeciwnie – tropi i demaskuje tego rodzaju zależności. Można zatem powiedzieć, iż stoimy w kontrze do wszystkich dominujących w naszej debacie publicznej schematów. Bo niezależność traktujemy wyjątkowo poważnie. Po pierwsze, dajemy szansę na realną dyskusję, a po drugie, krytykujemy merytorycznie nawet tych, z którymi najczęściej się zgadzamy. Na tym polega uczciwe dziennikarstwo. Dlatego właśnie jesteśmy obiektami szaleńczych napadów kryptodyktatury rządu Donalda Tuska, a jednocześnie często krzywo na nas patrzą ci, którzy oczekują, iż zawsze będziemy im przyklaskiwać, nawet wówczas, gdy popełniają fatalne błędy lub zwyczajnie oszukują opinię publiczną. Otóż nie! Nie będziemy ulegać atakom rządzących ani pomrukom niezadowolenia wszystkich innych. Na tym polega niezależność. ■

> Nie będziemy ulegać atakom rządzących ani pomrukom niezadowolenia wszystkich innych. Na tym polega niezależność.

Piotr Lisiewicz



Tusk likwiduje wolność słowa. Po włamaniach będą morderstwa polityczne?

Rząd Donalda Tuska brutalnie walczy z wolnością słowa, dlatego że jest najbardziej zakłamanym rządem w historii III RP. To zawsze idzie ze sobą w parze: totalne kłamstwo władzy wymaga monopolu informacyjnego, bo przez każdą wyrwę w nim prawda wlewa się eksplodującym strumieniem. A przekorni Polacy pragną wolności jak żaden inny naród. Stąd ogromny sukces Telewizji Republika. I stąd także najbrutalniejsza w historii III RP akcja przeciwko wolnemu słowu, łącznie z włamaniami do mieszkań, zakuwaniem w kajdanki czy próbą odebrania koncesji.

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI

Sprawdzanie instalacji gazowej, poszukiwanie terrorysty z ładunkiem wybuchowym, hałas, kontrola dokumentów – pod takim pozorem białoruska KGB oraz GUBOPiK (Główny Wydział ds. Zwalczania Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji) wkraczały do mieszkań białoruskich dziennikarzy. Było skuwanie kajdankami oraz wyważanie drzwi, bo szukano nieistniejącego terrorysty pod nieobecność dziennikarza.

» Putin uderzał w Gusińskiego, Tusk w Republikę

Tak się zaczęło na Białorusi wiele lat temu. Tak, słusznie Państwo zauważyli podobieństwo. Koalicja 13 grudnia jest obcym wynalazkiem i tylko imituje metody walki z obozem niepodległościowym wymyślone gdzie indziej.

No więc tak się zaczęło, a potem narastało, pojawiały się nowe powody do interwencji wobec dziennikarzy, jak „podsycanie nienawiści społecznej" oraz „nawoływanie do wyrządzenia szkody bezpieczeństwu narodowemu". Jak tłumaczył Aliaksei Shota, redaktor naczelny i wydawca Hrodna.life, przemiana państwa dokonywała się niepostrzeżenie: „Praca dziennikarzy zmienia się w pracę partyzancką. Trzeba cały czas uważać, chować sprzęt, nie być w domu od 6 rano do 23 wieczorem, chodzić z wyłączonym telefonem. Reżim, który był »autorytaryzmem o tendencjach totalitarnych«, na naszych oczach zmienił się w prawdziwy totalitaryzm" (Presserwis). Czy, patrząc na Rosję, jesteśmy w sytuacji podobnej do tej z 2000 roku, gdy po dojściu do władzy Putina uzbrojeni po zęby funkcjonariusze służb bezpieczeństwa wkraczali do stacji NTV Władimira Gusińskiego?

To ma być rosyjsko-białoruski scenariusz, który władza chce zrealizować w Polsce? Ale dlaczego? Czy ona nie wie, że Polacy mają w swojej kulturze najsilniejsze z możliwych

wzorce buntu przeciwko ograniczaniu wolności, w tym wolności słowa?

» „Wielkość prawdy przeraża i demaskuje kłamstwa ludzi małych, zalęknionych"

Pisząc ten tekst, zacząłem przypominać sobie historyczne słowa ważnych Polaków o prawdzie oraz wolności i niesamowite wrażenie na mnie zrobiło, że w ciągu dwóch i pół roku niepostrzeżenie stały się one opisem naszej rzeczywistości.

Skąd sukces Telewizji Republika, która przyczyniła się do zwycięstwa Karola Nawrockiego? Ksiądz Jerzy Popiełuszko mówił o tym: „By opanować całą technikę zaprogramowanego kłamstwa, trzeba wielu ludzi. Tak wielu ludzi nie trzeba, by głosić prawdę. Ludzie znajdą, ludzie przyjdą z daleka, by słów prawdy szukać, bo w ludziach jest naturalna tęsknota za prawdą". Jakie są skutki obecności w życiu publicznym prawdy? „Prawda zawsze ludzi jednoczy i zespala. Wielkość prawdy przeraża i demaskuje kłamstwa ludzi małych, zalęknionych" – wyjaśniał ksiądz Jerzy. I cytował słowa prymasa Stefana Wyszyńskiego, który opisywał sposób działania medialnej machiny w 2026 roku: „Słów kłamstwa musi być dużo, bo kłamstwo jest detaliczne i sklepikarskie, zmienia się jak towar na półkach. Musi być ciągle nowe, musi mieć wiele sług, którzy wedle programu nauczą się go na dziś, na jutro, na miesiąc; potem znowu będzie szkolenie na gwałt w innym kłamstwie".

Przecież to szkolenie w coraz to nowych kłamstwach widzimy na co dzień, gdy siła polityczna, która wyprowadzała ludzi na ulice w obronie konstytucji, demonstracyjnie depcze konstytucję w imię wyższości opanowanych przez Niemcy europejskich trybunałów. Gdy krzycząc wcześniej o walce z wymyśloną dyktaturą, wprowadza na obcy rozkaz dyktaturę prawdziwą. Gdy narzekając wcześniej na represje, zamyka ludzi do więzienia za przekonania. Gdy najpierw walczyła, by Polska wpuściła nielegalnych imigrantów, a dziś mówi, że to PiS ich wpuszczał za łapówki. Gdyby to były „zwyczajne" kłamstwa polityków spotykane pod każdą szerokością geograficzną, nie byłoby potrzeby likwidowania Republiki i wpadania do mieszkań jej dziennikarzy. Ale kłamstwo totalne wymaga totalnej cenzury. Obecna władza przekonała się, że bez tego nie złamie obozu niepodległościowego. Że istnienie stacji, która prostuje każde kłamstwo i ujawnia każdy fakt, który władza chciałaby ukryć, jest największą przeszkodą w realizacji planów obcych sił, którym służy.

» Kłamstwo bolszewickie kontra Telewizja Republika

W powieści „Droga donikąd" Józef Mackiewicz opisał fenomen kłamstwa bolszewickiego. Jeden z bohaterów powieści, Tadeusz, mówi: „Bolszewicy dokonali naprawdę epokowego wynalazku… Natura ludzka, wskutek swej niedoskonałości, nie jest w stanie posiąść prawdy absolutnej. W tych warunkach kłamstwo w dziedzinie psychicznej jest zjawiskiem równie naturalnym, jak, powiedzmy, w dziedzinie fizycznej jest nim żywioł powietrza, wody i tak dalej, bez których nie możemy się obejść. Niezależnie od tego, czy będzie to kłamstwo złe, złośliwe, czy też niewinne, towarzyskie, czy, jak bywa, miłosierne".

Oczywistość? Tak, ale komuniści wyciągnęli z tej oczywistości wnioski, jakich nie wyciągnął nikt dotąd w historii. Tadeusz objaśnia: „Ongiś znalazł się wielki wynalazca, który pod żywioł wody podstawił koło… Identycznie zrobili bolszewicy: pod naturalny potencjał ludzkiego kłamstwa podstawili młyńskie koło… żeby przepytlować ludzką psychikę". Bolszewicy ustalili, że „skoncentrowane kłamstwo ludzkie posiada siłę, której granic na razie nie znamy, że można dokonać przewrotu gruntownego w takich dziedzinach, jak mowa ludzka, znaczenie słów itd.".

Na czym polega „technika bolszewicka"? Tadeusz objaśnia Pawłowi: „Bolszewicy… wskazują sufit i mówią od razu: »Widzicie ten sufit… On jest czarny jak smoła«… Ty myślisz, że to jest ważne dla ludzi, że prawda jest odwrotna?... A oni się przekonali na podstawie praktyki, że to wcale nieważne". Niemożliwe? Tadeusz zwraca uwagę, że niemożliwe może być coś jedynie dopóty, dopóki istnieje możliwość wytknięcia kłamstwa palcem. Z chwilą „gdy palec zostanie sparaliżowany, wszystko staje się do pomyślenia". Ludzie oczywiście przez jakiś czas wiedzą swoje, ale stan paraliżu trwa coraz dłużej. A władza zaszczepia im nowy język: „Odbierz ludziom pierwotny sens słów, a otrzymasz właściwie ten stopień paraliżu psychicznego, którego dziś jesteśmy świadkami".

I proces ten postępuje. Wczoraj ogłoszono, że wspomniany sufit jest czarny. Ale, jak mówi Tadeusz, bolszewicy na tym nie poprzestają: „I oto widzimy jak dochodzą do następnego etapu, powiadając do ludzi: »A teraz wyobraźcie sobie, że istnieją podli kłamcy, wrogowie wszelkiej prawdy naukowej, postępu i wiedzy, którzy… ośmielają się łgać w żywe oczy, że sufit jest biały!«. I zebrany tłum wyrazi swe oburzenie, wzgardę, a nawet śmiać się będzie i wykpiwać tak oczywiste kłamstwa tych wrogów prawdy".

Telewizja Republika stała się tym palcem, który wskazuje na kłamstwa, robiąc to profesjonalnie, z polotem i skutecznie. I nie pozwala na odebranie słowom pierwotnego sensu, wyśmiewając nowomowę władzy o „uśmiechniętej Polsce". To władza stała się obiektem dowcipów, a nie ci, których ogłasza „wrogami prawdy".

» „Skazani na przemawianie potwornym, niewolniczym językiem Ezopa"

Oczywiście bieżące kłamstwa władzy nie mogłyby funkcjonować, gdyby nie ich historyczne podłoże. Mackiewicz był zwolennikiem zbrojnego obalenia komunizmu. Nie wierzył w pokonanie go poprzez pokojową ewolucję. Za najgroźniejszą broń przeciwko komunizmowi uważał prawdę. Życie nie poszło w kierunku, którego Mackiewicz był zwolennikiem. Po 1989 roku komunizm nie został obalony zbrojnie. Przeszedł ewolucję, w wyniku której powszechnie stwierdzono jego upadek. Największym problemem nowego ustroju okazał się brak przywrócenia prawdy.

Zbigniew Herbert mówił o nim na łamach „Tygodnika Solidarność" w 1994 roku: „Wielu z nas sądziło, że po 1989 roku, choć nie zbudujemy od razu raju na ziemi, to przynajmniej otrząśniemy się z dawnego kłamstwa. Nie było to możliwe, ponieważ ludzie nie stworzyli języka prawdy". To postkomuniści stworzyli wielkie media. To oni dali w nich prawo zabierania głosu tym, którzy stworzyć nowego języka nie chcieli. Albo nie mogli. A do tego ci, którzy w nowej rzeczywistości byli predysponowani do stworzenia nowego języka, tkwili po uszy w starym. Elity uniwersyteckie, pisarze, media.

Otóż Telewizja Republika jest najpoważniejszym pod 1989 roku projektem dążącym do stworzenia języka prawdy. Także dlatego, że nie ma ograniczeń wynikających z dyscypliny partyjnej, jak media publiczne. I dlatego że stworzyli ją ludzie odważni, nonkonformiści zahartowani i zaprawieni w bojach o prawdę w mediach biednych, niszowych.

Dodatkowo zderzyło się to z próbami ze strony władzy, by odebrać Polakom ich historię i tradycję, czym zajmuje się minister Barbara Nowacka. To zjawisko trafnie opisywał Józef Piłsudski: „Dosyć sobie przedstawić ludzi, którzy nie mają prawa czytać niesfałszowanej historii swego narodu: dosyć widzieć utwory naszych wieszczów, pokaleczone brutalną ręką cenzorów; dosyć pomyśleć, że istnieje nowoczesne społeczeństwo, w którym stronnictwa polityczne albo są pozbawione prawa istnienia, albo w najlepszym razie

skazane na przemawianie potwornym, niewolniczym językiem Ezopa; dosyć wyobrazić sobie, że szeroka, tak bolesna dla nas działalność rządowa podlegać nie może wcale publicznej krytyce – a często nawet zwykłemu omówieniu; dosyć tego wszystkiego, by wiedzieć, jak nie odpowiadającym potrzebom społeczeństwa jest stan legalnego słowa drukowanego, jak poniżająco wyglądamy wobec innych narodów". To poniżenie Polaków, by nie mieli odwagi podnosić głów, jest ważnym celem obecnej władzy.

» Komunizm, Falzmann, Smoleńsk, czyli źródła obecnej koalicji

Obecną koalicję rządzącą tworzą politycy, którzy nigdy nie chcieli wolności słowa, bo zagrażałaby ich interesom. Włodzimierz Czarzasty i Władysław Kosiniak-Kamysz to politycy wywodzący się z partii o totalitarnym rodowodzie – PZPR i ZSL. Wychowali się na tradycji, według której wolności słowa, na którą zezwala państwo, nie było WCALE. W ich politycznym DNA normalne jest, że za krytykę władzy idzie się do więzienia. Z kolei Donald Tusk wywodzi się z tradycji tzw. aferałów, czyli Kongresu Liberalno-Demokratycznego, a więc ludzi, którzy po 1989 roku dzięki układom z komunistami szybko dorobili się ogromnych pieniędzy. Te interesy wymagały nie tylko sądowej, lecz także medialnej ochrony. To był model państwa, w którym śmierć inspektora Michała Falzmanna, inspektora NIK, który postanowił na serio badać aferę FOZZ, była czymś normalnym. Podobnie jak rozkręcanie śrub w kołach w samochodach dziennikarzy na serio zajmujących się aferami III RP. „Wolność? Po co wam wolność, macie przecież Unię Wolności" – kpiliśmy z tej ich „wolności".

To środowisko w 2010 roku poznało siłę monopolu medialnego, tuszując zamach w Smoleńsku. Tamte wydarzenia pokazały, co może się stać, jeśli trzy największe telewizje znajdą się w rękach kłamców. Było jak w powieści Mackiewicza. Pod Krzyżem Pamięci tłum kpił i rechotał z tych, którzy mówili, że sufit jest biały. Czyli że to zamach Putina.

» Czy oni szykują nam nowy Smoleńsk?

Do czego przygotowaniem są wejścia państwowych służb do mieszkań przeciwników obecnej władzy? Akcja ta eskalowała – zaczęło się od dziennikarzy, a potem było spuszczanie się po linie na balkon niedawnego szefa BBN prof. Sławomira Cenckiewicza i wyłamywanie drzwi w domu prezydenta Karola Nawrockiego. Ta eskalacja była przemyślana.

I tak jak przy każdej prowokacji, wciągnięci byli w nią zarówno ludzie służb, którzy wiedzieli, co robią, jak i ci całkiem przypadkowi. To coraz bardziej przypomina atmosferę sprzed 10 kwietnia 2010 roku, gdy państwo znalazło się w stanie takiego chaosu i nieskuteczności służb, że prezydent praktycznie nie był chroniony. Po 10 kwietnia jednym z argumentów przeciwko zamachowi miał być fakt, że prezydent Lech Kaczyński, lecąc do Gruzji w 2008 roku, miał kazać lądować pilotowi w Tbilisi. Czy nasze obecne słowa o nadgorliwości służb mają być wykorzystane podobnie, gdy w przyszłości nie zareagują one na ładunki wybuchowe podłożone naprawdę? Czy to ma być nowy Smoleńsk? Donald Tusk ma wpisane doprowadzanie państwa do takiego stanu w swoje polityczne DNA. Skoro po zatuszowaniu przez niego zamachu w Smoleńsku pozwoliliśmy mu na powrót do władzy, to ponosimy tego konsekwencje.

Teraz jest moment, w którym, przy ogromnej mobilizacji milionów Polaków, jeszcze możemy zatrzymać proces niszczenia wolności słowa, po którym kolejnym etapem są polityczne morderstwa. Za chwilę może być za późno. ■

Marcin Wolski

Ucieczka od wolności

Tylko nieliczni wierzą w wolność bez ograniczeń. Przykładem może być obywatel Ukrainy, który dojechał samochodem do Morskiego Oka, łamiąc wszelkie możliwe przepisy i łapiąc punkty karne. Zapewne nie znał starej definicji Marksa, że „wolność to uświadomiona konieczność". Pytanie, co było dla niego koniecznością? Przejrzenie się w tatrzańskim jeziorze czy mandat?

Tym sposobem osobista wolność zderzyła się z potęgą państwa, które uważa, że wie lepiej, co wolno, a czego nie wolno. Bezsprzecznie wolno oddychać, ale czy od razu mówić? Jądro koalicji tuskowej to podobno liberałowie, ale uznanie ich za szczególnych miłośników wolności byłoby grubą przesadą.

Przed laty Jacek Kuroń uwielbiał popisywać się bon motem przypisywanym Wolterowi: „Nie zgadzam się z twoimi poglądami, ale po kres moich dni będę bronił twego prawa do ich głoszenia". Sam Wolter nie doczekał praktycznej realizacji tego hasła, ale wielu z jego uczniów poszło po rozum do głowy dopiero, gdy ta już została ścięta przez gilotynę.

Znaczną część mego życia poświęciłem na poszerzanie przyczółków swobody.

Kabarety, radiowa Trójka – były miejscami, w których centymetr po centymetrze poszerzało się pole swobody. W trakcie karnawału Solidarności wydawało się nawet, że cel jest blisko. Ale generał Zomoza nałożył ciemne okulary i skasował nam teatrzyk.

Jednak smak swobody był zbyt słodki, żeby go zapomnieć, toteż kiedy wygraliśmy podczas wyborów czerwcowych, spodziewaliśmy się, że wchodzimy do Arkadii wolnego słowa – upadł mur berliński, rozpadł się Związek Sowiecki, skasowano cenzurę… I wydało nam się, że już można oddychać pełną piersią. Odkłamywano historię, debatowano o programach, nikomu nie przychodziło do głowy, by cenzurować moje szopki czy „Polskie zoo", co pogłębiało przekonanie, że będzie tak zawsze.

Aliści dość szybko okazało się, że każdy z nas trafił lub też został przypisany do określonej bańki medialnej – posiadającej swoje prawdy, pewniki i swoich demiurgów. Światy „Gazety Wyborczej" i „Gazety Polskiej" rozjechały się bardziej niż kontynenty wedle teorii Wegenera. A wraz z budownictwem kapitalizmu walka tylko się zaostrzyła, w warunkach swoistej militaryzacji – przekaz musiał się uprościć i ujednolicić. Choć mówiąc szczerze, tylko jedna strona uczyniła kłamstwo swym głównym orężem.

Może dlatego, że trzymając się prawdy, nie miałaby szansy wygrać. No i jest, jak jest! Biada temu, kto w neoinfo powiedziałby dobrze o Nawrockim, albo gdyby jakiś zielony wydawca zaprosił mnie dziś do TVN24, nawet do programu zajmującego się filatelistyką. I na tym właśnie polega dziś wolność słowa. Czy tak daleko odpłynęliśmy od PRL-u? Wówczas było kilka niepodważalnych pewników – walka ZSRS o pokój, wyższość gospodarki planowej nad socjalistyczną, przewodnia rola partii i niezłomne trwanie Polski w socjalistycznej wspólnocie… I to chroniła armia cenzorów. Od tamtych czasów sporo się zmieniło, ale czy naprawdę tak bardzo?

Najważniejsza różnica z tamtymi czasami – nikt, łącznie z kadrą partyjną, nie wierzył w obowiązujące dogmaty, dziś z sobie znanych powodów cała rzesza lemingów dałaby się za nie pokroić. Dlaczego? Czy samodzielne myślenie aż tak boli? Ucieczka przed wolnością trwa. Pytanie, gdzie się zatrzyma. ■



Rozmawia
Jakub Maciejewski



Wojna tusko-polska

Od filozofii Sokratesa po „wojnę tusko-polską", czyli próba odpowiedzi na pytanie, dlaczego współczesne społeczeństwo polskie tak łatwo poddaje się emocjom, propagandzie i politycznej nienawiści. Profesor Ryszard Legutko w rozmowie z „Nowym Państwem" przekonuje, że dzisiejszy spór w Polsce nie jest zwykłą partyjną wojną, lecz starciem o przetrwanie polskiej podmiotowości, której naprawdę zagraża jeden konkretny człowiek – Donald Tusk.

» Na potrzeby naszej rozmowy odświeżyłem sobie Pańską monumentalną pracę „Sokrates". I zastanawiam się – w obliczu refleksji greckiego filozofa – czy powszechna głupota, polityczna degeneracja, zwłaszcza w ustroju demokratycznym, nie powinny jednak powodować mniejszego zdziwienia czy oburzenia w Pańskiej działalności politycznej i komentowaniu polityki? Mam na myśli choćby Pański stosunek do przeciwników politycznych, Donalda Tuska czy Koalicji Obywatelskiej. Sokrates był przecież świadkiem niemal wszystkich głupot i łajdactw złotego wieku Aten. Może więc w krytyce partii Donalda Tuska Pan Profesor jednak przesadza?

To są właściwie dwie kwestie: jedna dotyczy Sokratesa, druga Donalda Tuska. Powiedziałbym jednak, że – przy zachowaniu wszelkich proporcji – moje zachowanie i zachowanie Sokratesa nie różnią się aż tak bardzo. Sokrates rzeczywiście opisywał bezrefleksyjność demosu i przywódców. „Głupota" jest zresztą słowem niewiele wyjaśniającym. Chodziło mu raczej o stadność reakcji, o fałszywe poglądy, nad którymi nikt się nie zastanawia, o gwałtowność zachowań wynikającą z nadmiernej pewności siebie.

Sokrates twierdził, że demokracja jest systemem głęboko antyintelektualnym – że właściwie nie da się tam rozmawiać, bo wszystkim rządzą emocjonalne fale, nierozumnie pchając ludzi w rozmaite strony. A mimo to Sokrates całe życie rozmawiał. Swoje życie poświęcił temu, by wszczepić w ten świat choć trochę logosu, elementu argumentacyjnego, intelektualnego.

» Te próby nauczania świata, którego nauczyć tak w zupełności się nie da, nazywał Pan Profesor „paradoksem Sokratesa".

Jak wiemy, nie do końca mu się udało, ale przetrwał jako ktoś, kto miał rację. I proszę zwrócić uwagę: Sokrates miał bardzo ostre opinie o demokracji. Jego sądy były łagodniejsze niż moje o Tusku i jego środowisku. Mówił przecież o chorobie, o ropniu paraliżującym miasto-państwo. Jego poglądy były niezwykle krytyczne. Uważał, a później rozwijał to Platon, że Ateny znajdują się na drodze do upadku. Ja również uważam, że to, co robią Donald Tusk i ludzie z nim związani, może doprowadzić do upadku Rzeczypospolitej. Ateny rzeczywiście upadły, również z powodu dodatkowego czynnika, jakim była przegrana wojna ze Spartą. My dziś nie prowadzimy wojny zewnętrznej – toczy się raczej wojna wewnętrzna, polsko-polska czy raczej tusko-polska.

» Na ile jednak zjawisko Tuska jest wyjątkowe? Przecież populizm, pobudzanie negatywnych emocji, mobilizowanie prostactwa i chamstwa – to wszystko jest klasyką demokracji. A Pan Profesor podkreśla wyjątkową zawziętość i destrukcyjność tego człowieka.

Tak, podkreślam. Ale to ma kilka warstw. Z jednej strony są to moje osobiste doświadczenia. Wszedłem do polityki w 2005 roku, dostałem się do Senatu z list PiS-u. To był moment nowego otwarcia. W moim okręgu krakowsko-małopolskim mieliśmy właściwie nieformalny PO-PiS: dwóch senatorów z PiS-u i dwóch z Platformy. Pamiętam tamten pierwszy okres w parlamencie. Zerwanie koalicji przez Tuska było dla wielu z nas bolesne, bo istniała wtedy realna nadzieja po wszystkich aferach wcześniejszych lat. I właśnie Tusk – jednoosobowo – doprowadził do rozpadu tej możliwości współpracy. Nie twierdzę, że koalicja trwałaby wiecznie, ale samo jej zerwanie wynikało z kalkulacji całkowicie prywatnej,

FOT. FILIP BŁAŻEJOWSKI/GAZETA POLSKA

egoistycznej. Z urazy po przegranych wyborach. Miał wygrać – przegrał.

Pamiętam jednak także coś jeszcze: proces narastania nienawiści. Wielu ludzi z Platformy, których znałem, wcale nie cieszyło się z tego konfliktu. Weszli do parlamentu z podobną nadzieją jak ja – że będziemy coś robić dla Polski, a nie bez końca się naparzać. I widziałem, jak postępuje ta trucizna, którą Tusk wstrzykuje. Oczywiście później stało się to już całym mechanizmem, ale u źródła był jeden człowiek. Co więcej – i to jest chyba najbardziej niezwykłe – ta niszczycielska energia wcale się nie zużywa. Wbrew drugiej zasadzie termodynamiki: im dłużej trwa, tym bardziej rośnie.

» I sama się nie zatrzyma.

Dziś mamy konflikt wewnętrzny tak głęboki, że właściwie nie widać jego końca. Trudno sobie wyobrazić, jak Polska miałaby się uspokoić. Jaki miałby być finał? Całkowita marginalizacja albo delegalizacja opozycji? Przecież druga strona nie wykazuje żadnych odruchów pojednawczych.

To właśnie czyni Tuska wyjątkowym. Po pierwsze, był inicjatorem tego konfliktu. Po drugie, doprowadził do sytuacji, której końca nie widać. A po trzecie, stworzył mechanizm wpisujący się w szerszy, międzynarodowy proces formatowania świadomości. Doszło bowiem do czegoś niezwykle groźnego: całkowitego sformatowania umysłów części społeczeństwa w taki sposób, że rozmowa o faktach staje się niemożliwa. Ludzie mają już wprzódy ustawione reakcje. Przykład? „Profesorka" Środa napisała niedawno o ministrze Żurku, że jest „sprawnym, ale praworządnym ministrem, więc wszystko idzie mu wolniej i mniej spektakularnie". Żeby napisać takie zdanie, trzeba mieć naprawdę osobliwy stosunek do rzeczywistości. Można było przecież powiedzieć: „nagina prawo, ale robi to w dobrej sprawie". Natomiast stwierdzenie, że ktoś łamiący prawo jest „praworządny", jest jak twierdzenie, że koło jest kwadratowe. I to właśnie widzę dziś wszędzie: ogromną trudność dotarcia do ludzkich umysłów. Sokrates już o tym mówił, ale dziś istnieje potężny ponadnarodowy mechanizm formatowania świadomości. Nie ma jednego centrum dowodzenia – i właśnie dlatego tak trudno się temu przeciwstawić.

» Intuicja nakazuje mi sprzeciwić się takiej nobilitacji Tuska. Przecież istniały także inne siły: postkomuniści, środowisko Unii Wolności ze swoim poczuciem wyższości wobec „Polski tradycyjnej", „Gazeta Wyborcza". Czy nie przeceniamy tej postaci? Nie widać przecież w Tusku ani wielkiego intelektu, ani wizjonerstwa.

Wie pan, stworzenie eleganckiego serwisu kawowego wymaga talentu i pracy. Ale żeby go rozbić – już niekoniecznie.

Rzeczywiście, Tuska często deprecjonowano: że leniwy, że jako wicemarszałek Senatu niewiele robił. Poprzednie rządy pod jego premierostwem były również marne. Podobnie obecne. Wszystkie parametry po objęciu władzy zaczęły spadać. Ale jedna rzecz działa nieprzerwanie: pogłębianie wojny tusko-polskiej. Niemal wszyscy zwolennicy Tuska wskoczyli na ten wagon i pociąg ruszył. Zapewne Tuskowi pomaga niedobra polska tradycja głębokich sporów wewnętrznych, nawet wtedy, gdy znajdujemy się nad przepaścią, którą jest utrata niepodległości. Mieliśmy to w wersji skrajnej pod koniec trwania I Rzeczypospolitej, a w II Rzeczypospolitej nie działo się lepiej.

Dziś naprawdę stoimy nad przepaścią. Niewiele potrzeba, byśmy utracili niepodległość. Jak to się dzieje, że tak wielu ludzi tego zagrożenia nie widzi i wciąż wierzy Tuskowi, który nas ku tej przepaści pcha – tego do końca wyjaśnić nie potrafię.

» Jaki może być cel projektu politycznego Tuska? Rozpłynięcie się Polski w żywiole europejskim? Osobista kariera? Budowanie legendy jako męża stanu?

Tusk nie ma żadnych poglądów. Zresztą podobnie jak większość ludzi wokół niego. Platforma Obywatelska jest od dłuższego czasu partią bez poglądów. Tusk zmieniał maski bez końca: od dni skupienia w Łagiewnikach, przez liberalizm gospodarczy i podatek liniowy, konserwatyzm, aż po dzisiejszy antypopulizm. A jego zwolennicy zmieniali się razem z nim, nie reagując na te sprzeczności. Napisałem kiedyś, że uważam go za osobowość socjopatyczną, człowieka, który mści się na Polsce. Spełnieniem tej zemsty byłoby pełne uzależnienie Polski od struktur europejskich, w których sam odgrywałby rolę namiestnika lub ważnego funkcjonariusza.

Dziś naprawdę stoimy nad przepaścią. Niewiele potrzeba, byśmy utracili niepodległość.

Ale jest jeszcze coś innego. Polityka ma w sobie pewien żywioł konieczności. Od pewnego momentu polityk wpada w proces, z którego trudno się wycofać. I mam wrażenie, że Tusk zabrnął już tak daleko w niszczeniu polskiej podmiotowości, iż jedyną racjonalną drogą z jego punktu widzenia jest doprowadzenie tego procesu do końca. Bo jeśli Polska zachowa niepodległość, będzie musiał kiedyś odpowiedzieć za swoje działania. Osłabianie i uzależnianie Polski obiecuje mu gwarancję bezpieczeństwa.

» Czy to jednak nie oznacza bardzo niskiej oceny polskiego społeczeństwa? Mówimy przecież o narodzie z tradycją republikańską, solidarnościową, wolnościową. A jednocześnie ogromna część Polaków akceptuje – albo wręcz uwielbia – polityka, którego Pan określa jako pałkarza i zamordystę. Kim więc jesteśmy?

Czasami mam wręcz wrażenie, że Tusk pogardza również własnymi wyborcami. Jakby mówił: „Myślicie, że nie mogę zrobić skończonego głupka rzecznikiem rządu? Mogę. I co mi zrobicie?". Albo: „Starego komucha uczynię drugą osobą w państwie – i też to zaakceptujecie".

To rzeczywiście nie daje najlepszego świadectwa Polakom. Być może proces formatowania świadomości zaszedł już tak daleko, że zwolennicy Tuska połykają kolejne żaby bez protestu. A może w polskiej historii istnieje pewna skłonność autodestrukcyjna? Nasza historia była przecież burzliwa, pełna strat i katastrof. Nie mieliśmy nigdy – poza względnie krótkim okresem I Rzeczypospolitej – stabilnej ciągłości politycznej. Kiedy rozmawiałem z Piotrem Lisiewiczem, powiedział mi: „Pan jest strasznym pesymistą". Odpowiedziałem wtedy: „Jak mam być optymistą, skoro połowa Polaków nie chce niepodległości?". A on na to: „Ale druga połowa chce". Tej drugiej musimy się trzymać, mając świadomość, że wszystko to dzieje się nad przepaścią.

» Ale przecież podobne cechy – pogardę wobec współpracowników czy społeczeństwa – można znaleźć również u skutecznych polityków historycznych. Neron, Kaligula, a nawet Piłsudski potrafili demonstrować podobny stosunek do własnego narodu.

Neron i Kaligula nie byli jednak szczególnie skuteczni, skoro skończyli tak szybko i tak źle. Natomiast słabości polskie są znane od dawna. Nie odkrywamy ich dziś. Kiedyś, podczas konferencji poświęconej koronacji Bolesława Chrobrego, cytowałem autorów z XVI i XVII wieku, którzy pisali o Polsce rzeczy bardzo podobne do naszych diagnoz. Maciej Sarbiewski pisał wręcz, że samo istnienie Polski jest wynikiem przychylności losu czy Opatrzności – a była to pierwsza połowa XVII wieku. Już wtedy przeczuwał, że ten eksperyment może nie mieć długiego życia. Różnica polega jednak na intencji. Można krytykować własny naród jak dziecko, które się kocha i chce wychować. Ale można też mówić o Polsce z chęcią upokorzenia, z pragnieniem ubezwłasnowolnienia jej. I wiele dzisiejszych narracji właśnie temu służy: „Jesteście beznadziejni, więc trzeba was oddać pod cudzy nadzór".

» Na koniec chciałbym jeszcze zapytać o strategię polityczną. Czy uważa Pan, że prawica powinna koncentrować swoją krytykę przede wszystkim na Tusku? TVP momentami popadła w karykaturę, eksponując go obsesyjnie, ale Pan Profesor – na bardziej subtelnym poziomie – również ustawia go w centrum.

Może nie w jedynym centrum. Raczej w jednym z kilku centrów tego pejzażu. Ale uważam, że wciąż zbyt mało mówi się o kłamstwie. O tym, że Tusk realizuje niemieckie interesy, wielu ludzi już wie, a ci, którzy nie wiedzą, wiedzieć nie chcą. Natomiast uważam, że więcej energii trzeba poświęcić, by przedstawić Tuska jako patologicznego kłamcę. Profesorkom, takim jak wspomniana powyżej, nic to nie da, ale może niektóre osoby, mimo sformatowania, w końcu odkryją dramatyczną sprzeczność między faktami a tuskowym przekazem. Nie jestem specjalistą od marketingu politycznego, ale uważam, że polityka nie może opierać się wyłącznie na obrazach i emocjach. Wielu ludzi po prostu nie zdaje sobie sprawy z diabolicznej roli Tuska. I dlatego trzeba o nim jako o notorycznym kłamcy mówić.

» A jeśli zwyciężyłby ten model polityczny, co byłoby jego finałem? Jak wyglądałaby utrata niepodległości? Antoni Libera mówił kiedyś o „rozbiorze nowej generacji": nie terytorialnym, lecz społecznym i kulturowym. Jak Pan Profesor wyobraża sobie najgorszy scenariusz?

Dziś rozbiory wyglądają inaczej niż dawniej. Ale przecież już teraz tracimy kolejne elementy suwerenności. Wejście do strefy euro oznaczałoby utratę części niezależności. Coraz więcej spraw podlega rozstrzygnięciom ponadnarodowym – nawet kwestie definicji małżeństwa czy statusu naszej konstytucji. Można sobie wyobrazić sytuację, w której właściwie żadna istotna kompetencja nie pozostanie w rękach państwa polskiego. Wszystko będzie przychodziło z Brukseli czy ze Strasburga, a my będziemy jedynie wdrażać to, co się nam każe. Pewnie nie będzie to od razu widoczne dla przeciętnego obywatela, chyba że poprzez bezpośrednio go dotykające skutki. Już pojawiają się przecież pomysły ponadnarodowych list wyborczych czy europeizacji administracji. Dlaczego ministrem w Polsce nie miałby zostać obywatel innego państwa europejskiego? Dziś brzmi to fantastycznie, ale jeszcze kilka lat temu podobnie fantastycznie brzmiały inne rozwiązania, które dziś są rzeczywistością. Porównajmy tylko zakres naszej suwerenności w roku 2000 i dziś. Jak bardzo się zmniejszył.

Wchodząc do Unii Europejskiej, wyobrażaliśmy sobie, że oddamy trochę suwerenności, ale w sposób ograniczony i partnerski. Mieliśmy też nadzieję, że po oddaniu tej części suwerenności będzie mądrzej i bardziej elegancko. Okazuje się jednak, że tej suwerenności musimy oddawać coraz więcej, a w zamian jest coraz bardziej głupio i chamsko. ■

Małgorzata Matuszak

Czym jest... harmonia

Mówimy o harmonii dźwięków, o harmonii barw, harmonii wewnętrznej, harmonii społecznej czy harmonii z naturą, każdorazowo zmieniając obszary, do których pojęcie to odnosimy. U podstaw wszystkich tych znaczeń istnieje jednak wspólna idea: pewien sposób relacji między elementami, które mimo swej odrębności tworzą wspólną całość.

Już źródłosłów wskazuje na takie rozumienie: grecka „harmonia" oznacza „spojenie, połączenie, właściwe dopasowanie części". Harmonia nie była więc pierwotnie synonimem spokoju czy idealnego porządku, lecz zdolnością różnych elementów do współistnienia w określonej relacji. To ważne, współczesne rozumienie harmonii upraszcza ją bowiem często do obrazu czegoś bezkonfliktowego i pozbawionego napięć. Tymczasem ona nie musi zakładać braku różnic, a wręcz przeciwnie – harmonia pojawia się właśnie tam, gdzie istnieje wielość. Nie ma bowiem harmonii tam, gdzie wszystko jest identyczne. Harmonia zakłada różnorodność, taką jednak, która nie rozpada się w chaos. Jest formą ładu, który nie usuwa odmienności, lecz pozwala im istnieć obok siebie bez wzajemnego niszczenia całości. Rzec można, że harmonia jest sposobem organizacji różnicy.

To właśnie dlatego pojęcie harmonii pojawia się w tak wielu dziedzinach. W muzyce oznacza współbrzmienie dźwięków i ich wzajemne relacje, w sztuce odnosi się do proporcji, rytmu, kompozycji i wzajemnego układu form. W filozofii bywa rozumiana jako porządek świata albo zgodność człowieka z naturą i samym sobą.

Także współczesne rozumienie harmonii psychicznej nie musi oznaczać życia wolnego od konfliktów. Człowiek harmonijny nie jest kimś pozbawionym napięć, lecz raczej kimś, kto potrafi napięcia te zintegrować. Harmonia nie polega tutaj na usunięciu sprzeczności, ale na zdolności utrzymania wewnętrznej spójności mimo ich obecności. Podobnie w relacjach społecznych harmonia nie wymaga całkowitego ujednolicenia ludzi, lecz stworzenia takiej przestrzeni współistnienia, w której różnice nie prowadzą do rozpadu wspólnoty.

Jednocześnie harmonia nie jest czymś raz na zawsze danym, nieruchomym stanem idealnej równowagi. Przypomina bardziej proces nieustannego dostrajania, utrzymywania relacji między elementami, które pozostają zmienne i żywe, wymaga więc nieustannego podtrzymywania i reagowania na zmiany. Kiedy zaś zdolność dostrajania zostaje utracona i relacje między elementami przestają tworzyć spójną całość, pojawia się dysharmonia. Nie chodzi tu jednak wyłącznie o konflikt czy różnicę, sama harmonia zakłada wszak istnienie różnorodności czy napięć. Dysharmonia zaczyna się raczej tam, gdzie to napięcie przestaje być twórcze, a staje się destrukcyjne, gdzie elementy nie współistnieją, lecz wzajemnie się znoszą albo rozrywają strukturę, do której należą. Ujawnione napięcia mogą jednak stać się początkiem przemiany. W muzyce dysonans buduje emocjonalne napięcie, które później znajduje rozwiązanie. W życiu człowieka doświadczenie wewnętrznego rozdźwięku może stać się impulsem do zmiany, przewartościowania swego życia i głębszego poznania siebie. ■

Stefan Czerniecki
czerniecki.net



Gdy łzy dobrej siostry potrafią zdziałać cuda

Obok Gór Pieprzowych to najstarsze góry w Polsce. Mówią, że niegdyś dorównywały wzrostem samemu Mont Everestowi. W ogóle mieszkańcy Gór Świętokrzyskich dużo mówią. Opowiadają choćby historię dwóch sióstr, z których jedna tak mocno opłakiwała przedwczesną śmierć drugiej, że ślad po tym pozostał do dziś. Ślad bardzo namacalny. A co najciekawsze: prozdrowotny.

Były dwie. Obie ponoć niezwykłej urody, o bystrym spojrzeniu, jedwabnej cerze, smukłych sylwetkach. Siostry różniły się jedynie charakterami. Agatę cechowały wrażliwe serce, dobroć i delikatność. Lubiła się dzielić. Z Jadwigą było na odwrót. Egoistyczna i samolubna, zwykle patrzyła na świat oczami zazdrości i żądzy posiadania. Wciąż chciała więcej i więcej.

» Jeden pałac, dwa światy

Ich posiadłość znajdowała się na szczycie góry. Stanowił ją przebogaty pałac. Pełen komnat, licznych dziedzińców, z grubym zamkowym murem dokoła. Złotowłosa i błękitnooka Agata zwykle spędzała czas przy pałacowych oknach. Potrafiła tam wystawać godzinami w oczekiwaniu na ukochane przez siebie ptaki. Miłowała przyrodę, rozkoszując się ptasimi koncertami. Przywoływała więc do pałacowych okien wszelkie zwierzęta, karmiąc je z ręki ziarnem i okruszynami chleba. W tym czasie starsza Jadwiga spędzała czas na samotnym gnuśnieniu w zamkniętych komnatach. Zżerała ją nuda, z którą nie potrafiła sobie poradzić. Jedynie rozrywka i rozkosze świata były w stanie odgonić pokryte szarością chmury marazmu i apatii. Całymi dniami Jadwiga oczekiwała więc kolejnych bali, tańców, zabaw, tęskniąc za światowym gwarem, nie potrafiąc docenić ciszy, jaka przez większość dnia panowała na zboczach zamieszkanych przez obie siostry Gór Świętokrzyskich.

Pewnego dnia obok zamku przejeżdżał młody rycerz. Zachwycony pięknem wyniosłej budowli, poprosił siostry o gościnę. Jadwiga z radością przyjęła młodzieńca pod dach. Z czasem zaczęła z nim spędzać coraz więcej czasu, krok po kroku zadurzając się w młodzieńcu. Wreszcie zakochując się w rycerzu. Zresztą z wzajemnością.

Agacie nie przeszkadzała obecność nowego mieszkańca w zamku. Dyskretnie stroniła jednak od towarzystwa. Wolała spędzać czas tak jak do tej pory, wśród swoich skrzydlatych przyjaciół. Wybierając się na coraz dłuższe spacery wśród zielonych jodeł i rozłożystych paproci gęstego boru porastającego zbocze góry, na wierzchołku którego wznosił się zamek. Po powrocie Agata siadała zwykle wieczorami cichutko przy zamkowym oknie, patrząc w zachodzące słońce, a następnie w rozgwieżdżone niebo. Nadal stroniąc od towarzystwa starszej siostry i jej rycerza.

Wszystko to budziło frustrację i żywy gniew u Jadwigi. Nie potrafiła znieść sytuacji, w której młodsza siostra nie zauważa jej wybrańca, nadal lokując swoje uczucia w otaczającej przyrodzie. Gniew potęgował nienawiść. Niezrozumienie budziło zazdrość. Zazdrość podlewaną każdej kolejnej nocy, podczas której widok uśmiechniętej i szczęśliwej Agaty wpatrującej się w księżyc budził coraz więcej żalu i gniewu. To nie mogło się dobrze skończyć. Nadeszła noc, podczas której w głowie Jadwigi narodziła się myśl, aby zgładzić rodzoną siostrę.

Jadwiga zapragnęła być na zamku samodzielną władczynią, wraz z wybrankiem panować nad posiadłością oraz okoliczną ziemią. Pośpiesznie podzieliła się zbrodniczym planem ze swym ukochanym. Wczesnym świtem namówiony przez zionącą zazdrością Jadwigę młodzieniec zakradł się do komnaty Agaty, aby uśpioną zrzucić z zamkowej wieży. Kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że posłanie było już puste. Dziewczyna zdążyła już wczesnym rankiem wybiec do lasu, aby skoro świt powitać nowy dzień.

Wyrodna siostra nie zrezygnowała jednak ze swoich zbrodniczych planów. Postanowiła

otruć Agatę. Nalała trucizny do dzbana pełnego złotego miodu i cierpliwie czekała, aż spragniona siostra wróci z lasu, aby napić się z naczynia.

Zbliżała się godzina dziewiąta. Słońce zdążyło już wysuszyć rosę. Nieświadoma podstępu Agata, pośpiewując, wracała do zamku. Była już bardzo blisko, gdy oto nagle czarne chmury zasnuły niebo. Naraz nad masyw nadciągnęła potężna burza. I zaraz pierwszy grom uderzył w pobliskie wysokie drzewo. Dziewczyna z przerażeniem dostrzegła nad zamkiem wielką jasność i usłyszała kolejny ogłuszający huk. Tym razem piorun uderzył w zamkową wieżę. Moc uderzenia była tak wielka, że cała twierdza rozpadła się na tysiące kamieni. Agata czym prędzej dobiegła do zgliszczy swojego domu. Płacząc żałośnie, biegała wśród głazów, szukając ciała ukochanej siostry. Niczego jednak nie znalazła. Ani złej Jadwigi, ani jej wybranka. Płakała więc dalej. A jej szczere łzy wyżłobiły ślady na kamiennych blokach.

» Zdarte miotły po sezonie

– A co to jest? – pyta na oko pięcioletni chłopczyk idących za nim powoli rodziców. Ojciec niesie na plecach w nosidle młodszego braciszka. Mama zaś rozgląda się po okolicznym lesie. Jest wyraźnie poruszona gęstym pejzażem Puszczy Jodłowej. Teraz jednak las na chwilę nieco się przerzedza, tworząc wyraźną polanę. Pokrytą kamiennym duktem, wzdłuż którego prowadzi czerwony szlak. Na środku polany widać bijące źródełko, z obudowaną obok kwarcytową studnią. W krystalicznie czystej wodzie przeglądają się okoliczne wiekowe jodły i lipy. Miejsce naprawdę robi wrażenie. Nie tylko na tym pięcioletnim chłopczyku, który jako pierwszy wparował na polanę.

– Nie wiem… – odpowiada idący nieco z tyłu mężczyzna. – Wygląda na jakieś źródełko.

– Chodźcie, chodźcie – nawołuje do rodziców malec. – Ta woda jest taka czysta!

– Już idziemy, Kacperku, już idziemy – uśmiecha się mama.

Po chwili cała czwórka przegląda się w świeżym lustrze studzienki. To źródło świętego Franciszka. Kiedyś wody było zdecydowanie więcej. Najstarsi mieszkańcy pobliskiej wsi Święta Katarzyna pamiętają, jak przez las przelewał się szeroki strumień wody, niejednokrotnie podmywając zabudowania okolicznego klasztoru sióstr bernardynek. Dziś nurt jest raczej śladowy, kapiąc wąską strugą z drewnianego korytka poprowadzonego z okrytego kamieniami źródełka.

Źródełka odprowadzającego tę samą wodę, którą zauroczona tym miejscem rodzina podziwia w tej chwili w pobliskiej studzience. To właśnie w niej, korzystając z obszernego lustra, można od czasu do czasu dostrzec wydobywające się z dna pęcherzyki gazu. Woda w studzience nie należy do najcieplejszych. Bez względu na porę roku ma stałą temperaturę plus 7 stopni Celsjusza. Nigdy zatem nie zamarza, ale też nie wysycha. Zamiast tego w czasie siarczystych mrozów nad wodą unoszą się obłoki pary. Właśnie wówczas oprowadzający po Puszczy Jodłowej przewodnicy grup żartują, że pod spodem studzienki sławne łysickie czarownice palą zdarte po sezonie miotły.

» Kąpiel

Do tej pory siedziałem na polanie sam. Schowany nieco w cieniu rozłożystej jodły. Podziwiając rodzący się do życia świętokrzyski poranek. Przycupnięty na drewnianej

ławie na uboczu polany miałem bardzo wygodne miejsce do obserwacji.

Gdy czteroosobowa rodzina kończy robić wspólne zdjęcia na tle kapliczki oraz źródełka, decyduje się ruszyć dalej, zaś do polany powolnym krokiem zbliża się przygarbiona postać. Z daleka trudno mi ocenić, kto to jest. Czy mężczyzna, czy kobieta. W związku z chłodem poranka postać opatulona jest w grubą kurtkę oraz czapkę. Niesie pod pachami jakieś torby. Dopiero gdy jest bliżej, dostrzegam, co to takiego. To pięciolitrowe baniaki niesione w ceratowych torbach przez starszego mężczyznę. Po kilku minutach człowiek ten dociera do kraniku źródełka.

Dopiero teraz zaczyna się prawdziwa celebra. Mężczyzna obmywa dokładnie każdą z kilku pustych butelek, jakie ułożył starannie pod źródełkiem. Następnie nalewa górskiej wody do każdej z nich. Napełnia aż po korek. Gdy kończy, zdejmuje kurtkę oraz czapkę. Nachyla się nad kranem. I zaczyna obmywać sobie twarz. Zaczyna od czoła. Następnie otwartą dłonią przemywa sobie oba poliki. Trąc wymownie palcami wzdłuż brody. Następnie przechodzi do ust, nabierając nieco wody w ułożone w łódkę dłonie i popijając z tak uformowanego naturalnego naczynia. Wreszcie finał. Mężczyzna przemywa oczy. Zaczyna od oczodołów. Następnie przechodzi do obmywania powiek, na samych oczach skończywszy. Powtarza tę czynność przynajmniej kilka razy.

– Ta woda ma nieprawdopodobne właściwości… – zagaduje, gdy spostrzega moją postać przypatrującą się mu z ukradka ze skraju polany.

– Doprawdy? Nigdy wcześniej nie słyszałem o tym źródle – odpowiadam z zaciekawieniem, widząc, że mężczyzna najwyraźniej ma ochotę podzielić się ze mną jakąś miejscową ciekawostką.

– Bo pan pewnie nie stąd, prawda? – kontynuuje mężczyzna.

– Ano nie – uśmiecham się nieśmiało. – Przyjechałem nabrać nieco sił w górach. I przy okazji wejść na Łysicę.

– Dobrą pogodę pan trafił – na potwierdzenie swoich słów mężczyzna wymownie spogląda w niebo. Rzeczywiście, dziś nad całym Świętokrzyskiem ani jednej chmurki.

» **Wandal Żeromski**

– To jak z tą wodą? – dopytuję.

– To źródło świętego Franciszka. Może pan wierzyć bądź nie, ale ta woda naprawdę ma wyjątkowe właściwości… – mężczyzna zawiesza na chwilę głos. Po chwili przerwy nabiera wody w dłonie i raz jeszcze przemywa całą twarz. – Kolejne pokolenia moich sąsiadów, a mieszkam niedaleko stąd, bo w Wilkowie, zaświadczały, że ta woda pomaga w chorobach oczu. Zwłaszcza przy dolegliwościach spojówek.

– Pewnie chodzi o zapalenie spojówek – podpowiadam.

– Tak, tak… – wpada w zamyślenie mężczyzna. – A wie pan, bo w ogóle jest legenda mówiąca o tym źródle. Że to efekt płaczącej dziewczyny. Ponoć straciła niegdyś tu swoją starszą siostrę. Mieszkały tam wyżej, pod szczytem. Słyszał pan o tym?

Tym razem nie zdążam odpowiedzieć. Mężczyzna nie czekając na moje słowa, raz jeszcze zanurza twarz w wodzie. Po czym dokładnie wyciera oczy.

– A dlaczego w takim razie źródło świętego Franciszka? – dopytuję. – A nie na przykład „Dobrej Agaty"?

– A bo kult Biedaczyny z Asyżu związany jest tutaj z tradycją pustelniczą – zaczyna opowieść mężczyzna, pakując jednocześnie butelki do toreb. – Przecież pobliska wioska Święta Katarzyna powstała właśnie

jako osada eremitów. Dopiero później pojawili się tu bernardyni, stanowiący zresztą gałąź franciszkańskiego zakonu. To właśnie oni, bodajże w XVII wieku, ale niech pan to potem sprawdzi, wystawili tu pierwszy kościółek. Właśnie pod wezwaniem św. Franciszka. A potem zaczęli budować kapliczki…

– A to chyba widziałem jedną z nich. Tam, na dole, przy parkingu… – przypominam sobie niewielkie zabudowania, zakrzaczone i nadszarpnięte zębem czasu.

– Panie, tam to jest Kapliczka Janikowskich – obrusza się naraz mężczyzna. – Chociaż my wolimy ją nazywać Kapliczką Żeromskich…

– A to dlaczego? – dopytuję, czując nosem, że szykuje się kolejna interesująca miejscowa legenda.

– A to wracając do samochodu, niech pan zajrzy do jej środka. I spojrzy na prawą ścianę…

Rzeczywiście. Sprawdziłem. W środku kapliczki znajduje się data – 2 sierpnia 1882 roku. I poniżej podpis dwóch młodocianych wandali. I jednocześnie kolegów ze szkolnej ławki. Kto wie? Może akurat urwali się z lekcji i snując się po okolicy nie mieli nic lepszego do roboty, jak utrwalić swoją obecność w tym miejscu? Ich imiona i nazwiska to Stefan Żeromski i Janek Strożecki.

Dziękuję życzliwemu panu za kolejne historie i ruszam w drogę. Wszak na szczyt Łysicy jeszcze przynajmniej kilkadziesiąt minut drogi.

» Patrząc na gołoborza

Czerwony szlak prowadzi dalej zacienionym stokiem po łagodnych stopniach. Wokoło muzyka lasu. Wieje zefirek. Idzie się bardzo przyjemnie. Po pewnym czasie las jakby się przerzedza, by z lewej strony okazać naraz pokaźny widok na słynne łysickie gołoborza. To właśnie o nich mówiła opisana we wstępie legenda o zamku sióstr przemienionym w gruzy kamieni. Tak lokalna gawęda wyjaśniła powstanie charakterystycznych popękanych głazów.

Dobrze bowiem wiedzieć, że stąpamy po górach, których historia obejmuje 540 mln lat. W tym czasie nie zawsze były one „górami". Mało tego, rzadko kiedy były lądem. Przez większość czasu znajdowało się tu wielkie morze. Ale i tego mało. Dzisiejsze Góry Świętokrzyskie nie zawsze znajdowały się na kuli ziemskiej w tym miejscu co obecnie. Skały, które dziś oglądamy, były niegdyś w strefie równikowej…

Podziwiane gołoborza pamiętają czwartorzęd. To właśnie wówczas – jakieś 1,5 mln lat temu – lądolód skandynawski przekroczył Góry Świętokrzyskie i dotarł aż do północnych zboczy Karpat. Co ciekawe, ówczesne Góry Świętokrzyskie były znacznie wyższe od dzisiejszych – ich wysokość mogła wynosić nawet kilka tysięcy metrów nad poziom morza. Niektórzy twierdzą, że mogły się równać z dzisiejszymi Himalajami. Takie szczyty z powodzeniem wystawały ponad cielsko okalającego je lodowca.

Właśnie wtedy następowało wietrzenie mrozowe. Ulegały niemu przede wszystkim piaskowce kwarcytowe. Gdy temperatura oscylowała wokół 0 stopni Celsjusza, w skałach pojawiała się woda, która następnie uwięziona w szczelinach po zamarznięciu zwiększała swoją objętość. A to z kolei rozsadzało skały. I tak porozsadzało, że efekty widzimy dziś. No właśnie… Jedni widzą ruiny zamczyska, w którym niegdyś mieszkały Agata z Jadwigą. A inni geologiczną formację zwaną gołoborzami. I zarówno jedni, jak i drudzy są szczęśliwymi obserwatorami. ■

Dawid Wildstein



Co Platon myślał o AI?

Wciąż rozwijające się AI to rewolucyjny skok technologiczny. Nic więc dziwnego, że wzbudza tyle samo nadziei, co strachu.

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI AI

Jednym z największych lęków dotyczących AI jest jej zdolność do generowania, relatywnie niskim kosztem, wyjątkowo realistycznych obrazów bądź filmów. Raz po raz słyszymy, że jest to już fikcja tak perfekcyjna, iż stanowi realne zagrożenie dla człowieka. Że za chwilę (a może już teraz) nie będziemy w stanie odróżnić tego, co prawdziwe, od fałszu. Że w pełni zanurzymy się w wirtualny świat, który pożre to, co realne. W ten sposób staniemy się bezbronni wobec różnych sztukmistrzów podsuwających nam fałszywe rzeczywistości. Nie negując zagrożeń związanych z AI w bardzo wielu dziedzinach życia, ten akurat lęk wydaje się przesadzony. Żeby to zrozumieć, warto wrócić do starożytnej Grecji. Ale wcześniej zanurzmy się kilka kilometrów pod wodę.

» To musi być AI

Reflektor oświetla wąski pas piaszczystego podłoża. Wyrastają z niego nieforemne konstrukcje, wyglądają jak zdeformowane, popękane naczynia. Porośnięte są czymś, co przypomina rodzaj mchu, ale ruszającego się, pulsującego. Przy jednym z „naczyń" widzimy stworzenie o zadziwiających kształtach. Z walcowatego, wzdętego, różowawego, a jednocześnie przezroczystego ciała wyrasta kilkanaście, różnej wielkości macek. Część z nich jest umiejscowiona prawie symetrycznie – po pięć z każdej strony – po bokach czegoś, co od biedy można nazwać korpusem. Każdą macką, zakończoną kilkoma drobnymi niby-palcami, stworzenie odpycha się od podłoża. Ruch ten przypomina nieporadne skoki, czasem zamienia się jednak w turlanie, jakby stwór tracił równowagę. Kilka macek, z przodu tego dziwadła, niewielkich, położonych w linii obok siebie, wciąż delikatnie wibruje. Rozgałęziają się one na końcu w kilka krzewiastych, przypominających brokuły wyrostków. Głaszczą piasek pod sobą w dziwny, wręcz czuły sposób. To otwór gębowy tego stworzenia. Za to z jego „pleców" wyrasta kilka, dłuższych nawet niż jego korpus, miękkich, przezroczystych niby-kolców. Poza tym nic, nawet to ciało jest puste, stwór wygląda jak dzieło nieudolnego szklarza, któremu za wzór posłużył rysunek kilkuletniego dziecka. Kolejne ujęcie i znowu jakieś dziwo. Zawieszone nieruchomo nad piaskiem, przypomina półprzezroczyste jelito, któremu z jakichś przyczyn zachciało się latać, w którym przelewają się i pulsują granatowe oraz czerwone mazie. Na szczycie tego cielska otwiera się struktura wyglądająca jak kielich wielkiego, niebieskiego kwiatu, pojedyncze płatki połączone są delikatną, przepuszczającą światło membraną. Marszczy się ona i rozciąga, bez przerwy faluje, jak na wietrze, którego tam, rzecz jasna, nie ma.

Twórcy tego filmu nazwali go „dokumentem". Ale nie z internautami takie żarty. W komentarzach pod filmikiem roi się od uwag: „Sztuczna Inteligencja!", „AI!", „Oznaczajmy to jako fejk!", „Jak już robicie AI i udajecie, że to prawda, to chociaż próbujcie zrobić coś, co wygląda na rzeczywiste, przecież od razu widać ściemę" etc. Wszystko fajnie, ale dowcip polega na tym, że to jest faktycznie fragment filmu zarejestrowanego przez operującego w największych głębinach morskich robota. Pustkowie to po prostu dno, dziwne twory przypominające popękane naczynia to głębinowe gąbki, „porośnięte" innymi zwierzątkami, małymi stworkami z rodziny parzydełkowców. Dwaj główni „bohaterowie" tego filmu to głębinowe strzykwy, pobratymcy żyjących dużo wyżej od nich ogórków morskich. Tego typu reakcje na rozmaite dokumenty, szczególnie te pokazujące największe dziwy natury, uchwycone dzięki rozwojowi techniki (czy mowa

o głębinach, górskich szczytach, czy o świecie malutkich, wręcz mikroskopijnych stworzeń) pojawiają się bardzo często. Można się z nich śmiać, niemniej to zjawisko bardzo pozytywne, pokazujące, że może jednak nie powinniśmy się tego AI aż tak bać.

» Dedal a sztuczna inteligencja

Zanim jednak wytłumaczę Czytelnikom, do czego potrzebny był powyższy wstęp, cofnijmy się o kilka tysięcy lat, do czasów starożytnej Grecji. Nie wiem bowiem, czy Czytelnicy wiedzą, ale jedne z najwcześniejszych ostrzeżeń przed technologią, przed tym, jak potrafi ona oszukać człowieka, pochodzą z greckich mitów. Jedna z takich opowieści, odsłaniająca przed nami geniusz wynalazcy i artysty Dedala, dotyczy Heraklesa. Otóż heros ten zobaczywszy pewnego razu rzeźbę tego twórcy, przekonany, że ma do czynienia z realnym, atakującym go wrogiem (dzieło było tak doskonałe), zniszczył ją. Jak to bywa w greckich opowieściach, jest ona swoiście ambiwalentna – to zarazem wyraz zachwytu nad tym, do czego zdolny jest człowiek (pamiętajmy, że Dedal najczęściej był postrzegany jako śmiertelnik bez domieszki boskiej krwi), jak i niepokoju, że jego dzieła mogą doprowadzić do oszukania nawet istot półboskich, jak Herakles. Inna opowieść podkreślająca kunszt tego geniusza mówi, że ci, którzy mieli szczęście dostać w prezencie którąś z jego rzeźb, decydowali się zakuwać ją w łańcuchy, bo byli przekonani, że coś tak perfekcyjnego może w każdej chwili ożyć. Czy nie antycypuje to wręcz idealnie lęków dotyczących rozwoju technologii znanych nam z ostatnich wieków?

Skoro jesteśmy przy temacie zakuwanych w łańcuchy posągach, warto nadmienić, że przypowieść ta jest też istotnym elementem jednego z dialogów Platona, „Menona". Występujący w nim Sokrates przywołuje ten mit, żeby zobrazować to, że nawet najpiękniejsze odruchy, refleksje czy myśli potrafią „uciec", nie wpływając w żaden sposób na nasze życie i myślenie. Żeby ich wpływ był realny, trzeba umieć je niejako „związać" – odpowiednim, pogłębionym namysłem nad nimi, pracą intelektualną i metodą. Sokrates mówi tu, oczywiście, głównie o prawdziwej wiedzy – o tym, jak ją osiągnąć, czym powinna być filozofia, ale spokojnie możemy też odnieść to do myśli technologicznej. Warto także umieścić ten fragment w szerszym kontekście platońskiej refleksji nad tym, co go otaczało – zarówno jeśli chodzi o politykę, rzeczywistość ludzką, jak i strukturę świata jako takiego. Otóż filozof ten (kontynuując dzieło swojego wielkiego mistrza), obserwując upadek ateńskiej polityki, przestrzegał przed wszechogarniającym kłamstwem. Fałszem, który bardzo często, korzystając z najwspanialszych zdobyczy ludzkiej myśli czy sztuki, prowadzi do zaślepienia człowieka, do oderwania go od tego, co najważniejsze – prawdy i potrzeby dążenia do niej. Człowiek opisywany przez Platona na przykład w „Państwie" jest skrajnie pogubiony, niepoukładany do takiego stopnia, że wręcz traci swoją tożsamość. Kompletnie bezbronny wobec kolejnych, fałszywych opowieści, które sprzedają mu cyniczni, bezwzględni „sofiści". Rano chce być poetą, wieczorem atletą, w południe filozofem. Raz kocha Persów, innym razem będzie ich nienawidził. Platon widzi, że konsekwencją ludzkiego intelektu może być stworzenie tak potężnych kłamstw, że wynikiem tego fałszu jest zerwanie relacji między jednostką a rzeczywistością, stworzenie sztucznego, powiedzielibyśmy dziś „wirtualnego", świata, który jednak dla odbiorcy staje się tak realny, że zostaje najważniejszym punktem odniesienia. W tym świecie wszystko jest tak płynne, że jednego

dnia to, co piękne, może stać się synonimem brzydoty, i odwrotnie – to, co groźne, lekarstwem etc.

Wszystko wskazuje na to, że gdyby Platon oglądał przysłowiowe już filmiki AI, z jego perspektywy nie różniłyby się one niczym od kłamstw, jakimi sofiści infekowali myśl i politykę w starożytnych Atenach – i to w sposób znacząco bardziej skuteczny od tego, co obserwujemy dzisiaj.

» Starożytna wirtualna rzeczywistość

Warto zauważyć, jak Platon opisywał metody, za pomocą których w jego świecie kłamstwo wypierało rzeczywistość. Jego najistotniejszym elementem nie była wcale atrakcyjność, spójność czy finezyjna konstrukcja, ukrywająca fałsz głęboko w środku. Platon, szczególnie mocno w „Gorgiaszu", zaznacza, że jeszcze ważniejsza jest jego intensywność, ilość, masowość (chociaż, oczywiście, słowo to brzmi dość kuriozalnie w kontekście starożytnych Aten). Opisując człowieka rozbitego, wydanego na pastwę fałszu, niezdolnego powrócić do rzeczywistości, rysuje obraz kogoś, kogo w dzisiejszym języku nazwalibyśmy jednostką skrajnie przebodźcowaną, skaczącą w związku z tym od podniety do podniety, którą rozpoznaje tylko za pomocą intensywności jej formy. Kreśląc zaś obraz sofistów, zwłaszcza Polosa, zwraca uwagę, że ich wygrana w przestrzeni publicznej wynika nie z wyrafinowania kłamstwa, lecz z ciągłego słowotoku, który zagłusza wszystko inne, który splata prawdę i nieprawdę, to, co ważne, z tym, co nieistotne, w taki sposób, że uniemożliwia człowiekowi właściwą hierarchizację tego ciągłego strumienia informacji. Platońskiego spojrzenia na politykę nie da się oderwać od jego szerszej wizji tego, czym jest świat, jego ontologii (tutaj muszę zaznaczyć, że, rzecz oczywista, na potrzeby długości tekstu dokonuję często radykalnych skrótów i trywializacji myśli Platona). Prawda nie jest nam dana bezpośrednio, jak w jego słynnej metaforze jaskini, to, co widzimy, to tylko cienie. Żeby odkryć to, co naprawdę rzeczywiste, musimy wciąż myśleć, pracować nad sobą i swoją myślą, przedzierać się przez złudzenia i wątpliwe sądy. Można więc uznać, że Platon uważał najbardziej bezpośrednio rozpoznawalną dla nas rzeczywistość za formę AI. Ułudy, jak to określał, doksy. Jedynym ratunkiem przed nią – czy to w świecie ludzkim, czy po prostu mierząc się z rzeczywistością jako taką – jest umiłowanie prawdy, rodzaj pokory wypływającej ze świadomości własnej omylności tego, jak wręcz predystynowani jesteśmy do bycia oszukiwanymi. Jednocześnie jednak potrzebna jest odwaga w odrzucaniu tego, co jest dogmatem, umiejętność kwestionowania tego, co nam się przedstawia, i wstrzymania się z wydawaniem szybkich sądów. Gotowość do rewizji własnych przekonań. Jestem pewien, że gdyby dziś ktoś mógł zapytać tego filozofa, w jaki sposób bronić się przed częścią niebezpieczeństw, jakie niesie z sobą rozwój AI, odpowiedziałby dokładnie to samo.

Przedstawiam to wszystko Szanownym Czytelnikom oczywiście nie dlatego, żeby w prymitywny i bezpośredni sposób utożsamiać tak różne konteksty dziejowe jak ten Platona i nasz. Niemniej warto zauważyć, do jakiego stopnia już starożytni mieli świadomość zagrożeń, jakie niesie ze sobą rozwój ludzkiej myśli, a więc i technologii. Że ich doświadczenie bywa zaskakująco podobne do naszego – i w związku z tym mamy w naszych dzisiejszych zmaganiach, pozwolę sobie wejść na wysoki diapazon patosu, naprawdę wielu sprzymierzeńców, których

rady, mimo że sprzed tysięcy lat, mogą nam pomóc i dziś.

» Dużo mocniej, ale nie inaczej

Co więcej, nasza kultura wykształciła przez wieki mechanizmy obronne, które pozwalają nam skutecznie ograniczać wiele patologii, jakie niesie ze sobą AI. Część z tego swoistego systemu immunologicznego zakorzeniona jest w samej esencji tego, czym jest zachodnia cywilizacja, ale to już temat na osobny tekst. Reszta to efekt tego, że my w tej rewolucji, której częścią jest AI, tkwimy już od grubo ponad wieku. Pozwolę sobie teraz przeskoczyć o prawie 2 tys. lat. Warto pamiętać, jak wyglądały konsekwencje wynalazków, takich jak radio czy film. Oczywiście historie o uciekających z kina ludziach w reakcji na obraz nadjeżdżającego pociągu są mitem, podobnie wszystko też wskazuje na to, że doniesienia o panice po emisji słuchowiska „Wojna światów" wyolbrzymiono, niemniej te anegdotki w jakimś sensie oddają to, jak niesamowitą, rzeczywiście przełomową rewolucją w zakresie propagandy były obie te technologie. Jeśli chodzi o omawiany tu (jeszcze raz zaznaczmy – tylko jeden z wielu) wymiar zagrożeń, jakie niesie ze sobą rozwój AI, czyli możliwości wpływania na ludzkie myśli i zachowania poprzez kreowanie fałszywych, jednocześnie wyjątkowo realistycznych narracji, rewolucja w postaci pojawienia się radia i filmu była bez porównania większa niż to, co obserwujemy teraz. Trudno sobie wyobrazić bez tych nośników propagandy totalitaryzm w tej formie, jaką przybrał w Europie. Co więcej, całe społeczności, które zostały z nimi skonfrontowane, były zupełnie nieprzygotowane na taki skok technologiczny oraz na to, jak wynalazki mogą manipulować ich emocjami, kłamać, tworzyć zupełnie nieprawdziwy świat.

Teraz już mogę się Szanownym Czytelnikom wytłumaczyć z mojego „podwodnego wstępu". Coś, co powierzchownie wydaje się zabawną pomyłką, ujawnia jednak trwały mechanizm obronny, jaki wypracowała szeroko pojęta zachodnia kultura. Dziś, po doświadczeniach dekad życia w świecie współtworzonym przez mass media, jesteśmy w stanie go kwestionować, mieć do niego dystans, niezależnie od tego, jak realistyczną iluzję jest w stanie nam zaserwować. Zapewne jest to jeden z nielicznych plusów tego, że media ciągle kłamią, co – jak pokazują wszystkie badania – każe przyjmować każdą informację ze sceptycyzmem. Spójrzmy na nasze polskie podwórko. Jeśli ktoś rozpowszechnia filmik AI, na którym na przykład Nawrocki dręczy szczeniaka lub Tusk wyciąga z pożaru małe dziecko, to ta sama osoba uwierzyłaby w tekst, który – nawet bez jakiegokolwiek obrazka – opisywałby właśnie takie sytuacje. Techniczny geniusz AI nie ma tu wpływu na jego decyzję, wynika ona z czegoś zupełnie innego. Warto też zauważyć, trzymając się przykładu filmików AI, że wspólnoty najbardziej skore do uwierzenia we wszystko, co zostanie zaserwowane przez AI, to też społeczeństwa mniej przyzwyczajone do demokracji, z mniejszym doświadczeniem (szczególnie jeśli chodzi o szerokie masy) ze zdobyczami najnowszej technologii, gorzej wyedukowane. Owszem, dostępność i łatwość używania zdobyczy AI jest zmianą. Na przykład wyraźnie widać, że rosyjska propaganda skierowana do społeczeństwa indyjskiego czy krajów afrykańskich uznała AI za jeden z głównych nośników swoich treści. Jest to wielka różnica, ale nie polega ona na istocie, lecz na intensyfikacji. To samo osiągnęliby tradycyjnymi metodami, telewizją, botami, radiem, tylko zajęłoby im to więcej czasu i zużyliby więcej środków. ■



Małgorzata Matuszak

Dzieciństwo na pokaz

Jeszcze niedawno rodzinne fotografie spoczywały w albumach oglądanych wyłącznie przez najbliższych. Dzisiaj dziecięce życie coraz częściej staje się częścią internetowego spektaklu.

Pierwsze kroki, przedszkolne i szkolne występy, chwile wzruszeń, codzienność, choroby, emocje, sukcesy, a czasem nawet kryzysy – wszystko może zostać opublikowane, skomentowane i obejrzane przez tysiące obcych ludzi. Współczesna kultura cyfrowa nie tylko umożliwiła dzielenie się prywatnością, lecz także uczyniła z niej wręcz społecznie premiowaną wartość.

» Dziecko jako część internetowego wizerunku

Zjawisko sharentingu, czyli publikowania przez rodziców zdjęć i informacji dotyczących dzieci w mediach społecznościowych, od dawna przestało być jedynie niewinnym dokumentowaniem rodzinnego życia. Coraz częściej staje się elementem autopromocji, budowania zasięgów i kreowania własnego wizerunku. W przypadku celebrytów czy influencerów dzieci bywają częścią medialnej marki swoich rodziców, a ich codzienność – źródłem zainteresowania odbiorców i zysków. Wielu z nich wykorzystuje wizerunek swoich dzieci do budowania własnej popularności, promując je na ściankach, wspólnych kampanii reklamowych czy właśnie w mediach społecznościowych. Bez wątpienia działania te wpisują się w szerszy kontekst, będąc odbiciem współczesnej kultury – czy też jej ułomności – która coraz słabiej odróżnia to, co prywatne, od tego, co publiczne. Kultury, w której widzialność staje się wartością samą w sobie.

Oczywiste jest, że media społecznościowe zmieniły sposób, w jaki ludzie opowiadają o swoim życiu, codzienność zaś przestała być po prostu przeżywana, a zaczęła być prezentowana. Rodzicielstwo również stało się elementem publicznego wizerunku. Trudno oprzeć się wrażeniu, że dzisiaj nie wystarczy już być rodzicem. Trzeba jeszcze umieć tę rolę odpowiednio pokazać, dziecko staje się stąd częścią publicznego wizerunku „szczęśliwego życia", „autentycznej rodziny" czy „świadomego macierzyństwa".

Dzieci stały się tym sposobem szczególnie atrakcyjnym elementem internetowej narracji – wywołują emocje, budują poczucie autentyczności, ocieplają wizerunek dorosłych. Zdjęcia rodzinne, nagrania wspólnych chwil czy relacje z codziennego życia zwiększają zainteresowanie odbiorców i wzmacniają więź z publicznością. W świecie influencerów i celebrytów dziecko bywa więc nie tylko członkiem rodziny, lecz także częścią medialnego kapitału i elementem wizerunku rodzica.

Problem pojawia się wtedy, gdy granice prywatności zaczynają zanikać. Rodzice tworzą cyfrową biografię swoich dzieci, zanim te zdążą zbudować swoją tożsamość. Zdjęcia i informacje umieszczone w sieci mogą zaś pozostać tam na zawsze, wpływając później na życie młodego człowieka. Paradoksalne zatem w epoce, która tak mocno podkreśla znaczenie autonomii jednostki, dzieci często mają najmniejszy wpływ na własną prywatność, w dodatku za sprawą

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI AI

działania tych osób, które tę prywatność winny chronić w najwyższym stopniu. Dziecko nie ma możliwości świadomego wyrażenia zgody na publikowanie swego wizerunku, a internet przecież nie zapomina.

» Kidfluencing: dzieciństwo jako performans

Naturalnym rozwinięciem sharentingu stał się kidfluencing – zjawisko, w którym dzieci same stają się influencerami: prowadzą własne profile, gromadzą własną publiczność, budują rozpoznawalność, uczestniczą w kampaniach reklamowych i zarabiają na internetowej popularności. Często to rodzice zarządzają profilem dziecka, planują publikacje, negocjują współpracę i kreują jego wizerunek. Dziecko przestaje być wówczas jedynie bohaterem rodzinnych zdjęć, a staje się marką funkcjonującą w ekonomii uwagi. W takich przypadkach dzieciństwo przestaje być przestrzenią dojrzewania i eksperymentowania, a staje się performansem realizowanym przed publicznością.

Z jednej strony trudno jednoznacznie potępiać to zjawisko. Internet rzeczywiście daje młodym ludziom możliwość rozwijania talentów i dzielenia się pasją. Młodzi muzycy, tancerze czy sportowcy mogą dzięki mediom społecznościowym zdobywać motywację, uznanie i kontakt z odbiorcami na całym świecie. Dla wielu dzieci jest to także szansa na rozwój, której wcześniejsze pokolenia po prostu nie miały. Z drugiej jednak strony pojawia się pytanie, gdzie kończy się rozwijanie talentu, a zaczyna budowanie własnej wartości na popularności i poklasku. W mediach społecznościowych sukces coraz częściej mierzy się liczbą obserwujących, odsłon i komentarzy. Talent przestaje być wartością samą w sobie i staje się częścią widowiska. Dziecko funkcjonujące od najmłodszych lat przed kamerą może zacząć postrzegać siebie przez reakcje publiczności, oklaski i zainteresowanie stają się zaś źródłem jego samooceny. W takiej rzeczywistości łatwo o uzależnienie się od uwagi, potrzebę nieustannej widzialności i podporządkowanie własnej aktywności oczekiwaniom obserwujących.

Szczególnie niepokojące są jednak sytuacje, w których popularność dzieci budowana jest nie wokół talentu czy pasji, lecz wokół prowokacji, kontrowersji czy wyglądu. Niektóre profile – w szczególności te prowadzone przez matki kreujące córki na „małe gwiazdy" – zaczynają przypominać dziecięce wersje świata influencerów dorosłych, z wystylizowanym wizerunkiem, eksponowaniem urody i kreowaniem atrakcyjności fizycznej jako głównej wartości, a nawet seksualizacji dziecięcego wizerunku. To już nie jest niewinne „chwalenie się" dzieckiem, lecz zwykłe jego uprzedmiotowienie.

» Kultura podglądania i ekonomia uwagi

Sharenting nie byłby zjawiskiem tak powszechnym, gdyby nie istniała druga strona tego mechanizmu – jego odbiorcy. Fascynacja cudzym życiem nie narodziła się przecież wraz z internetem. Tabloidy, „brukowce" i działalność paparazzich od lat opierały się właśnie na potrzebie podglądania prywatności. Internet nie stworzył więc kultury podglądania, lecz radykalnie ją wzmocnił i przyspieszył. Życie może być transmitowane niemal „na gorąco", a granica między tym, co prywatne, a tym, co publiczne, zaczęła znikać. Dawniej dostęp do życia znanych osób był ograniczony i pośredniczony przez media, dzisiaj zaś wiele osób odsłania swoją codzienność samodzielnie, często bez żadnej kontroli nad dalszym obiegiem publikowanych materiałów.

Zmieniła się również sama logika widzialności. Współczesna kultura cyfrowa nie tylko pozwala być obserwowanym, ale premiuje wręcz

ciągłą obecność i ekspozycję. Widzialność stała się formą społecznego kapitału – sposobem budowania popularności, wiarygodności i wpływu. Im więcej człowiek pokazuje, tym większe ma szanse przyciągnąć uwagę odbiorców. W przypadku celebrytów czy influencerów oznacza to często niemal całkowity zanik pragnienia zachowania choćby części anonimowości i rosnącą z nim pokusę, by własną prywatność – a wraz z nią prywatność swoich dzieci – przekształcać w element medialnego wizerunku. W skrajnych przypadkach sharenting zaczyna przypominać subtelną formę eksploatacji emocjonalnej. Dziecko przestaje być wtedy osobą istniejącą poza kamerą, a staje się częścią narracji, produktem albo „kontentem".

Nie ulega wątpliwości, że współczesne media promują treści emocjonalne, intymne i wzruszające. Algorytmy nagradzają to, co przyciąga uwagę, i to niezależnie od tego, czy chodzi o autentyczne doświadczenia, czy o starannie wyreżyserowaną „codzienność". Dzieci wyjątkowo łatwo stają się częścią tej ekonomii uwagi, ponieważ budzą silne emocje i zwiększają zaangażowanie odbiorców.

To prowadzi do niepokojącego zjawiska społecznego: prywatność przestaje być wartością chronioną, a zaczyna być traktowana jako waluta. Im większy zaś dostęp do życia rodzinnego, tym większe zainteresowanie publiczności. W efekcie granica między życiem prywatnym a medialnym spektaklem coraz bardziej się zaciera. Dziecko nie uczestniczy jednak w tej wymianie na równych zasadach. Nie wyraża świadomej zgody, nie rozumie konsekwencji cyfrowego śladu, który powstaje niekiedy jeszcze zanim nauczy się mówić.

» Cena internetowej widzialności

Choć sharenting i kidfluencing wciąż przedstawiane są jako nieszkodliwe formy aktywności, niosą ze sobą wiele realnych zagrożeń. Pierwszym z nich jest możliwość utraty kontroli nad własnym wizerunkiem. Zdjęcia i filmy publikowane w sieci mogą zostać wykorzystane przez osoby o złych intencjach, kopiowane, przetwarzane lub rozpowszechniane poza wiedzą dziecka i jego rodziny. W epoce AI i łatwego przetwarzania obrazu zagrożenia te stają się jeszcze poważniejsze.

Pojawić się mogą konsekwencje psychologiczne. Dzieci wychowywane w kulturze ciągłej ekspozycji mogą mieć problem z odróżnieniem tego, co prywatne, od tego, co publiczne. Mogą uczyć się tego, że emocje mają wartość dopiero wtedy, gdy zostaną pokazane i ocenione przez innych. Jak zatem mają budować swoją autonomię, gdy ich własny obraz zależy częściowo od internetu?

Najbardziej niepokojące wydaje się jednak coś jeszcze: utrata prawa do niewidzialności. Tradycyjnie dzieciństwo było czasem chronionym, pozwalającym dojrzewać dziecku poza spojrzeniem masowej publiczności. Tymczasem współczesne technologie sprawiają, że część dzieci od najmłodszych lat funkcjonuje w rzeczywistości nieustannej ekspozycji. Co szczególnie paradoksalne, za tę ekspozycję odpowiadają najczęściej ci, którzy powinni prywatność dziecka chronić – rodzice. To oni publikują zdjęcia, relacje i filmy, budując cyfrową obecność swoich dzieci na długo przed tym, zanim te zdążą zrozumieć konsekwencje życia „na pokaz".

Problem sharentingu i kidfluencingu nie sprowadza się zatem wyłącznie do kwestii publikowania zdjęć i filmów dzieci w internecie. W rzeczywistości dotyczy on znacznie głębszego pytania o granice odpowiedzialności dorosłych i o to, jak obecność w kulturze niemal permanentnej widzialności wpływa na psychikę człowieka, który dopiero uczy się, kim jest. ■



Karol Wałachowski – doktor nauk społecznych w dyscyplinie ekonomia i finanse. Adiunkt na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie. Specjalizuje się w tematyce rozwoju miast i polityk publicznych. Doradza instytucjom publicznym, ma w swoim CV m.in. Ministerstwo Rozwoju, Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej, POT i samorządy terytorialne. Autor „Poza największymi. Studium o byłych stolicach województw".

Krzysztof Wołodźko

Kryzys mniejszych miast. Najgorsze przed nami

Historycznie patrząc, Polska jest krajem policentrycznym, czyli składającym się z wielu zróżnicowanych i historycznie mocno zakorzenionych ośrodków miejskich. Dzisiaj wytracamy ten potencjał, choć naprawdę wiele państw w Europie troszczy się o spójność regionalną, wzmacnia mniejsze ośrodki. Kryzys miast średnich się pogłębia – z Karolem Wałachowskim rozmawia Krzysztof Wołodźko.

» Zacznę od dłuższego, porażającego cytatu z Pana książki pt. „Poza największymi. Studium o byłych stolicach województw": „Depopulacja to nie tylko statystyka, a również ogromny społeczny problem. Dla mieszkańców spoza metropolii będzie oznaczać spadek jakości życia. W wielu miejscach przestanie działać transport publiczny, bo zabraknie ludzi do jego opłacalnego funkcjonowania. Szkoły będą zamykane i łączone przez brak wystarczającej liczby uczniów. Dla młodych ludzi będzie to oznaczać codzienne pokonywanie nawet dziesiątek kilometrów do szkoły. Ucierpią usługi publiczne: zamykane będą szpitale, przychodnie, posterunki policji. Mniejsza liczba ludności to mniej konsumentów. Działanie wielu biznesów – gastronomii, miejsc rozrywki, usług komercyjnych – nie będzie miało dłużej sensu. Przez brak młodych ludzi pracodawcy nie będą mogli rozwijać swoich firm i zastępować odchodzących na emeryturę pracowników. To wszystko zajdzie w warunkach, w których przez likwidację transportu zbiorowego aż 72 proc. podróży odbywa się samochodami, a wraz ze starzeniem się ludności coraz mniej osób będzie mogło wybierać ten środek transportu". Jak sprowadziliśmy na siebie taką przyszłość?

Tak naprawdę moja książka pokazuje tylko wycinek potężnych zmian, które zdecydowały o tym, że polskie metropolie odjeżdżają mniejszym ośrodkom. Ponowne wejście Polski w orbitę kapitalistycznego Zachodu, przypieczętowane naszą akcesją do Unii Europejskiej, wiązało się z globalnymi procesami, na które nie mieliśmy większego wpływu, szczególnie że bardzo mocno postawiliśmy na inwestycje zagraniczne. Do spraw związanych z niezależną od nas globalizacją dołożyliśmy kwestie, na które mieliśmy wpływ jako państwo: od początku III RP systemowo wspieraliśmy największe miasta i zaniedbaliśmy pozostałe ośrodki. W trakcie pisania książki przeprowadziłem wywiady z geografami, ekonomistami, politologami, socjologami, urzędnikami i politykami. Wszyscy mówili jedno: po 1989 roku Polska nie miała polityki terytorialnej. Zabrakło realnego myślenia mapą! Prowadzę obecnie nowe badania, analizuję różnej wielkości gminy w całej Polsce i trend jest jasny: Polska A zyskuje coraz więcej kosztem reszty kraju. Moim zdaniem to kolejny ważny i narastający podział, który może wkrótce wybuchnąć i wpłynąć na nasze procesy polityczne.

» Dlaczego?

Zarówno wśród samorządowców, jak i mieszkańców mocno odczuwalne jest duże poczucie pesymizmu związane z politykami publicznymi. Dominuje przekonanie, że od lat jest coraz gorzej. Działalność wielu lokalnych instytucji, choćby kulturalnych, przedstawiana jest jako wynik samozaparcia pozostałych jeszcze elit. Często wraca słowo znane z tytułu głośnej książki Marka Szymaniaka, czyli „zapaść": młodzi ludzie uciekają, bo nie ma po co zostawać w rodzinnym mieście, a jeśli jest praca – to trudna i za płacę minimalną, bez dalszych perspektyw zawodowych.

Zatrważające jest jeszcze coś: lokalni politycy często nie są w stanie nazwać realnych potrzeb miast, za które odpowiadają. Zapytani o to, mówią, że potrzebują pieniędzy, ale nie ma za tym żadnej wizji rozwoju czy chociaż powstrzymania upadku.

» Jednym z najważniejszych miast mojego dzieciństwa było wielkopolskie Leszno, do 1 stycznia 1999 roku stolica województwa. Na początku XXI wieku to miasto o interesującej historii i niemałym potencjale komunikacyjnym i przemysłowym, do dziś znane z żużla i pokazów lotniczych, zaczęło marnieć w oczach. Zaczęło robić się senne, zapyziałe, coraz starsze, bo nie dość, że straciło status, to pierwsza dekada transformacji niosła ze sobą niemałe wyzwania. Co straciły, a co zyskały byłe miasta wojewódzkie w III RP?

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Różnice są najbardziej odczuwalne, gdy porównamy sytuację Poznania czy Wrocławia choćby ze wspomnianym Lesznem. Szczególnie jeśli za punkt wyjścia przyjmiemy początek transformacji. Wraz z utratą statusu stolic województw, z miast wyparowało minimum kilkaset, jeśli nie więcej, miejsc w sektorze publicznym. To było stabilne zatrudnienie, wokół którego nierzadko budowały się miejscowe kariery i elity. To nagle zniknęło.

» Ktoś powie, że pozbyto się zbędnej biurokracji…

A może lokalnej inteligencji? W Europie Środkowo-Wschodniej, żeby zastanawiać się nad państwem i jego sprawami, trzeba wykonywać za pieniądze odpowiedni zawód. Można być naukowcem, ekspertem, dziennikarzem albo na różnych szczeblach zasilać kadry tego państwa. Upadek byłych miast wojewódzkich – czy szerzej: miast średniej wielkości – wiąże się ściśle z kryzysem lokalnych elit. Nagle się okazuje, że nie da się nie tylko robić kariery, lecz także utrzymać siebie i rodziny na odpowiednim poziomie w mieście, z którego wyparowują lepsze miejsca pracy. Tak powstał niebezpieczny trend: wielu młodych ludzi szybko spostrzegło, że w swoich miejscowościach ma bardzo nisko zawieszony sufit. A to wszystko działo się w pierwszej dekadzie transformacji, czyli w momencie naprawdę trudnym dla wielu regionów i miast w Polsce. Nie wiem, jakie było bezrobocie we wspomnianym przez pana Lesznie w tamtych czasach, ale w mojej rodzinnej Częstochowie to było 20 proc. To była tragiczna sytuacja, o której dzisiaj się już nie pamięta.

» Jednymi z motywów reformy samorządowej, która zmniejszyła liczbę województw z 49 do 16, były spodziewana akcesja do UE i związane z tym przekonanie, że mniejsza liczba ośrodków wojewódzkich łatwiej sobie poradzi ze staraniami o unijne fundusze.

Z badań, do których dotarłem, wynika, że 50 proc. więcej środków unijnych na osobę dotarło do mieszkańców obecnych miast wojewódzkich niż byłych miast wojewódzkich. Mówię o wnioskach z badania Anny Kurniewicz i Pawła Swianiewicza, opublikowanych w tekście „Ból fantomowy czy realna strata? Wpływ utraty statusu stolicy województwa na rozwój gospodarczy i miejsce w hierarchii systemu osadniczego" („Prace i Studia Geograficzne", 2016 r.).

» A przy okazji: w Elblągu bardzo nie lubią Olsztyna. Domyśla się Pan dlaczego?

Myślę, że może chodzić o pieniądze. Unijne pieniądze. [śmiech] Władze regionalne projektują wiele inwestycji pod swoją stolicę. Polityczny ciężar regionu ściśle wiąże się z ośrodkiem wojewódzkim. Jedni kumulują inwestycje, bo pieniądz przyciąga pieniądz, a miasta, które straciły na reformie administracyjnej, utknęły w pułapce bardzo ograniczonego rozwoju. Dla młodych to pociąga konkretne decyzje: Leszno, Częstochowa czy Tarnobrzeg przestają być miejscami, które pomogą osiągnąć życiowy sukces, bo lepsza praca i płaca są gdzie indziej.

A jeśli mówimy o Elblągu i Olsztynie – kłania się historia! Olsztyn to serce Mazur, Elbląg od zawsze ciążył ku Pomorzu. To są zupełnie różne ośrodki miejskie i w takich realiach administracyjnych tylko jeden może być największym wygranym. Podobnie Częstochowę „doklejono" do Śląska, choć historycznie to się zupełnie nie spina. To są odgórne decyzje, bardzo sztuczne, a wzajemne animozje między byłymi miastami wojewódzkimi a obecnymi stolicami regionów napędzają konflikty o inwestycje.

Byłe miasta wojewódzkie dużo straciły i symbolicznie, i prestiżowo. Zniknęły z nich choćby redakcje lokalnych gazet. W Częstochowie niegdyś działał prężny oddział „Gazety Wyborczej", dzisiaj – o ile się nie mylę – pozostał tam jeden dziennikarz, który pisze

o wszystkim. W lokalnych społecznościach często budzi się frustracja, że nie są zauważane przez duże ośrodki przekazu. Inna rzecz, że w czasach social mediów lokalne wspólnoty na nowe sposoby odzyskują własny głos. Sam przygotowałem sporo materiałów na swoje socjale, poświęcone choćby temu, z czego mogą być dumne mniejsze miasta. I wiem, jak wielką popularnością cieszyła się rolka z Radomia o tamtejszej fabryce broni „Łucznik".

Lokalne media są bardzo słabe, nie przebijają się do mainstreamu z tematami. W mojej rodzinnej Częstochowie już kilka osób z najwyższych władz miejskich ma zarzuty korupcyjne, a sam prezydent Krzysztof M. ma zakaz sprawowania swojej funkcji, nawet zbliżania się do urzędu. W mieście mało kto o tym wie, a to powinna być sprawa najwyższej wagi.

» Nie przesadzamy z narzekaniem na warszawocentryzm dużych mediów?

Podam przykład Częstochowy, gdzie niedawno wyburzono postmodernistyczny dworzec kolejowy, który powstał jeszcze na bazie PRL-owskich wojewódzkich planów na to miasto. Dworzec budził kontrowersje, ale wielu mieszkańcom naprawdę się podobał. PKP wbrew woli znacznej części lokalnej społeczności zdecydowały o jego wyburzeniu i zastąpieniu go znacznie mniejszym i bardzo sztampowym. Dla miasta to było duże wydarzenie, o którym powszechnie dyskutowano. W dniu, w którym zaczęto wyburzenie, w Warszawie świętowano dostarczenie nowych wagonów do metra. Sprawdziłem tego dnia wszystkie duże media: wszystkie z kamerą biegały za Rafałem Trzaskowskim, który przejechał się metrem. O Częstochowie ani słowa – to, co było bardzo ważne dla mniejszego miasta, kompletnie wypadło z optyki mainstreamu, zainteresowanego wyłącznie stolicą.

To ma smutne konsekwencje społeczne: ludzie z mniejszych ośrodków, gdy trafiają do metropolii, przestają się przyznawać do swojego pochodzenia. Nie mówią na przykład, że są ze wsi albo z małych miast położonych dalej od miasta wojewódzkiego. Bo mają poczucie, że to nikogo kompletnie nie obchodzi. To problem tożsamościowy: jeśli na pewnym etapie nie wytworzymy lokalnych więzi, lokalnej dumy, zakorzenienia, to później ludzie, którzy wyjeżdżają na stałe, zapominają o miejscach, z których pochodzą, wypierają się ich, nie chcą lub nie potrafią walczyć o ich interesy, gdy zrobią karierę. Pojawia się za to ulga i poczucie: wyjechaliśmy stamtąd, jesteśmy lepsi, mamy to gdzieś.

» Lokalne elity nie walczyły o swoje w czasach reformy administracyjnej? Nie zdawały sobie sprawy, co się szykuje?

Moim zdaniem problem jest szerszy. Gdy tworzono reformę, nie zdawano sobie sprawy z realnych, twardych, ekonomicznych konsekwencji wprowadzanych zmian. Wiele mówiono o samorządzie i decentralizacji, zapewniano, że reforma administracyjna to ustrojowy krok naprzód, ale kompletnie nie dyskutowano o tym, co się stanie z lokalnymi miejscami pracy i z inwestycjami w miastach, które stracą status stolic wojewódzkich.

Trzeba jednak zaznaczyć, że były ośrodki, w których nie tylko zdawano sobie sprawę z nadchodzącego ryzyka, lecz także zdecydowanie walczono o swoje. Najlepszym przykładem jest Opole: tamtejsze elity potrafiły się zjednoczyć wokół wspólnego celu i wywalczyły własne województwo. To stało się ponad podziałami: prawica, lewica, lokalny Kościół, mniejszość niemiecka, kadry naukowe, urzędnicy, budujący się dopiero biznes. Michał Kulesza, jeden z ojców reformy samorządowej, w swoich wspomnieniach podaje, że nie zdecydował się, by odebrać status wojewódzki Opolu, bo bał się, że powstanie w Polsce „kwestia opolska", tak duże były społeczne i polityczne emocje w regionie.

W mojej rodzinnej Częstochowie lokalne elity nie potrafiły zebrać się w sobie, nieliczni próbowali walczyć o zachowanie statusu miasta wojewódzkiego, inni chcieli coś na tym dla siebie ugrać, jeszcze inni zachowywali się biernie.

» W Częstochowie długo później rządzili politycy Sojuszu Lewicy Demokratycznej. To była szersza prawidłowość: postkomuniści do upadku Leszka Millera w 2004 roku nieźle grali na wszelkich społecznych frustracjach.

Tak rzeczywiście było – świetnym przykładem są Kielce, dla których Aleksander Kwaśniewski wywalczył województwo świętokrzyskie. Politycy SLD mocno się w to zaangażowali, w odróżnieniu od polityków innych partii, i sporo na tym wówczas w regionie wygrali.

To prawidłowość, którą przeoczają liczne polityczne siły. Przypomnijmy głośne teksty Karola Trammera, eksperta od kolei, w których wprost twierdzi, że Włoszczowa zbudowała siłę Prawa i Sprawiedliwości wśród mieszkańców Polski B. Warszawocentryzm zaślepia partie liberalnych elit?

Powiem inaczej: w Polsce są pojedynczy politycy, którzy potrafią się troszczyć o Polskę mniejszych miejscowości. Wśród nich jest Andrzej Adamczyk (PiS), były minister infrastruktury, człowiek z Małopolski. On przyciągał inwestycje do Małopolski, Krakowa, Nowego Sącza. To on wylobbował linię kolejową nr 622, czyli Podłęże-Piekiełko.

Nie zawsze to się jednak udaje – tak było choćby z Rządowym Funduszem Inicjatyw Lokalnych, powstałym w 2021 roku, gdy Unia zablokowała Polsce środki z Krajowego Programu Odbudowy. Program uprzywilejowywał niemal wyłącznie najmniejsze miejscowości, czyli wyborców PiS. Z badań Jarosława Flisa wynikało, że korzystają na nim przede wszystkim gminy, w których zwyciężała rządząca wówczas partia. Nie pomyślano nie tylko nad poszerzeniem bazy, lecz także nad poważniejszymi inwestycjami z tego programu.

Również moja rodzinna Częstochowa nie jest w stanie postarać się ani o duże inwestycje, ani o ważne urzędy. Nie mieliśmy do tej pory żadnego liczącego się polityka, który byłby w stanie zdobyć coś dla tego miasta. A przecież nie brakuje i dzisiaj polityków ważnych w rządzącej partii, którzy są z Częstochowy. Izabela Leszczyna, do niedawna minister zdrowia, nie była w stanie niczego wywalczyć dla tego miasta!

» Fetysz polskiego modelu rozwoju, czyli teoria skapywania, w praktyce nie działa?

O tym, że teoria skapywania nie działa, wiadomo przynajmniej od połowy lat 80. XX wieku. Model polaryzacyjno-dyfuzyjny albo nie sprawdza się w ogóle, albo działa na bardzo wąskim obszarze. Największe polskie miasto, czyli Warszawa, która przez dekady otrzymywała najpotężniejsze środki publiczne, jako sfera dobrobytu oddziałuje w obszarze 50–60 km od siebie. Podobnie wygląda sytuacja z Krakowem. Miasta takie jak Ciechanów czy Łomża padają ofiarami odwrotnego zjawiska: metropolie wysysają z nich kapitał ludzki, w dodatku silniejsi gracze skutecznie blokują napływ inwestycji do mniejszych miast.

» Wróćmy jeszcze do środków unijnych w kontekście reformy administracyjnej.

Twierdzono, że reforma jest potrzebna, żeby w ogóle uzyskać środki unijne. Wówczas chodziło o środki przedakcesyjne, dystrybuowane na poziomie województw. Twierdzono, że 49 województw nie obsłuży efektywnie tych środków. To nie była prawda. W UE mieliśmy przykłady mniejszych regionów, które świetnie sobie radziły z absorpcją unijnych środków. Holandia, która ma świetną administrację publiczną, ma regiony o wiele mniejsze niż nasze ówczesne województwa. Znacznie mniejsze są

także chorwackie regiony administracyjne. Ten argument miał po prostu wywrzeć presję na naszej klasie politycznej, a skończyło się modelem, w którym z jednej strony mamy przeogromne województwo mazowieckie, a z drugiej – niewielkie opolskie.

Na kształt polskich reform administracyjnych niemały wpływ miało to, że dwaj prawnicy, którzy za nie odpowiadali, czyli Michał Kulesza i Jerzy Regulski, byli zapatrzeni w model francuski. Oni właściwie chcieli skopiować francuski podział na gminy, powiaty i województwa. Byli prawnikami, narzucili swoją perspektywę, bardziej obchodziły ich decentralizacja i liberalizm ustrojowy niźli sprawy społeczno-gospodarcze.

» Jakie to miało praktyczne skutki?

Dobrym przykładem jest program „Dialog i rozwój", który miał pomóc miastom tracącym status stolic wojewódzkich. W jego ramach część administracji pozostawiono w tych ośrodkach – w ramach delegatur wojewódzkich. W niektórych miastach stworzono państwowe wyższe szkoły zawodowe, choć lepszym pomysłem byłyby uniwersytety lub politechniki. Część tych placówek została zresztą szybko wygaszona – okazały się zbyt mało atrakcyjne dla młodych ludzi.

Najbardziej absurdalna część powyższego programu to część inwestycyjna. Wszystkie byłe miasta wojewódzkie dostały po 120 tys. zł na inwestycje, które miały zrekompensować utratę statusu. To nawet wówczas były śmieszne pieniądze!

» Reforma administracyjna z 1999 roku nie miała sensu?

Ona musiała się wydarzyć. Administracyjne reformy Edwarda Gierka z połowy lat 70. miały przede wszystkim kontekst polityczny. Pierwszy sekretarz PZPR, znakomicie zorientowany w śląskich realiach, wiedział, w jaką siłę urośli wojewódzcy partyjni bonzowie. Chciał ukrócić i rozdrobnić ich władzę. I stąd z 17 województw zrobiło się 49, pojawiły się tak małe województwa, jak sieradzkie czy tarnobrzeskie. Racjonalne były obawy, że w nowym, kapitalistycznym świecie nie poradzą sobie zarówno instytucjonalnie, jak i gospodarczo.

Historycznie patrząc, Polska jest jednak krajem policentrycznym, czyli składającym się z wielu zróżnicowanych i historycznie mocno zakorzenionych ośrodków miejskich. Dzisiaj wytracamy ten potencjał, choć naprawdę wiele państw w Europie troszczy się o spójność regionalną, wzmacnia mniejsze ośrodki. Kryzys miast średnich się pogłębia, a reforma administracyjna z 1999 roku tylko go wzmocniła.

» Tyle że mamy już rok 2026. I społeczeństwo, i środowiska uważające się za elity miały czas, by inaczej spojrzeć na sprawę.

Opowiem panu na zakończenie anegdotkę. Nie tak dawno byłem na imprezie z bardzo ważną osobą, odpowiadającą za istotną gałąź infrastruktury i komunikacji publicznej. Po dużej ilości alkoholu (on pił, a ja nie) pojawił się temat dworca PKP w Częstochowie. Broniłem starego dworca, dopytywałem, dlaczego zamieniono go na mniejszy. Rozmowa się rozkręciła, zeszliśmy na problemy średniej wielkości miast i ich połączeń komunikacyjnych. VIP w chwili szczerości wyznał, że w Polsce obowiązują pewne „prawa natury", a jednym z nich jest to, że zdolni i pracowici ludzie żyją tylko w wielkich miastach i tam robią kariery. A cała reszta żyje w Polsce B i nie zasługuje na pomoc państwa. Bardzo ważny pan od publicznego transportu w chwili szczerości powiedział to głośno i wyraźnie przy kilkunastu osobach. Próbowałem go przekonać do innych racji, ale patrzył na mnie mocno z góry. Sprawdziłem jego życiorys, sam pochodzi z mniejszego miasta. ■



Dwumetrowego wzrostu oryginał. Arystokrata wychowany w kosmopolitycznym świecie. Wybitny artysta, za młodu zarażony pacyfizmem. Znalazł się w najważniejszym miejscu dla polskiej sprawy, z rozkazu generała Andersa szukając zaginionych polskich jeńców, których zamordowano w Katyniu. Rok 2026 decyzją Sejmu jest rokiem Józefa Czapskiego.

Piotr Lisiewicz

W chmurach i na nieludzkiej ziemi. Opowieść o Józefie Czapskim

Polscy oficerowie spotkali na drodze huculskiego chłopa. Zszedł on z gór, bardzo głodny, szukał jedzenia i pracy. Poprosił jednego z oficerów, by dał mu kawałek chleba. Na to panowie z faszystowskiej Polski pochwycili go, rozcięli mu brzuch, wypatroszyli i dla ubawu wepchnęli do otwartego brzucha bochenek chleba.

Józef Czapski słyszał tę zmyśloną historię w Sowietach wiele razy. Jak pisał, drukowano ją „codziennie w setkach wariantów, bo trzeba było dowieść wówczas, że każdy oficer polski jest łajdakiem". Po co? Zapewne po to, by nikt nie żałował tych, którzy mieli zginąć pod Smoleńskiem. „Katyń był fragmentem szeroko opracowanego planu, który wykonano na zimno" – pisał Czapski w swojej książce „Na nieludzkiej ziemi".

» W jednej skarpetce i dwóch krawatach

„Dla niego liczyły się tylko książki i malowanie. Mógł nawet nie jeść całymi dniami. Do tego był bardzo roztargniony, wciąż w chmurach. Kiedyś pojechaliśmy odwiedzić w szpitalu panią Marynię. Siedzimy, pan Czapski założył nogę na nogę, ja patrzę, a on zapomniał jednej skarpetki! Albo – w każdą niedzielę przychodziła w odwiedziny pani Teresa. Któregoś razu patrzę, a u pana Czapskiego na szyi dwa krawaty. O! – mówię – Pan Józefek dziś podwójnie elegancki!" – takie zabawne wspomnienie kucharki Janiny Gąskiewicz o Józefie Czapskim opublikował „Dziennik Bałtycki".

„Jednych nazywa się malarzami drzew, innych malarzami scen rodzajowych czy religijnych, ciebie nazwą malarzem ścierek" – te oskarżycielskie słowa bratowej Czapskiego, zgorszonej wyborem malowanych przez niego przedmiotów, przytacza Wojciech Karpiński w książce „Portret Czapskiego". Samemu „oskarżonemu" określenie to bardzo się spodobało.

„Wyskok do Paryża. Co widziałem? Pod czarną kolumną, na peronie stacji St. Lazare, jakieś śmiecie i parę rozbitych szklanek, błysk czystości tej bieli, jej blask – kontrast z szarością i czernią kolumny" – pisał w pamiętniku, którego fragmenty ukazały się w zbiorze „Wyrwane strony".

» Prawdopodobnie zbiegli do Mandżurii

Losy Polski spowodowały jednak, że Czapski nie pozostał tylko malarzem, lecz ważnym świadkiem historii. Ocalony więzień Starobielska odegrał istotną rolę w wyjaśnieniu zbrodni katyńskiej. Gdy po układzie Sikorski–Majski w Sowietach zaczęło powstawać polskie wojsko, gen. Anders powierzył kpt. Czapskiemu zbieranie informacji na temat zaginionych polskich żołnierzy.

Stalin w rozmowie z Sikorskim utrzymywał, że polscy jeńcy zostali wypuszczeni na wolność, a skoro nie można ich odnaleźć, to oznacza, iż zbiegli oni do Mandżurii. Czapski sprawdzał wszystkie pogłoski. Jak te o celowym zatopieniu trzech wielkich barek na Oceanie Lodowatym. Na każdej z nich miało mieścić się nawet po 4 tys. stłoczonych ludzi.

Jeździł po Sowietach, próbując bezskutecznie uzyskać pomoc od sowieckich elit. W Moskwie postanowił poprosić o pomoc poetę Ilję Erenburga, którego znał osobiście. Erenburg okazał całkowitą obojętność. „Zrozumiałem natychmiast, że gdyby istotnie chciał mi pomóc, gdyby mi choć wyrazem twarzy miał okazać współczucie, ćwierćzdaniem dać istotną radę... nie mieszkałby w hotelu »Moskwa«, ale gniłby już dawno w tundrach syberyjskich" – pisał Czapski.

Uzbrojony w pismo o utworzeniu polskiej armii zaczynające się od słów: „Z rozkazu Stalina...", odwiedził więc siedzibę szefa Gułagu. Przyjął go gen. Nasiedkin, „pan życia i śmierci lekko licząc dwudziestu milionów ludzi".

FOT. WIKIMEDIA

„Generał tłustą ręką gładzi dobrze wygolony podbródek... Patrząc na niego, na tle konstelacji oznaczających obozy, rozumiem, jak mu się ta sprawa wydawać musi drobna" – pisał.

Dotarł do gen. Leonida Reichmana z NKWD, uznawanego za jednego z najbardziej wpływowych ludzi Stalina. „Odpowiada mi sucho, nie patrząc mi w oczy, że to nie jest jego dział, że on o tym nie wie nic, ale że dla gen. Andersa jest gotów sprawę tę zbadać (nawiesti sprawki), żebym poczekał, że za parę dni" – zapisał Czapski. Wiedział już, że Reichman kłamie, bo to był właśnie jego dział, wszak rozmawiał z ludźmi, których „badał" on osobiście na Łubiance. I musi znać prawdę.

» W zrewoltowanym Petersburgu

Józef Czapski urodził się w Pradze 3 kwietnia 1896 roku. Był piątym z siedmiorga dzieci w arystokratycznej rodzinie Jerzego i Józefiny Leopoldyny z Thunów-Hohenstein Czapskich. Jako dziecko mieszkał w rodzinnym majątku, w Przyłukach pod Mińskiem Litewskim. „Związki rodzinne były mocno rozgałęzione, sięgają Niemiec, Inflantów, Austrii i Polski. Ten moment wydaje się ważny: Czapski od najmłodszych lat wyrastał bowiem w kulturze kosmopolitycznej, zdobył gruntowną znajomość języków, niemieckiego i francuskiego" – pisała o nim piśmie „Zwoje" Joanna Pollakówna.

Jak dowodziła, świadomość polskości i demokratyzm poglądów ugruntowały w Czapskim lektury – polscy poeci romantyczni, XIX-wieczni prozaicy. „Nie byt zasobny określił naszą świadomość, a Konopnicka, Orzeszkowa, Janusz Korczak, późny Żeromski i Tołstoj" – pisała jego siostra Maria Czapska.

Ukończył gimnazjum w Petersburgu. W 1915 roku rozpoczął studia na wydziale prawa tamtejszego uniwersytetu. Przerwał je i wstąpił do carskiego Korpusu Paziów, który przekształcony został w kurs oficerski. Mając 20 lat, widział w Petersburgu wybuch rewolucji. Jako ochotnik wstąpił do powstającego wojska polskiego – 1. Pułku Ułanów Krechowieckich. Ale w rok później podjął dramatyczną decyzję o wystąpieniu z wojska. Wielki wpływy wywarły na niego pacyfistyczne idee Tołstoja. Razem z braćmi Marylskimi, Antonim (późniejszym współtwórcą katolickiego zgromadzenia w Laskach) i Edwardem, założyli w Petersburgu wspólnotę religijno-pacyfistyczną. Miała ona poprzez modlitwę walczyć o uwolnienie świata od gwałtu i wojny.

Świadomość polskości i demokratyzm poglądów ugruntowały w Czapskim lektury – polscy poeci romantyczni, XIX-wieczni prozaicy.

» Pacyfista z Virtuti Militari

Po przyjeździe do Polski w 1918 roku Czapski zapisał się na Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Jednak po paru miesiącach zgłosił się do władz wojskowych, deklarując gotowość wspierania narodowej sprawy, byle nie wymagało to zabijania. Powierzono mu misję odszukania oficerów 1. Pułku Ułanów Krechowieckich, którzy trafili do niewoli. Wyjechał do Petersburga i ustalił, że Polacy zostali rozstrzelani. W Petersburgu nawiązał znajomości i przyjaźnie z rosyjską inteligencją – Dmitrijem Mereżkowskim i jego żoną Zinaidą Gippius, a także Dymitrem Filozofowem.

W 1920 roku, przezwyciężywszy pacyfistyczne opory, walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Dosłużył się stopnia podporucznika, został odznaczony Virtuti Militari. Jesienią 1920 roku wyjechał do Krakowa i został studentem tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. Związał się tam z grupą młodych malarzy, którzy nazwani zostali później kapistami.

„Czapski wraz z kolegami przeżywa euforyczny poryw ku nowoodkrywanej barwności i malarstwa, ku sztuce pojętej jako absolut. Zarazem ładunek i tonacja myśli zaczerpniętych z lektur – młodopolskich i rosyjskich – w pełen powagi sposób określają jego świadomość. Zasób doświadczeń życiowych i intelektualnych czyni go mniej od kolegów beztroskim" – pisze Pollakówna.

» Czy szpieg Czapski narysował plan Paryża

Gdy wybuchła II wojna światowa, został zmobilizowany do wojska. Ruszył walczyć, a w tym czasie spłonęły jego pamiętnik i niemal wszystkie obrazy. Do sowieckiej niewoli trafił 27 września 1939 roku na granicy województwa lwowskiego w Chmielku. Dwa polskie szwadrony otoczone zostały przez sowieckie czołgi. Zaręczano im, że szeregowi zostaną wypuszczeni, zaś oficerowie jedynie dowiezieni do Lwowa i tam wypuszczeni na wolność. „Dziś wydaje się dziką ślepotą, żeśmy sobie już zaraz nie uświadomił, o co chodziło wojskom sowieckim" – wspominał.

Wprowadzenie ich do Lwowa zapamiętał następująco: „Zostaliśmy zasypani jabłkami, papierosami, które nam wciskały straganiarki i przechodnie. Pamiętam wśród nich młodego Żyda z teczką, który również nam kupił jabłek i w takim pośpiechu rzucał je nam do auta, że wrzucił przez pomyłkę razem z jabłkami i swoją teczkę". Ale w Tarnopolu, obwieszonym czerwonymi sztandarami i transparentami, było już inaczej. „To były dni, kiedy jeszcze większość mas ukraińskich i żydowskich z entuzjazmem witała sowieckie wojsko" – wspominał.

Trafił do Starobielska. W czasie przesłuchania powiedział enkawudzistom, że przez osiem lat pracował w Paryżu jako malarz. A, czyli szpieg. „Czy pan myśli, że my nie rozumiemy, że pan właśnie jako malarz mógł narysować plan Paryża i ten plan przesłać ministrowi do Warszawy?" – usłyszał. „Nie mogłem w żaden sposób wytłumaczyć mojemu rozmówcy, że plan Paryża można dostać za kilkadziesiąt centymów na każdym rogu ulicy" – pisał.

Kreślił sylwetki współwięźniów. Jednym z nich był doktor Dadej, pediatra zakopiański, który prowadził wielki zakład w Bystrem dla najbiedniejszych dzieci gruźliczych: „Siedział godzinami bezczynnie ten polski »burżuj«, który w Polsce wymyślał sto powodów, żeby od pacjenta nie brać pieniędzy… Teraz, karmiony morałami naiwnych politruków i badany przez głupich i chytrych sędziów, z trudem znosił te warunki bytowania".

Święto 11 Listopada obchodzono wbrew zakazom we wszystkich barakach. Najwspanialej wypadło w „Szanghaju". Tak nazywali zabudowaną pryczami cerkiew. „Jeden z kolegów deklamował »List z Sybiru« Or-Ota, który w tych warunkach robił wstrząsające wrażenie, bo naprawdę wydawał się dla nas pisany". Deklamowano też Mickiewicza i „Karmazynowy poemat" Lechonia. „Nie miałem wyobrażenia przed rokiem 1939, jak może być powszechna reakcja na naszych poetów i na Chopina w masie Polaków, jeżeli ci Polacy są uczuleni na sypiące się na nich ciosy" – pisał.

Wywożonych z obozu uspokajano, że idą dla nich lepsze czasy. „Wyjeżdżacie tam, dokąd i ja bardzo chciałbym pojechać" – zapamiętał słowa komendant obozu ppłk Bieriežkow.

» Wysadzali nas koło Smoleńska

W więźniarce pojawiło się jednak dziwne ostrzeżenie – napisy na ścianach: „Wysadzali nas koło Smoleńska". Czapski znalazł się wśród około 400 więźniów Kozielska, którzy ocaleli, przywiezieni do Pawliszczew Boru, a stamtąd do obozu w Griazowcu, gdzie był od maja 1940 do lata 1941 roku. W czerwcu 1941 roku Niemcy zaatakowały bowiem Związek Sowiecki, a Polacy po układzie Sikorski–Majski zaczęli być zwalniani z obozów i mieli tworzyć walczącą ze wspólnym wrogiem armię.

Napotykani po drodze Rosjanie dziwili się, że Polacy mieli walczyć u boku komunistów. Chłop zapewniał, że chce się bić, ale „przeciwko czerwonym łajdakom". Z kolei chłopka opowiadała, że 300 mężczyzn z ich wsi wyruszyło na wojnę, ale „wszyscy na szyi krzyże zawiesili i powiedzieli, że się poddadzą Niemcom".

W ramach misji poszukiwania zaginionych polskich jeńców Czapski odwiedzał różne rejony Związku Sowieckiego. Pisał o eksterminowanych przez Stalina Czeczenach. Stwierdzał, że metoda postępowania Sowietów na Kaukazie była „powtórzeniem klasycznym rozbiorów Rzeczypospolitej, te same metody kolejnego rozczłonkowania przedpola na bufory, wygrywania ich wzajemnie". Cytował kirgijskie przysłowie: „Jeśli masz rosyjskiego przyjaciela, trzymaj kamień w zanadrzu". Odnotowywał, że w Uzbekistanie na brzydkiego chłopca mówią „urusbaj", czyli „podobny do Moskala".

Został Szefem Propagandy armii Andersa. Podlegało mu wydawanie prasy, w tym pisma „Orzeł Biały". W tej ostatniej sprawie zyskał „pomocnika", jakim był kapitan Sokołowski, młody sowiecki oficer, zajmujący się cenzurowaniem. W wielkanocnym numerze pisma ukazać się miał artykuł płk. Perkowicza. „Rozdzwoniły się dzwony kościołów Poznania, Krakowa, Warszawy, Wilna i Lwowa" – napisał on. Spotkało się to z protestem Sokołowskiego, który zarzucił, że artykuł „implikuje przyszłe granice Polski, sprawę jeszcze nie rozstrzygniętą". W końcu salomonowe rozwiązanie wymyślił autor: dodał do listy rozdzwonionych Chicago i Kurytybę, największe skupiska polskiej emigracji.

» Samotni pod Smokiem na niebie

W ramach kontaktów kulturalnych z Rosjanami Czapski spotykał się w Taszkiencie ze wspierającym bolszewików Aleksandrem Tołstojem, a także zakazaną przez wiele lat wybitną poetką Anną Achmatową. Czytał jej wiersz Stanisława Balińskiego o zniszczonej Warszawie. Wspominał: „Widzę jeszcze łzy w wielkich oczach milczącej Achmatowej, kiedy niezręcznie tłumaczyłem ostatnią strofę »Kolędy warszawskiej«":

A jeśli chcesz Go narodzić w cieniu
Warszawskich zgliszcz,
To lepiej zaraz po narodzeniu
Rzuć go na krzyż.

Jaki był charakter ich znajomości? Achmatowa poświęciła Czapskiemu wiersz „Taszkienckie stroniczki":

Tej nocy dla siebie straciliśmy głowę,
Świeciły nam tylko ciemności grobowe,
Szemrały w swej mowie aryki,
I Azją pachniały goździki.

I w miasta obcego wnikając martwotę,
W pieśń dymem pachnącą i w nocną spiekotę,
Samotni pod Smokiem na niebie,
Nie śmieliśmy spojrzeć na siebie.

Czapski znalazł się wśród tych szczęśliwców, którym udało się wydostać z Sowietów do Persji. Uwolnionych Polaków azjatycka Persja

oszałamiała wolnością. 12 maja 1945 roku we francuskim piśmie „Gavroche" opublikował artykuł „Prawda o Katyniu". „Najwyższy już czas, aby to, co było na przestrzeni paru lat rodzajem piłeczki propagandowej odbijanej przez wzajemnie oskarżających się Niemców i Rosjan, zostało wreszcie wyjaśnione przy pomocy obiektywnej dokumentacji" – stwierdzał. Prezentując ją, tak pisał o procesach norymberskich: „Jesteśmy zatem świadkami wydarzenia bez precedensu w historii prawa i sądownictwa cywilizowanego świata, kiedy to strona oskarżona o zbrodnie sama oskarża o nie inną stronę i ją sądzi z tego tytułu".

» Przeciw kultowi rekordu

W Paryżu zaangażował się w działalność paryskiej „Kultury". Został jej publicystą, zbierał pieniądze na jej wydawanie w czasie odczytów w Ameryce. Mieszkał w jej siedzibie w Maisons Laffitte. Publikował też w pismach „Le Figaro Littéraire", „Preuves", „Nova et Vettera", „Carrefour". W 1950 roku współorganizował Kongres Wolności Kultury w Berlinie.

I malował. Jego obrazy pokazywano na wystawach we Francji, w Szwajcarii, Wielkiej Brytanii, Brazylii, Belgii. W PRL był niemal przez cały czas zakazany. Wyjątek pojawił się po październiku 1956 roku, gdy pozwolono na dwie jego wystawy – w Poznaniu i Krakowie. Na kolejną czekać miał 30 lat. Doszło do niej w 1986 roku w Muzeum Archidiecezjalnym w Warszawie.

Opublikowane fragmenty pamiętnika „Wyrwane strony" to rozważania o malarstwie i czytanych książkach. Pojawia się dystans w stosunku do kultu sukcesu: „Co uważałeś w sobie za najlepsze, czym żyłeś, z czego byłeś po cichu dumny – okazuje się wcale nie cnotą, ale formą próżności, ambicji, egoizmu".

Gdzie indziej pisze: „Młodość, jak często szczęśliwa (wystarczy patrzeć na te twarze młodych, słyszeć ich szczęśliwy śmiech), ale ona »o tym szczęściu nie wie«. W starości jest się szczęśliwym o ile rzadziej, ale się o tym szczęściu wie, i z jaką siłą gwałtowną!".

W 1965 roku napisał o przeprowadzce w góry: „Ostatnie pakowanie. Od marca wynajęliśmy dwa pokoiki w górach – marzenie ilu lat, być »na swoim«, nie w gościnie i malować, marzenie powracające malowania w górach. Teraz cienia ochoty".

> Czapski znalazł się wśród tych szczęśliwców, którym udało się wydostać z Sowietów do Persji. Uwolnionych Polaków azjatycka Persja oszałamiała wolnością.

» Kochał życie

Kucharka Janina Gąskiewicz wspominała, jak przeżywał to, co działo się w Polsce: „Pamiętam, jak pewna delegacja z Polski przywiozła mu kopię jego książki »Na nieludzkiej ziemi«, oprawioną w zgrzebne deski. Tak był wzruszony, że nie mógł mówić, tylko płakał. A gdy już emocje wzięły górę, to nie mógł jeść".

Zmarł 12 stycznia 1993 roku, mając 96 lat. Pochowany został na cmentarzu w sąsiadującej z Maisons-Laffitte miejscowości Le Mesnil-le-Roi, obok swojej siostry Marii. Gąskiewicz zapamiętała pogrzeb po swojemu: „Na cmentarzu, gdy otworzyli grób pani Maryni, okazało się, że trumna pana Czapskiego zwyczajnie się tam nie mieści! Że za długa? Że miał ponad dwa metry wzrostu? A ja myślę, że on bardzo nie chciał umierać. Kochał życie!". ■

Uprzejmy milicjant – poradnik na dziś!



Tomasz Łysiak

W 1964 roku Oddział Szkolenia KG MO wydał książkę, stanowiącą swego rodzaju przewodnik savoir-vivre dla milicjantów. Rzecz nosi tytuł „Uprzejmy milicjant". Autorzy – Irena Gumowska i Jan Kapica – już we wstępie zaznaczali, iż „każdy funkcjonariusz milicji jest jednocześnie przedstawicielem państwa, wykonawcą władzy, autorytetem i… zwykłym obywatelem, jak każdy śmiertelnik". Dzisiaj sięgam po ten poradnik kierowany myślą, że i w obecnej dobie, gdy milicja, przepraszam, policja obywatelska wpada do mieszkań bez pukania, to robi to zawsze z uśmiechem, według najlepszych wzorców. Zupełnie tak, jakby podręcznik „Uprzejmy milicjant" nadal obowiązywał w służbach. A jak nie obowiązuje, to powinien…



Poradnik milicjanta to pokaźne dzieło, liczące ponad 150 stron. Są w nim rozdziały o czystości i higienie osobistej, koleżeństwie, przeprowadzaniu staruszek przez jezdnię, są wskazówki, by myć zęby i nie trzymać nóg na siedzeniu w pociągu, gdyż brzydki zapach skarpet mógłby utrudniać jazdę innym podróżnym. Są wskazania, jak zachowywać się w teatrze, przy stole lub w lokalach gastronomicznych. Nigdzie nie ma co prawda instrukcji, jak pałować manifestantów czy też bić zatrzymanych, ale przecież nie o to chodziło w poradniku. Zapraszam Państwa do arcyzabawnej lektury niektórych fragmentów.

» Żeby nie zrazić kobiet

Zacznijmy od milicyjnych podwiązek. Poradnik opisuje problem, na jaki może napotkać siadający przy innych obywatelach milicjant: „Siedząc, zakłada się często nogę na nogę. I wtedy przez podciągnięcie nogawki spodni wystawia się na widok publiczny miejsce, w którym długie kalesony (gdy je się nosi) łączą się ze skarpetkami. Nie można powiedzieć, żeby widok niedbale opadającej skarpety czy zwisających troków od kalesonów należał do zbyt interesujących. Raczej wręcz przeciwnie. Warto jeszcze dodać, że kobiety na tym punkcie są szczególnie wrażliwe i taką »kokieterią« można je zupełnie zrazić". Tu następuje porada, by skarpeta była zaopatrzona bądź w elastyczny ściągacz, bądź podwiązkę. Wśród ważnych porad dotyczących wyglądu i ubioru znajdziemy też taką: „Nie bójmy się korzystać z lustra – jest przecież dla ludzi. […] Systematyczne sprawdzanie i poprawianie swojego ubioru, uczesania itp. przechodzi z czasem w nawyk i nie sprawia nikomu większego kłopotu". Niestety, nie znalazło się tu wskazanie dotyczące patrzenia w lustro w kwestiach etycznych, ale pal sześć – rozdziału „Moralność" w poradniku nie ma w ogóle. Za to jest wskazówka, by nie zakładać za małej czapki, gdyż takowa wciśnięta na głowę może ośmieszać władzę ludową. Czapkę ściąga się w mieszkaniu, chyba że „jesteśmy w czapce z paskiem pod brodą" – wtedy nie trzeba jej zdejmować, jeśli pobyt w mieszkaniu jest na krótko.

» Włosy myjemy przynajmniej co 7–10 dni

Jednak najważniejsza jest higiena. Przekonuje o tym podrozdział „Czystość przede wszystkim": „Nawet najlepsza znajomość i stosowanie przepisów (kiedy i jaki mundur należy wkładać lub jak nosić odznaczenia) nie pomoże, jeżeli spod przepisowej koszuli będzie wyglądać niezbyt czysta szyja, a na kołnierzu znajdą się włosy i łupież albo ręce będą »zdobić« czarne obwódki pod paznokciami". Według podstawowych zasad higieny z podręcznika milicjant powinien myć się… codziennie: „Dokładne mycie powinno się odbywać wieczorem, przed pójściem spać. Rano można się już tylko spryskać chłodną wodą dla orzeźwienia". Kąpiel jest zalecana dwa razy w tygodniu. A jak się nie ma łazienki, to raz na tydzień lub raz na 10 dni, należy iść do łaźni. Trzeba też dbać o fryzurę: „Włosy. Powinny być nie tylko porządnie ostrzyżone, ale i wymyte. Włosy myjemy przynajmniej co 7–10 dni, a codziennie – starannie szczotkujemy". Milicjant oczywiście powinien także myć zęby oraz dbać o ręce i paznokcie. Ale tu należy uważać: „Wszelkie manipulacje przy paznokciach w obecności osób trzecich są bardzo nieestetyczne. Niestety zdarza się czasami, że podczas odprawy czy odczytu nagle ktoś wyjmuje pilniczek lub scyzoryk i zaczyna sobie wydłubywać brud spod paznokci. Jest to absolutnie niedopuszczalne"….

FOT. ARCH.

» Obywatelu Kowalski, proszę za mną

„Z szacunkiem do obywatela" to tytuł dużego rozdziału, w którym rozpatruje się kwestie związane ze sposobami zachowań w stosunku do obywateli. Chodzi tu z jednej strony o dystans i stanowczość, a z drugiej o sympatyczne zachowania. „Ludzie nie lubią wyważania otwartych drzwi", zauważają przy okazji autorzy, co można teraz potwierdzić wobec trwających w ostatnich tygodniach akcji wyważania drzwi u polityków prawicy, w domu rodzinnym pana prezydenta czy u dziennikarzy Republiki.

„Sztywność i ponuractwo" – ostrzega wytłuszczonym drukiem podtytuł, podkreślając, że taka postawa nie dodaje nikomu „ani powagi, ani autorytetu". Jednak trzeba też uważać na zbytnią poufałość (taki jest kolejny podtytuł) w kontaktach z obywatelem. Najlepiej jest zachować dystans, gdyż „dystans ułatwia zachowanie godności i tego, co rozumie się przez pojęcie »władzy«. I tu znajdziemy poradę konkretną: „Jeśli się zna nazwisko osoby, z którą się przeprowadza rozmowę urzędową czy do której należy się zwrócić z jakimś poleceniem, można tego nazwiska użyć. Np. »Obywatelu Kowalski, proszę za mną«. »Obywatelko Karaś, proszę zaczekać«. Zwróćmy uwagę, że słowo »proszę«, zależnie od tego jakim tonem jest wypowiedziane, może być także… rozkazem". Autorzy zauważają, że „wśród funkcjonariuszy MO przyjęła się forma zwracania się do osób obcych przez »obywatelu«".

» Garbatemu nie „wymawiać jego garbu"

Ważnym elementem postawy milicjanta wobec społeczeństwa jest także dotrzymywanie słowa (temu poświęcono cały podrozdział). „Funkcjonariusz nie powinien nigdy obywatelowi obiecywać tego, czego nie jest w stanie dla niego zrobić. Jeżeli nawet przypuszcza, że mu się coś uda, ale nie ma 100% pewności, nie powinien czynić obietnic ani nawet stwarzać pozorów pewności załatwienia takiej, czy innej sprawy". Dedykuję te słowa premierowi Donaldowi Tuskowi. Już w 1964 roku w instruktażu dla milicjantów padały słowa, które funkcjonariusze KO mogliby stosować i dzisiaj. Ważne też, by w mówieniu prawdy i szczerości nie przekraczać pewnych granic. Przewodnik savoir-vivre dla milicjantów radzi, by osobom chorym na Heine-Medina nie mówić: „ale ty masz sztywne nogi", zaś garbatemu nie „wymawiać jego garbu". „Tak samo zwracając się do obywateli nie trzeba im koniecznie mówić, co się o nich myśli, choćby się nawet miało w pełni rację".

» Inaczej chodzi ktoś, kto ma nieczyste sumienie

Ważne wskazania w podręczniku dla milicjantów dotyczą kwestii postawy ciała i chodu na ulicy: „Gdy mówimy o ładnym chodzie mamy na myśli chód sportowy. Prawidłowa postawa, głowa wysoko podniesiona, wyprostowane barki, długość kroku dostosowana do wzrostu. Ręce podczas chodzenia nie mogą się zachowywać, jak skrzydła wiatraka ani zwisać sztywno jak martwe". Tu czytelnik napotyka jedną z wkładek ze zdjęciami. Milicjant przeprowadza staruszkę przez jezdnię. Podpis: „Ze mną przejdzie pani bezpiecznie". Staruszka uśmiecha się z wdzięcznością. „Pomogę wam, chłopcy" – milicjant z drogówki zakłada chłopcom łańcuch rowery, który spadł im z zębatki. „Za uprzejmość – uśmiech i kwiatek" – w samochodzie siedzi uśmiechnięta kobieta. Milicjant przez otwarte drzwi podaje kwiatek. W każdym razie niewielki esej o sposobach chodzenia, czasem beztrosko i w zamyśleniu, a innym razem z pełną

powagą, a jeszcze kiedy indziej, „jakby się miało coś na sumieniu", jakby się chciało ukryć w tłumie, prześlizgnąć (uwaga – może być przestępca!) zachwyca formą, lekkością, literackim sznytem. Oto naukowcy chodzą „nieraz półprzytomni", „wynalazcy, ludzie opętani jakąś twórczą ideą" idą inaczej niż społecznicy, którzy podążają „z głową wysuniętą naprzód, wymachując ramionami". Pełen przegląd postaci i charakterów – a wszystko milicjant może wyczytać z chodu, zrozumieć ukryte intencje, a co najważniejsze – wychwycić sprawnym okiem tych, „którzy mają wiele na sumieniu".

Jak jednak sami powinni chodzić funkcjonariusze MO? Odpowiedź jest prosta: „Milicjanci na ogół poruszają się z powagą i godnością, jaka przystała ich mundurowi, ale zdarza się, że niscy mają zbyt długi krok, a wysocy zanadto drobią".

» Raczej trzeba stać „na spocznij"

Chodzenie chodzeniem, Drodzy Państwo, ale nie wiem, czy wiecie, że milicjant powinien także umieć stać! A i owszem, poświęcony jest temu tematowi odrębny podrozdział pt. „Czy umiesz stać?".

Proszę się nie śmiać! Stanie to ważna kwestia, bo… „Funkcjonariusze MO muszą dość często stać pod obstrzałem ludzkich spojrzeń. Okazuje się, że i to nie jest wcale takie łatwe. Przyjrzyjcie się kolegom. Niektórzy stają tak rozkraczeni, jakby ich nogi miały stanowić otwartą bramkę lub przejście dla bawiących się maluchów. Inni nie potrafią stać prosto, ale zawsze starają się podpierać jaką latarnię, mur czy bramę. Jeszcze inni stoją niechlujnie, nie zawsze wiedzą, co zrobić z rękami, lub też bez potrzeby męczą się stojąc w postawie na baczność".

Po wskazaniu tego, co jest złym przykładem, dochodzimy w końcu do meritum: czyli tego, jak powinien stać milicjant. Szanowni państwo: „Trzeba stać spokojnie, z rękami opuszczonymi. […] Raczej trzeba stać na spocznij, a nie na baczność. Jeśli musimy się oglądać w trakcie stania czy chodzenia, to wystarczy lekko obrócić głowę w tył, patrzeć kątem oka, a nie odwracać pół korpusu, idąc ślepo naprzód. Jeżeli idąc, musimy się obejrzeć, „to trzeba raczej zawrócić w przeciwną stronę, niż patrzeć w tył. Można też przystanąć przed wystawą, z boku chodnika, ale nigdy nie w środku posuwającego się tłumu".

> Przewodnik savoir-vivre dla milicjantów radzi, by osobom chorym na Heine-Medina nie mówić: „ale ty masz sztywne nogi", zaś garbatemu nie „wymawiać jego garbu".

Teraz, jeśli Państwo zobaczą jakiegoś siwiejącego pana, takiego Mazgułę, ale w jeszcze bardziej zaawansowanym wieku, który nagle robi dziwne zwroty na ulicy, by spojrzeć w bok lub w tył, być może to dawny milicjant. A jak ma podwiązki przy skarpetkach i mył się tydzień temu, to jest już pewne, że mamy do czynienia z funkcjonariuszem MO.

Ja ze swojej strony obiecuję, że to nie koniec, przed nami rozdziały o restauracjach i środkach lokomocji, wskazówki, jak słodzić herbatę, odbierać telefony czy zachowywać się w operze. Ale to wszystko w kolejnym numerze „Nowego Państwa"… ■



Dariusz Jarosiński

Tajemnicze misje Józefa Hieronima Retingera

Józef Hieronim Retinger to tajemnicza i kontrowersyjna, a zarazem wpływowa postać w najnowszej historii, łącząca działalność polityczną z działalnością w organizacjach o charakterze tajnym lub półtajnym. Nazywany „kuzynkiem diabła", „szarą eminencją", był mistrzem budowania relacji. Jego krąg towarzyski obejmował zarówno najwybitniejszych pisarzy, artystów, jak i monarchów oraz światowych przywódców. Realizował wiele tajemniczych misji o niejasnych do dzisiaj intencjach.

Powstałe na jego temat publikacje w dużej mierze oparte są na domysłach i spekulacjach. Retinger nie dbał o oficjalne stanowiska, zaszczyty, wolał działać zakulisowo, z cienia, wpływając na decyzje polityczne; nie zabiegał o dobra materialne, a bywało, że biedował, lubił jedynie dobrze zjeść i dobre alkohole. Nawet wśród największych przeciwników budził respekt. Stanisław „Cat" Mackiewicz traktował Retingera jako niebezpiecznego przeciwnika politycznego, ale jednocześnie szanował go za determinację, odwagę i niezwykłe umiejętności zjednywania ludzi.

» „Powiedz, że to jeszcze nie wszystko…"

Opinie na jego temat są bardzo zróżnicowane. Od pełnych zachwytu, na przykład Aleksandra Janty Połczyńskiego, emigracyjnego pisarza: „Znałem go dobrze […] Był z gatunku ludzi niecodziennych […] Był gorąco przywiązany do Polski, którą zawsze uważał za swój kraj i na której rzecz działał, jak mógł i jak umiał najlepiej. Widział jednak jej sprawy i jej szanse z perspektywy swoich doświadczeń obywatela świata, więc w ramach szerszych niż przeciętny Polak". Po opinie zdecydowanie krytyczne, choćby Zbigniewa Siemaszki, emigracyjnego historyka: „[…] był to człowiek, który w czasie drugiej wojny działał na niekorzyść Polaków". Zdaniem historyka był „międzynarodowym agentem, który służył różnym sprawom, ale nie sprawie polskiej, co się szczególnie odnosi do okresu ostatniej wojny".

Zważywszy na rolę, jaką odegrał Józef Hieronim Retinger w ważnych momentach polskiej historii, choćby jako doradca u boku gen. Władysława Sikorskiego, wydaje się, że polscy historycy poświęcają mu zbyt mało uwagi. A może on stanowić klucz do zrozumienia wielu działań w polskiej polityce. Łatwość, z jaką Retinger wpływał na decyzje gen. Sikorskiego, jest zadziwiająca i zatrważająca. Generał był pod wrażeniem jego rozległych kontaktów, choć w przypływach wzburzenia zadawał nieraz pytanie: „Dla kogo pracuje Retinger, komu służy?". „Kuzynek diabła" towarzyszył gen. Sikorskiemu we wszystkich podróżach, nie wziął jedynie udziału w ostatnim locie generała na Bliski Wschód, kiedy doszło do katastrofy lotniczej w Gibraltarze.

Retinger wierzył w ponadnarodową jedność, co pokrywało się z kosmopolitycznymi ideami wolnomularstwa, realizował misję zjednoczonej Europy bez granic, dzisiejszej Unii Europejskiej. Był inicjatorem i kluczową postacią przy tworzeniu Grupy Bilderberg, tajnej organizacji globalistycznej.

Według raportu brytyjskiego wywiadu MI5 z 29 lipca 1941 roku Retinger był wiceprezesem sekcji polskiej organizacji B'nai B'rith (Synowie Przymierza), najstarszej żydowskiej organizacji masońskiej powstałej w USA w 1843 roku (B'nai Brith została restaurowana ponownie w Polsce 9 września 2007 roku). Należał do elity światowej masonerii, która jest skupiona w najbardziej elitarnej loży o nazwie „Les Renarateurs". Niektórzy z historyków przypisują mu przynależność do loży należącej do Wielkiego Wschodu Francji (Grand Orient de France).

Retinger najprawdopodobniej już od czasów I wojny światowej był agentem brytyjskiego wywiadu (SIS/MI6). Brytyjskie służby (MI5, MI6, SOE) traktowały Retingera jako postać wysoce podejrzaną, ale też niezwykle użyteczną, uważany był za wpływowego gracza, który działał na rzecz wielu stron jednocześnie. Prawdopodobnie Retinger nie brał pieniędzy od Anglików za swoje usługi.

Jak był postrzegany wśród przyjaciół, dobrze obrazuje następująca anegdota: Denis de Rougemont, szwajcarski pisarz, eseista, podobnie jak on zwolennik idei federacji europejskiej,

FOT. ARCH.

zagadnął go kiedyś: „Ludzie mówią, że jesteś masonem, agentem Intelligence Service, CIA i Watykanu, a także sympatykiem komunizmu. Czasem nawet dodają, że jesteś Żydem i pederastą. Co mam na to powiedzieć?". Retinger miał się roześmiać i odpowiedzieć: „Powiedz, że to jeszcze nie wszystko…".

» Z Krakowa w wielki świat

Józef Retinger pochodził z krakowskiej zasymilowanej rodziny żydowskiej. Po śmierci ojca, szanowanego radcy prawnego, powstańca styczniowego, opiekę nad 9-letnim Józefem roztoczył Władysław hrabia Zamoyski. Dzięki protekcji i finansom hrabiego Józef ukończył studia w paryskiej Szkole Nauk Politycznych École libre des sciences politiques oraz studia literaturoznawcze na Sorbonie. W wieku 20 lat, w 1908 roku, został najmłodszym w Europie doktorem literatury na Sorbonie. W okresie studiów w Paryżu w salonie Misi i Cypriana Godebskich poznał ówczesną elitę intelektualną, artystyczną, m.in. François Mauriaca, André Gide'a, Maurice Ravela. Hrabia Zamoyski wprowadził też młodego Retingera do słynnych salonów hrabiny de Castries, niezwykle wpływowej damy w Paryżu.

W czasie studiów w Londynie w słynnej London School of Economics nawiązał bliskie relacje m.in. z Winstonem Churchillem i Georgesem Clemenceau, wówczas wstępującymi na scenę polityczną przyszłymi premierami Wielkiej Brytanii. Można by było wymienić jeszcze wiele nazwisk znaczących ówcześnie osobistości. Tak jak inni kolekcjonowali starodruki czy znaczki pocztowe, tak Retinger kolekcjonował znajomości z wpływowymi ludźmi. Byli to ludzie o zróżnicowanych poglądach politycznych, od lewa do prawa.

Na szczególną uwagę zasługuje jego znajomość z pisarzem Josephem Conradem (Józefem Korzeniowskim), która przerodziła się w dozgonną przyjaźń, wspólnie odwiedzili w 1914 roku Kraków, i przeżyli pełną wrażeń przygodę związaną z wybuchem wojny. Zdaniem Zbigniewa Grabowskiego, publicysty, znawcy Wielkiej Brytanii, to najprawdopodobniej Joseph Conrad zaprotegował Retingera do brytyjskiego wywiadu.

W 1916 roku 28-letni Retinger podjął się realizacji szalonego planu, a mianowicie rokowań w celu wyciągnięcia Austro-Węgier z wojny u boku Niemiec w zamian za przyznanie im Bawarii, Królestwa Polskiego i ziem zaboru pruskiego. Z monarchią Habsburgów miał być zawarty odrębny pokój. W rokowaniach wspierali go arystokraci – książę Sykstus Parmeński i markiz Boni de Castellane, plan zyskał poparcie premiera brytyjskiego Herberta Asquitha, właściciela „The Times" lorda Northcliffe'a i generała zakonu jezuitów o. Włodzimierza Ledóchowskiego. Rokowania jednak nie powiodły się na skutek m.in. ujawnienia planu przez Georgesa Clemenceau, premiera Francji, a także wywarcia presji przez Niemcy na Austrię.

Retinger był aktywny na różnych polach, angażował się w poparcie ruchu syjonistycznego i ideę powstania państwa żydowskiego. Działał wespół z przywódcami ruchu syjonistycznego: Chaimem Weizmanem, przyszłym pierwszym prezydentem Izraela, Włodzimierzem Ze'ewem Żabotyńskim, twórcą Legionu Żydowskiego, i Nahumem Sokołowem, uważanym za najważniejszego Żyda świata. Z kolei z Arthurem Capelem, brytyjskim przedsiębiorcą, kochankiem Coco Chanel, pracował nad koncepcją utworzenia rządu światowego opartego na sojuszu brytyjsko-francuskim, który miał zagwarantować pokój po zakończeniu wojny. Był wyznawcą utopii, że globalny rząd może regulować sporne sprawy między narodami.

W 1918 roku przeciwstawił się planom utworzenia na Zachodzie polskiej armii złożonej z jeńców polskiego pochodzenia z armii niemieckiej i austriackiej, rozsyłając memorandum do rządów zachodnich, argumentując, iż takich żołnierzy w przypadku wzięcia do niewoli nie chroniłaby konwencja genewska i czekałoby ich rozstrzelanie. Tym orędziem naraził się Francji, Anglii, a także Rosji i Polakom, powstającemu Komitetowi Narodowemu i stronnikom Romana Dmowskiego. W maju 1918 roku został wydalony z Francji bez prawa powrotu do któregokolwiek z państw sprzymierzonych.

» W Maroku i Meksyku

Jak pisał w „Zielonych oczach" Stanisław „Cat" Mackiewicz, Retinger nigdy nie ukrywał, że w charakterze agenta brytyjskiego jeździł do wodza marokańskich powstańców oraz do Meksyku za czasów, kiedy w tym kraju walczono z katolicyzmem i palono kościoły.

„Kuzynek diabła" współpracował z Muhammadem ibn Abd al-Krimem – przywódcą antykolonialnego powstania w marokańskim regionie Rif. Retinger działał wówczas jako doradca i pośrednik w zdobywaniu wsparcia i broni dla powstańców walczących z Hiszpanami. Pełna przygód i tajemnic była misja Retingera w Meksyku. W czasie rejsu statkiem przez ocean poznał przy winie rewolucjonistę Luisa Moronesa i to on ułatwił mu dotarcie do ważnych osobistości w Meksyku. Akurat w tym czasie po władzę sięgnęli meksykańscy masoni, wojujący ateiści – Plutarco Calles i Alvaro Obregón. Niepozornie wyglądający Retinger musiał dobrze się zaprezentować, bo został doradcą prezydenta Meksyku Callesa. A działy się w owym czasie w Meksyku rzeczy straszne, trwała rewolucja społeczna, nazywana też masońską, której celem było wyrzucenie Kościoła katolickiego z życia społecznego, wprowadzone zostały antykatolickie dekrety, zamknięto większość kościołów. Działania te spowodowały wybuch wojny domowej zwanej powstaniem Cristeros w latach 1926–1929. Po zawarciu pokoju masońskie władze wymordowały 5 tys. powstańców. W 1934 roku masoni rządzący Meksykiem wprowadzili ustawę „o wolnym i socjalistycznym wychowaniu młodzieży". Ustawa ta głosiła, że „każde dziecko od piątego roku życia należy do państwa. Wszystko zło pochodzi od kleru. Bóg nie istnieje, religia jest mitem, Biblia kłamstwem". Do szkół masoneria wprowadziła „edukację'' seksualną.

Retinger budował w Meksyku struktury związków zawodowych i nawiązywał w ich imieniu kontakty z brytyjskimi i polskimi związkowcami. Istnieje pogląd, że Retinger działając w imieniu Wielkiego Wschodu, próbował zaszczepić ideologię komunistyczną na podatnym gruncie meksykańskim, wykorzystując prowadzoną tam politykę przez prezydentów Callesa i Obregóna, oraz że podjęcie się tego zadania stanowiło główny powód przyjazdu i zaangażowania się Retingera w sprawy tego kraju. W 1934 roku powrócił do Europy, kiedy prezydent Calles i jego minister Morones zostali po przewrocie skazani na banicję.

» U boku gen. Sikorskiego

Retinger był przeciwnikiem Józefa Piłsudskiego i piłsudczyków. W 1936 roku obok gen. Władysława Sikorskiego, powiązanego z lożą Wielki Wschód Francji, był jednym z założycieli utworzonej w Szwajcarii antysanacyjnej partii Front Morges. W lutym 1939 roku odbyło się poufne zebranie członków Frontu Morges w Warszawie, w większości ministrów późniejszego rządu Sikorskiego we Francji. Referat wygłosił przybyły z Londynu do Warszawy Retinger. Biskup polowy ks. Józef Gawlina, uczestniczący w tym zebraniu, wspominał: „Tematem była przyszła wojna. Tezą Retingera

było: wojna będzie jeszcze w tym roku. Nie pójdzie ona, jak wielu myślało, w kierunku południowym (kolonie angielskie), lecz na wschód, przeciw Polsce. Anglia da pieniądze, żołnierza i broń, ale pod warunkiem, że Polska pozbędzie się rządu ozonowego". Po sromotnej klęsce Francji, w czerwcu 1940 roku, Józef Retinger przywiózł samolotem premierowi Wielkiej Brytanii, Churchillowi, w prezencie gen. Sikorskiego. Generał, nieznający języka angielskiego, dotychczas stawiający na polityków francuskich, zdał się teraz całkowicie na „kuzynka diabła" i jego wpływy w środowisku angielskim.

Generał Sikorski, jak pokazała historia, nie był zdolny mentalnie do prowadzenia suwerennej polityki, daleko mu było do Piłsudskiego czy Dmowskiego, poszukiwał protektorów sprawy polskiej za granicą, najpierw Austriaków i Niemców, później długi czas Francuzów, ostatecznie Anglosasów. Nie potrafił w sytuacji dla Polski tragicznej wznieść się ponad własne ambicje, niechęci i porozumieć się z politykami sanacyjnymi, na przykład z gen. Kazimierzem Sosnkowskim, politycznym realistą, wybitnym mężem stanu, który nie ulegał naciskom Churchilla, był też zdecydowanym przeciwnikiem Sowietów. Wadą gen. Sosnkowskiego, wedle Sikorskiego, był fakt, że należał on do środowiska piłsudczyków, choć, jak wiemy, nie poparł zamachu majowego. Niestety, skończyło się to dla nas, Polaków, a także osobiście dla samego generała i jego córki tragicznie. W otoczeniu gen. Sosnkowskiego Retinger postrzegany był jako „demon zła" i szpieg.

Wielkim blamażem Sikorskiego, premiera rządu RP, było zawarcie haniebnego układu ze Związkiem Sowieckim reprezentowanym przez ambasadora (!) Iwana Majskiego 30 lipca 1941 roku. Generał nie wykorzystał wówczas tego, że Sowieci znaleźli się w trudnej sytuacji zaatakowani przez Niemców. Pod naciskiem Brytyjczyków Sikorski wycofał z prac nad memoriałem ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego. Generał, który nie znał angielskiego, polecił polskiemu ambasadorowi przetłumaczyć dokument, Edward Raczyński o mało nie dostał zawału serca po zapoznaniu się z jego treścią, zawierał on bowiem rzeczy kuriozalne. Oprócz planu tworzenia 300-tys. polskiej armii na terenie ZSRS, zakładał rezygnację rządu ze wschodnich terenów II Rzeczypospolitej zajętych 17 września przez Armię Czerwoną. Dodatkowo wyrażał zgodę rządu na przemarsz sowieckiego wojska przez terytorium Polski, gdyby doszło do rosyjsko-niemieckiej wojny. Najprawdopodobniej memoriał powstał z inicjatywy Stalina. Autorami dokumentu byli dwaj agenci: Retinger i Stefan Litauer vel Lityński, agent sowiecki, szef Polskiej Agencji Telegraficznej w Londynie, tak jak Sikorski członek Wielkiego Wschodu Francji, po wojnie pracownik peerelowskiego MSZ. W nagrodę, ale chyba od Brytyjczyków i Sowietów, Retinger został pierwszym polskim chargé d'affaires w Związku Sowieckim.

» Kryptonim „Salamander"

3 kwietnia 1944 roku Retinger, posługujący się kryptonimem „Salamander" i „Brzoza", rozpoczął swoją najbardziej tajemniczą misję. Było to już po konferencji w Teheranie, kiedy było wiadomo, że Polska ma trafić pod sowieckie wpływy. Misja została przygotowana przez Anglików, ze strony polskiej wiedział o niej jedynie premier Stanisław Mikołajczyk. Retinger został zrzucony na spadochronie do okupowanej Polski. Zważywszy, iż miał wówczas 56 lat i był to jego pierwszy skok w życiu, a także nie cieszył się najlepszym zdrowiem, należy uznać to za nie lada wyczyn.

Cel misji pozostaje do dziś w sferze spekulacji. Prawdopodobna wersja zakłada, że celem tej misji było przygotowanie gruntu do

sugerowanego Stanisławowi Mikołajczykowi przez Brytyjczyków przejęcia władzy i po wyzwoleniu utworzenie wraz z miejscowymi komunistami rządu. Retinger miał wysondować, jak dużym poparciem w kraju cieszy się idea powołania rządu z udziałem wyznaczonych przez Stalina komunistów. Brytyjczycy chcieli uwolnić się od niepotrzebnego już im i jedynie zawadzającego sojusznika, jakim była Polska.

Retinger, ochraniany przez cały czas przez Tadeusza Chciuka-Celta, legendarnego cichociemnego, kuriera i emisariusza, spotkał się w kraju m.in. z gen. Tadeuszem Komorowskim „Borem", z delegatem rządu na kraj Janem Stanisławem Jankowskim, z Kazimierzem Pużakiem, Stefanem Korbońskim oraz innymi politykami, a także szeregowymi żołnierzami AK. Retinger odbył też długie spotkanie z Henrykiem Kołodziejskim, liderem polskiej masonerii. Istnieje teza, że Stalin zaproponował Kołodziejskiemu, przedwojennemu dyrektorowi biblioteki sejmowej, prezydenturę powojennej Polski, ten jednak rekomendował Bolesława Bieruta.

Polskie podziemie, które nie zostało poinformowane o celu wizyty Retingera, zaniepokojone jego działaniami, wydało na Retingera wyrok śmierci i tylko dzięki przypadkowi nie doszło do jego wykonania. Zbigniew Siemaszko pisze, że na wyrok nie wyraził zgody gen. „Bór" Komorowski. Podjęta jednak została próba otrucia Retingera. Na polecenie płk. Kazimierza Iranka-Osmeckiego, szefa II Oddziału Komendy Głównej AK, por. Izabela Horodecka „Teresa" przed odlotem „Salamandra" do Londynu zasypała w walizce jego rzeczy wąglikiem płucnym. Trucizna miała zadziałać poza krajem, ale zadziałała już wcześniej – Retinger wnoszony był do samolotu na noszach.

Ciężko chory Retinger odbył rozmowę w cztery oczy na lotnisku w Kairze, gdzie było międzylądowanie, z premierem Mikołajczykiem, rzecznikiem ugody z Sowietami, który był w drodze do Moskwy na spotkanie ze Stalinem. Po przyjeździe do Londynu natychmiast został przyjęty przez szefa Foreign Office Anthony'ego Edena.

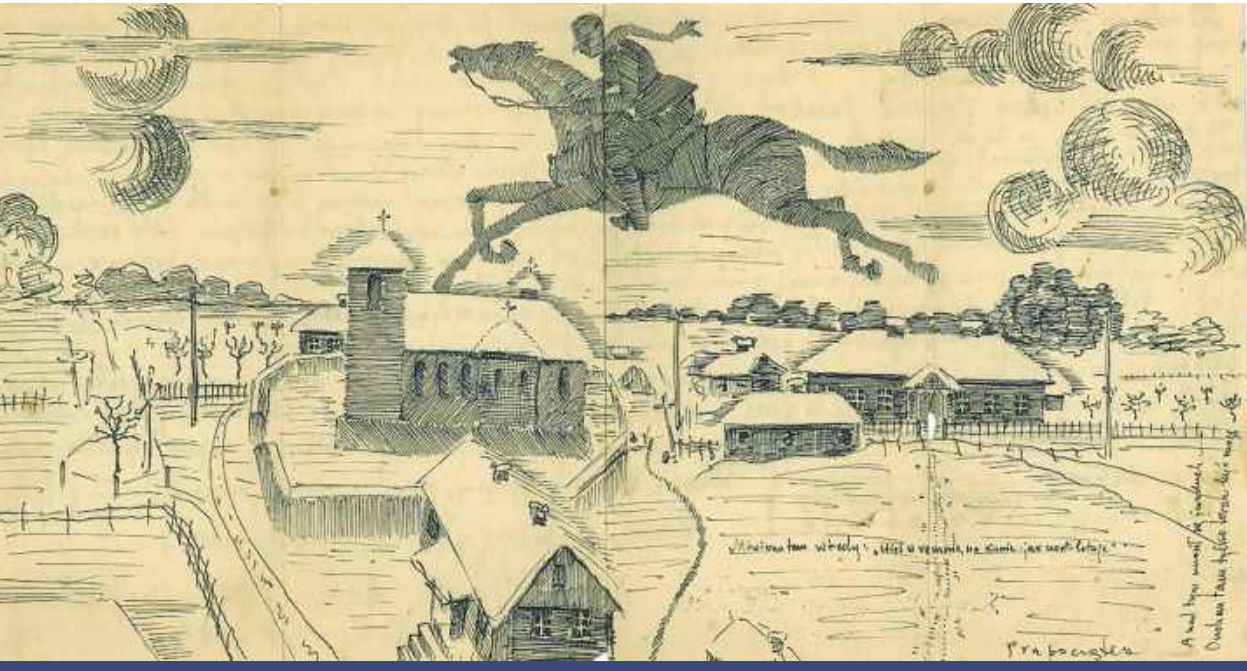
***

Po wojnie Retinger dwukrotnie odwiedził Polskę, przywożąc tony sprzętu z brytyjskiego demobilu. Towarzyszący mu Tadeusz Chciuk został aresztowany przez bezpiekę, ale po telefonie Retingera, prawdopodobnie do bliskiego współpracownika Stalina, Mołotowa, został wypuszczony.

Retinger powrócił do swoich masońskich, utopijnych idei globalnego rządu – był orędownikiem zjednoczenia Europy, przyczynił się do założenia Ligi na rzecz Współpracy Gospodarczej oraz Międzynarodowego Komitetu Ruchów Europejskich. Dużym jego osiągnięciem była organizacja kongresu w Hadze w 1948 roku; zebraniu 800 polityków, działaczy, intelektualistów, przewodniczył Winston Churchill. Owocem kongresu haskiego była powstała rok później Rada Europy, międzynarodowa organizacja rządowa, do której przystąpiło 10 państw Zachodniej Europy.

Dzięki zabiegom Józefa Retingera powstała Grupa Bilderberg, tajna, globalistyczna organizacja; inicjatywę tę wsparli holenderski książę Bernhard oraz wpływowy amerykański polityk i doradca David Rockefeller. Pierwsze spotkanie odbyło się w maju 1954 roku w należącym do królowej Holandii Hotelu de Bilderberg (stąd nazwa organizacji). Retinger do śmierci pozostał sekretarzem Grupy Bilderberg.

Gdy w 1960 roku zmarł na raka płuc, jego osobisty sekretarz, a zarazem biograf, Jan Pomian, napisał: „Niczym impresario, potrzebował innych w charakterze gwiazd przedstawienia, siebie zaś obsadzał w roli szarej eminencji, człowieka za sceną". ■



Ewa Polak-Pałkiewicz



Wielkie ucieczki Polaków

Nasi rodacy z zadziwiającą energią, odwagą i uporem pokonywali nieprzebytą tajgę i pustynie Azji, druty kolczaste, zasieki i mury. Głęboko zakorzenione w duszy Polaków poczucie wolności, a także chęć udowodnienia ich prześladowcom, że nie są wszechmocni, nie pozwalały na bierne znoszenie niewoli. Te wydarzenia mają dziś szczególną moc świadczenia o polskim duchu. Nie tylko przywracają dumę z polskości, lecz także przekonanie o sensie walki o suwerenność polskiego państwa w najtrudniejszych okolicznościach.

Czy ucieczka z Polski Donalda Tuska dwóch polityków opozycji nie jest jakimś dziwacznym i złowrogim paradoksem obecnych czasów? Oto kraj „demokratyczny", w którym to rzekomo wyborcy decydują o wszystkim, okazuje się państwem groźnym, w którym człowiek działający publicznie nie może liczyć na sprawiedliwość, uczciwy proces. Państwem, z którego człowiek musi wiać, by nie zderzyć się z władzą, której głównym celem jest zemsta polityczna. Gdy pół Polski kibicuje zbiegom za ocean, warto przypomnieć inne wielkie ucieczki Polaków, które już prawie od 300 lat towarzyszą naszej historii.

» Głodówka i symulowanie choroby psychicznej

Więzienie, w którym znalazł się Józef Piłsudski 17 kwietnia 1900 roku, było miejscem, z którego nikomu jeszcze nie udało się uciec (a były to czasy częstych ucieczek). Znalazł się w X Pawilonie warszawskiej Cytadeli, w celi, w której wcześniej przetrzymywano Romualda Traugutta. Tutaj miał oczekiwać na wyrok, najprawdopodobniej bardzo surowy, bo oprócz działalności opozycyjnej przypisywano mu także (mylnie) zlikwidowanie carskiego donosiciela. Piłsudski wiedział, że w tym więzieniu pozostać nie może. „Cytadela stanowiła system fortyfikacji ogrodzonych potężnym murem. Niezależnie od posterunków zewnętrznych i wewnętrznych pełnili tutaj straż żołnierze liniowi. Stali przy wszystkich drzwiach wyjściowych każdego budynku, a na dodatek przebywali na urządzonych na wszystkich piętrach tzw. kordegardach – poszerzonych odcinkach korytarza"[1].

Choć ucieczka była czymś nierealnym Piłsudski dobrze wiedział, że Rosjanie nie znosili głodówek więźniów; bali się ich, przekonywały bowiem, że ktoś może być silniejszy duchem. Nie mogli też sobie pozwolić na przetrzymywanie w Cytadeli ludzi chorych psychicznie. Obie te okoliczności przyszły marszałek potrafił docenić. „Kiedy Piłsudski zaczął symulować obłęd, Siedielnikow [współpracujący z PPS Rosjanin, intendent, którego żoną była Polka – przyp. E.P.P.] przekazał mu odpowiednie wskazówki metodyczne od doktora Radziwiłowicza [znajomego Piłsudskiego – przyp. E.P.P.]". Zaczął odmawiać posiłków, mówiąc, że boi się otrucia, i histerycznie reagował na widok rosyjskiego munduru. Zagrał to perfekcyjnie. By nie dopuścić do śmierci głodowej, władze więzienne dawały mu tylko jajka o nienaruszonej skorupce.

Inni zaprzyjaźnieni z PPS-em pracownicy Cytadeli spowodowali, że więźnia zbadał w końcu biegły psychiatra. Był nim Sabasznikow, dyrektor szpitala św. Jana Bożego na Nowym Mieście. Ten bystry i bardzo opanowany człowiek, z pochodzenia Buriat, urodził się na Syberii i nienawidził wszystkiego, co pachniało samodzierżawiem – znał 12 języków i w wolnych chwilach zajmował się tłumaczeniami poezji. Sabasznikow „nie tylko szybko zorientował się, że pacjent symuluje, ale… udzielił mu kilku dalszych wskazówek, jak pozorować obłęd. Wydał też orzeczenie, iż chory wymaga bezzwłocznej kuracji w szpitalu". Więzienne władze zareagowały natychmiast. Szpital św. Jana Bożego nie wydał się im miejscem bezpiecznym dla więźnia politycznego. Mieli lepsze, gdzie groźba odbicia kogoś takiego jak Piłsudski wydawała się zupełnie nierealna: Szpital św. Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu.

FOT. ARCH.

[1] Wszystkie cytaty za: Bohdan Urbankowski, „Józef Piłsudski, marzyciel i strateg", Poznań 2014.

» Plan był z tych „bezczelnych"

Wylądował tam najpierw w izolatce. Potem znalazł się w dużej sali z wieloma chorymi. Na dole przy portierni pilnował ich uzbrojony żandarm. Władze doskonale zdawały sobie sprawę, że polityczni lubią symulować różne choroby. Tutaj Józef Piłsudski poznał najróżniejsze typy chorych i musiał sobie radzić z ich zachowaniem. Udało mu się w pełni zapanować nad sytuacją. Jeden z pacjentów, ogromnej postury Żyd, bardzo agresywny, wobec Piłsudskiego robił się nadzwyczaj potulny i nazywał go barinem. „Któregoś dnia, mimo że był związany, zaczął taranować więźniów samym ciałem. Piłsudski uspokoił go w dość zaskakujący sposób: nie bij! Zawtra budiesz bit. Nazajutrz rano Żyd zaczął rzeczywiście bić wszystkich, tłumacząc: barin wielieł (pan kazał!)". Gdy której nocy naszedł go jeden z niebezpiecznych osiłków i wrzasnął do ucha: „Daj papirosku!", przyszły naczelnik państwa po prostu go skrzyczał i zapowiedział pięciodniowe wstrzymanie się od papierosowych haraczy. Dlaczego pięciodniowe? Trudno orzec, ale zadziałało. „Wariat zaskoczony sytuacją przez chwilę się wahał, potem jakby załamał się i odszedł".

Po trzech miesiącach, w marcu 1901 roku, przyjaciele z konspiracji mieli już stały kontakt z Piłsudskim, który nakreślił szczegółowy plan przedsięwzięcia w zaszyfrowanym liście do Aleksandra Sulkiewicza, członka PPS z Petersburga. Plan był z tych „bezczelnych", jak stwierdził sam autor. Organizacja miała przysłać jak najszybciej do szpitala kogoś, kto mógłby – jako praktykant i naukowiec – zaprosić pewnego dnia Piłsudskiego do swojego gabinetu na terenie szpitala, na kolejną pogawędkę na tematy medyczne, a jednocześnie odesłać ochronę na czas opisywania „przypadku", co wymagało szczególnego skupienia. W tym czasie we dwóch – ów badacz nie omieszkałby zaopatrzyć w stosowny ubiór siebie i więźnia – idąc pod rękę i gawędząc na tematy „naukowe", opuściliby szpital-więzienie. „Praktykantem" został Władysław Mazurkiewicz, absolwent Akademii Wojskowo-Medycznej, aspirujący do posady lekarza wojskowego w Łodzi. (W czasie wojny bolszewickiej działał w Radzie Obrony Stolicy, organizował czołówki sanitarne i pociąg sanitarny „Komendant"; utworzył pierwszy Wydział Farmaceutyczny). Zainstalowaniu go w murach szpitala pomógł jego dyrektor dr Otton Czeczott, Polak.

Mazurkiewicz wnosił stopniowo w swojej teczce wszystkie elementy stroju obmyślonego przez Piłsudskiego; głównym jego atrybutem miał być cylinder. Wkrótce jako „naukowiec i badacz" zaczął dyżurować w szpitalu na stałe. Pamiętny dyżur rozpoczął się 1 maja 1901 roku. Tego dnia „połowa personelu zwolniła się z pracy, by uczestniczyć w zabawach święta ludowego na Polu Marsowym, druga połowa również nie była całkiem trzeźwa. Władze bowiem starały się nadać tym obchodom szczególny rozmach, chcąc przelicytować ponure pierwszomajowe obchody socjałów". Jak święto to święto!... Szpital wiał pustkami…

» Jak się opuszcza szpital-więzienie w Petersburgu

„Mazurkiewicz dokonał kontrolnego obchodu sal i kazał strażnikowi przyprowadzić chorego więźnia do swego gabinetu. Tu Piłsudski błyskawicznie się przebrał i wraz z lekarzem szykowali się do wyjścia. Nie obyło się jednak bez przeszkód. Najpierw napatoczył się korespondent »Petersburskiego Listka« […]. Potem, gdy już dotarli do wyjścia, przekonali się, że główne drzwi są zamknięte. W dyżurce, zamiast znajomego portiera siedział jakiś obcy, rozmawiając z jakimś mundurowym". W takich momentach ma prawo pojawić się panika, ale też bywa, że nachodzi człowieka twórcza wena. „Uciekinierzy błyskawicznie zmieniają plan.

Z pewnymi siebie minami (Mazurkiewicz tytułuje Piłsudskiego »ekscelencją«) przechodzą przez dziedziniec szpitala, wzywają stróża i każą otworzyć tylną furtkę. Stróż, kłaniając się nisko, spełnia polecenie […] Piłsudski i Mazurkiewicz znikają w ciemnościach nocy".

Ponieważ jednak wyszli innymi drzwiami, minęli się z uzbrojonymi kolegami, którzy czatowali przy drzwiach głównych, by eskortować ich w bezpieczne miejsce. „Doktor Czeczott, który tego wieczora wybył dyplomatycznie na naradę, po której podał się do dymisji, uprzedził ich, że policja chce wprowadzić posterunki do szpitala". Przy newskiej przystani kołysała się wynajęta przez konspiratorów łódź; szpital był tuż przy rzece. Po paru kwadransach obie grupy spotkały się w konspiracyjnym lokalu. Para dżentelmenów zrzuciła wytworne ubrania, po czym złapała dwie osobne dorożki. Jeszcze przed północą Piłsudski i Sulkiewicz, który organizował eskortę, paradowali już na dworcu kolejowym w czapkach urzędników komory celnej. Odjeżdżali pierwszym pociągiem do Tallina, podczas gdy policję postawiono na nogi wszędzie, nawet w Wilnie.

Po paru dniach Piłsudski był już w Czystej Łuży na Polesiu, w majątku Lewandowskich, gdzie spotkał się z żoną. Zaczęły się pospieszne przygotowywania do przekroczenia granicy rosyjsko-austriackiej. Punkt, w który mieli wcelować, znajdował się na terenie Lasów Zwierzynieckich. Przerzut przygotowywał Jan Miklaszewski, 19-letni wówczas kontroler lasów ordynacji zamojskiej (przyszły botanik, rektor SGGW). „[…] Piłsudski i Sulkiewicz pojawili się na posterunku granicznym w uniformach i czapkach podleśnych ordynacji zamojskiej. Mieli też jakieś przyrządy do mierzenia drzewa, oświadczyli, że właśnie po to udają się do lasu. Potem wraz z Marią Piłsudską przekroczyli graniczną rzekę". Rzeka nazywała się Tanew, była tu dość wąska, płynęła wśród gęstych zarośli. Przekraczając ją, Piłsudski miał powiedzieć w uniesieniu: „Niczym więzienia i knuty wobec potęgi ducha narodu polskiego". Zdanie to wyryto na omszałym kamieniu, który leży nad brzegiem.

» Skok na samochód komendanta Hössa

Kazimierz Piechowski (1919–2017) pochodził ze szlacheckiego roku Piechowskich hr. Leliwa spod Kościerzyny. Zubożała w czasie zaborów rodzina należała do znanych i mocno rozgałęzionych na całym Pomorzu. Jako chłopiec działał w ZHP w Tczewie. Wcześnie musiał podjąć pracę, został ślusarzem. Razem z przyjacielem z harcerstwa Alfonsem Kiprowskim „Alkiem" próbował jesienią 1939 roku przedostać się na Węgry i dalej na Zachód, by dołączyć do polskiego wojska we Francji. Pochwyceni na granicy przez Niemców, więzieni w Sanoku, Krakowie i Nowym Wiśniczu, w czerwcu 1940 roku znaleźli się wraz z drugim transportem więźniów w obozie Auchwitz-Birkenau. Po dwóch latach Kazimierz Piechowski nie miał cienia wątpliwości, że wybawieniem stąd jest jedynie ucieczka. Uciekł 20 czerwca 1942 roku wraz z trzema innymi więźniami – por. AK Stanisławem Jasterem, Eugeniuszem Benderą i ks. Józefem Lempartem.

Eugeniusz Bendera był z zawodu mechanikiem, Niemcy zatrudnili go w garażach poza ogrodzeniem obozu centralnego; Kazimierz Piechowski wraz z Jasterem pracowali w magazynach, także znajdujących się poza głównym ogrodzeniem. Gdy na miesiąc przed ucieczką Bandera dowiedział się, że trafił na listę do zagazowania, uprosił Piechowskiego, który miał opinię człowieka rzutkiego i odważnego, by podjął z nim akcję. Obaj wiedzieli, że rzucają się na rzecz „niemożliwą", a jednak zdecydowali się działać.

Pierwszym wyzwaniem było zorganizowanie ucieczki tak, by nie zapłacili za nią inni

więźniowie w ramach odwetu Niemców. W tym celu wymyślili fałszywe komando pracy. „Jeśli jego członkowie uciekną – wspominał Piechowski w jednym z wywiadów – nie będzie można nikogo ukarać. Na terenie obozu wszelki transport odbywał się zaprzęgiem ludzkim. Było wiele tzw. Rollwagenkommando (komando ciągnące wózek), a najmniejsze musiało być czteroosobowe". Trzeba było znaleźć jeszcze dwie osoby. Bendera przekonał do udziału w akcji ks. Lemparta. Piechowski – Stanisława Jastera. Uciekinierzy, organizując ucieczkę w sobotę po południu, liczyli, że Niemcy są już myślami przy wolnym dniu. Nie przeliczyli się. Gdy w sobotę rano kapo przeprowadzał więźniów pracujących poza głównym ogrodzeniem obozu, podeszli, pchając wózek, do bramy głównej z napisem „Arbeit macht frei". „Ja z żółtą opaską vorarbeitera (brygadzisty)" – relacjonował Kazimierz Piechowski po latach. „Melduję: »Rollwagenkommando, Vorarbeiter 918 i trzech więźniów«… Szczęśliwie, frajer esesman nie sprawdził w księdze, czy nasze komando istnieje. Przepuścił nas".

Bendera wyprowadził z garażu samochód Steyer 220 należący do komendanta obozu Rudolpha Hössa i podjechał pod magazyn. Trzeba było teraz włamać się do magazynu, zabrać mundury SS i broń. Kazimierz Piechowski, biegle władający niemieckim, włożył mundur oficerski. Broń załadowano do bagażnika, wszyscy wsiedli do auta i ruszyli. Już za pierwszym zakrętem esesman przekonany, że ma do czynienia z oficerem w samochodzie, zasalutował. „Jedną ręką trzymał rower, w drugą palił papierosa. Jak nas zobaczył, to rzucił tego papierosa i łapę wyciągnął do góry – »heil Hitler«. Gienek wtedy powiedział: »Widzisz Kazek, jakoś idzie«. […] Kawał dalej to już dwóch szło. Zobaczyli ten nasz samochód i »heil Hitler«. To nas bawiło" – opowiadał Kazimierz Piechowski po latach.

Ku swemu przerażeniu tuż przed opuszczeniem terenu obozu zobaczyli jednak zamknięty szlaban i strażników, którzy nie ruszyli się na widok nadjeżdżającego samochodu. Kazimierz Piechowski był przekonany, że to koniec. „Myślami pożegnałem się już z mamą. W tym czasie dostałem silne uderzenie w kark. Syczący głos słyszę od Józka: »Kazek! Zrób coś«… Widzę już szlaban blisko. Otwieram prawe drzwiczki, wystawiam, żeby widzieli, szarżę i mówię: »Do jasnej cholery! Śpisz dupku tam, czy co? Otwieraj ten szlaban, bo ja ciebie obudzę«. Esesman podskoczył. Szlaban poszedł do góry. Gienek włączył gaz i suniemy naprzód. Wolność!". Cała czwórka w jednej chwili odzyskała poczucie pewności siebie. „W każdej potyczce z SS będziemy walczyć do końca…".

Niemieckiego więźnia Kurta Pachala, kapo magazynów, którego Gestapo podejrzewało o pomoc uciekinierom, skazano na śmierć głodową. Niemcy zamordowali także matkę Lemparta oraz rodziców Jastera. O planowanej ucieczce został powiadomiony Witold Pilecki, jeden z przywódców obozowego ruchu oporu. Poprzez Jastera przekazał raport dowództwu AK. Po wojnie Kazimierz Piechowski za działalność w Armii Krajowej spędził siedem lat w więzieniu. Po uwolnieniu ukończył Politechnikę Gdańską i pracował w Stoczni Gdańskiej. Swoje przeżycia opisał w książkach „Byłem numerem" i „My i Niemcy".

» „Wychodzę!"

„»Siedzę tu dwa lata i siedem miesięcy. Prowadziłem tu robotę. Ostatnio nie dostawałem dalszych dyspozycji. Obecnie wywieźli Niemcy najlepszy materiał, z którym pracowałem. Trzeba by było zaczynać od początku. Uważam, że dalsze siedzenie moje tutaj nie ma sensu. I dlatego wychodzę«. Kpt.159 [Stanisław Machowski] spojrzał na mnie zdziwiony i powiedział: »No tak. Rozumiem Pana, lecz czy można kiedy

się chce przyjeżdżać i kiedy chce wyjeżdżać z Oświęcimia?«. Odpowiedziałem – »Można«". Tak brzmiała rozmowa Witolda Pileckiego z kpt. Stanisławem Machowskim z Komendy Głównej AK, po ucieczce rotmistrza z Auschwitz.

Witold Pilecki uciekł z obozu w nocy z 26 na 27 kwietnia 1943 roku, po spędzonych tu 947 dniach. Towarzyszyli mu Jan Redzej i Edward Ciesielski. Ucieczka była możliwa dzięki pomocy kolegów z obozowej konspiracji. Pilecki pracował wtedy w obozowej paczkarni, Redzej w magazynie żywności przy kuchni, Ciesielski w szpitalu więziennym. Dzięki swoim kontaktom Witold Pilecki umożliwił im obu dostanie się do komanda zatrudnionego na nocnej zmianie w piekarni w Oświęcimiu, poza terenem KL Auschwitz. Więźniów z tego komanda zamykano na noc w piekarni pod nadzorem dwóch esesmanów. Była Wielkanoc, część załogi obozowej przebywała na urlopach. W świąteczny poniedziałek Pilecki i Ciesielski zostali przeniesieni do bloku numer 15, gdzie mieszkali piekarze. Pod pasiakami mieli na sobie cywilne ubrania. Redzej miał na nim czerwone pasy. Zasadnicza akcja rozegrała się w obozowej piekarni. Gdy jeden z nadzorujących esesmanów zasiadł do pisania listu, drugi zamierzał zjeść śniadanie, wszyscy trzej podeszli do wielkich kutych drzwi wiodących na ulicę, napierając na nie z całych sił. Po kilku próbach zawiasy zostały wyłamane. Wymknęli się, a następnie zaryglowali drzwi od zewnątrz. Ruszyli wzdłuż nasypu kolejowego ciągnącego się u brzegu Soły, dotarli do Wisły, przepłynęli ją napotkaną łodzią. W pobliskim lesie spędzili dzień. Wieczorem przekroczyli granicę z Generalnym Gubernatorstwem. W Alwerni nakarmił ich i dał przewodnika miejscowy ksiądz. Szli dalej przez Tyniec, Wieliczkę i Puszczę Niepołomicką, gdzie 1 maja zderzyli się z grupą uzbrojonych Niemców. Witold Pilecki otrzymał postrzał w ramię. Rozproszyli się, ale wszyscy trzej dotarli do Bochni, tu opieką otoczyła ich rodzina Obrów. Rotmistrz skontaktował się z miejscową AK. Zastępcą dowódcy placówki AK w Nowym Wiśniczu okazał się Tomasz Serafiński, ten sam, którego dokumenty rotmistrz przypadkiem znalazł w Warszawie i pod którego nazwiskiem dostał się do Oświęcimia. W posiadłości Serafińskiego przebywał cztery miesiące. Czynił starania, by Armia Krajowa przeprowadziła atak na obóz w Oświęcimiu i uwolniła więźniów. Plan ten okazał się niemożliwy.

„W Nowym Wiśniczu pozostawił raport, który napisał na temat konspiracji wojskowej w KL Auschwitz zaraz po ucieczce… Raport został ukryty w ziemi, odkopano go dopiero po wojnie" – podał historyk Adam Cyra. Tak jak Witold Pilecki obaj jego towarzysze walczyli w Powstaniu Warszawskim. Jan Redzej został ranny w jego pierwszych dniach, zmarł 5 sierpnia 1944 roku. Edward Ciesielski, także ranny, zdołał uciec po kapitulacji powstania z transportu jeńców. Po wojnie skazany na karę śmierci, więziony przez kilka lat w stalinowskim więzieniu. „Wyszedłem w nocy tak samo jak przyjechałem, byłem więc w tym piekle dziewięćset czterdzieści siedem dni i tyleż nocy […]. Wychodząc miałem o kilka zębów mniej niż w momencie mojego tu przyjścia oraz złamany mostek. Zapłaciłem więc bardzo tanio za taki okres czasu w tym »sanatorium«" – wspominał bohater, który kilkukrotnie w Auschwitz dosłownie cudem uniknął śmierci. „Jeśli naprawdę ktoś wyjdzie, obowiązkiem jego będzie ogłosić światu, jak tu ginęli prawdziwi Polacy. Niech też powie, jak tu ginęli w ogóle ludzie mordowani przez ludzi" – apelował autor raportu, który trafił na Zachód za sprawą Polskiego Państwa Podziemnego i Rządu RP na Uchodźstwie. Czy jednak w wolnym świecie chciano usłyszeć prawdę o niemieckim barbarzyństwie? ■

Agnieszka Kowalczyk

Filomackie Wilno. Miasto „winnych zbrodni patriotyzmu”

„Spółuczniom, Spółwięźniom, Spółwygnańcom za miłość ku ojczyźnie prześladowanym, z tęsknoty ku ojczyźnie zmarłym w Archangielu, na Moskwie, w Petersburgu, Narodowej Sprawy Męczennikom” – to im Adam Mickiewicz, sam skazany na wygnanie w głąb Rosji, poświęcił III cz. „Dziadów”. Tym samym stworzył nieśmiertelne epitafium ofiarników swojego pokolenia.

W jedną z wrześniowych sobót 1815 roku siedemnastoletni młodzieniec z Nowogródka, niedawny uczeń szkoły ojców dominikanów, opuszczał swe rodzinne miasteczko leżące w cieniu góry Mendoga, by rozpocząć studia w Wilnie, dawnej stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego. Podróż miała trwać całą dobę. Żegnany przez matkę i braci, usadowił się na kupieckiej bryczce i razem z trzema Żydami wyruszył w długą i niebezpieczną drogę. W obawie przed napaścią zbójców zabrał z sobą pistolet. Była to pierwsza w życiu szlacheckiego syna z prowincji tak daleka i niezwykła wyprawa. Tym młodzieńcem był… Adam Mickiewicz, przyszły wielki poeta, romantyczny wieszcz narodowy.

» Od żelaznego wilka do wileńskiej wszechnicy

Czekało na niego prastare Wilno – żywe muzeum pamiątek przeszłości. Jego początki łączono z XIV-wieczną legendą o księciu Giedyminie, który upolowawszy w tych okolicach tura, zasnął strudzony. Wtedy to przyśnił się mu wilk w żelaznej zbroi, który wył do księżyca z wielką mocą. Pogański kapłan Lizdejko wyjaśnił, że to zapowiedź potęgi grodu, który powstanie w tym miejscu. I tak ufny w przepowiednię Giedymin, uwieczniony potem w „Panu Tadeuszu", „zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi/ Jak wilk pośród żubrów, dzików i niedźwiedzi". W pierwszej połowie XIV wieku uczynił je stolicą Litwy, strzeżoną przez wzniesiony nad Wilią i Wilejką zamek, który w ostatnich czterech dekadach tegoż stulecia odparł aż osiem najazdów krzyżackich.

Za czasów Mickiewicza na przedmieściach Wilna rozsiadły się dwory, dworki i siedziby magnackie mające charakter szlacheckich rezydencji wiejskich. Cały Antokol stanowił skupisko takich ziemiańskich domostw, z bulwarem nad Wilią i wyjątkowej piękności kościołem św. św. Piotra i Pawła. Świątynia ta, ufundowana jako wotum za zwycięstwo w wojnie z Moskwą, olśniewała wystrojem swego wnętrza, dzieła włoskich artystów – Pietra Perettiego i Giovanniego M. Galliego. „Zaaranżowali tu swoiste theatrum mundi – teatr świata, na który spod kopuły spogląda Boskie Oko Opatrzności i św. Augustyn", a 2 tys. kompozycji figuralnych tworzy „sceny biblijne, przypowieści, żywoty świętych, motywy historyczne, mitologiczne i alegorie, postaci aniołów i demonów, męczenników i żebraków, dam i rycerzy, nimf i smoków…".

Samo zaś Wilno zyskało sławę północnej oazy baroku, stylu o „rozmachu szalonym, pełnym mocy i bujności, ruchu ożywiającego bryły i rozrzutnego bogactwa dekoracji". Było tu ponad 30 świątyń, a wśród nich najpiękniejsze perły baroku – kościół św. Kazimierza z majestatyczną kopułą zwieńczoną książęcą mitrą, świątynia ku czci św. Teresy z Avilà ze szwedzkiego piaskowca, granitu i marmuru czy też uniwersytecki kościół świętych Janów z barokową fasadą przypominającą organy o piszczałkach pnących się ku niebu. Prawdziwym klejnotem ulicy Dominikańskiej stał się kościół Świętego Ducha, kipiący rokokowym przepychem o rozmaitości brył i linii dających efekt falowania i mieszających się barwach rudości, błękitu, bieli i złota. W jego ogromnych dwukondygnacyjnych podziemiach spoczywało 2 tys. zmumifikowanych zwłok – ciał zakonników, ofiar powstań, dżumy oraz żołnierzy napoleońskich. Ileż więc tajemnic z dawnych wieków musiało skrywać Wilno otwierające się przed Mickiewiczem, który słyszał w nim mowę dawnych wieków. Pierwsze swe kroki skierował ku Matce Boskiej Ostrobramskiej, której to zawdzięczał cudowne ocalenie we wczesnym dzieciństwie, a teraz chciał zawierzyć jej swe losy.

FOT. WIKIMEDIA

Sławny Uniwersytet Wileński, do którego przybył właśnie młody Adam, należał do najstarszych uczelni Europy Wschodniej i Północnej, zawdzięczając swe początki jezuitom (1569), a swój status wyższej uczelni – królowi Stefanowi Batoremu (1579). Za czasów Mickiewicza, stojąc na najwyższym poziomie europejskim, Alma Mater Vilnensis przeżywała okres swej świetności, mogąc poszczycić się znakomitymi uczonymi i znaczącymi osiągnięciami czterech wydziałów – fizyczno-matematycznego, lekarskiego, nauk moralnych i literackiego. W naukach ścisłych i przyrodniczych prym wiedli: wybitny matematyk, fizyk i astronom Jan Śniadecki, jego brat – Jędrzej, chemik, lekarz i biolog, a także ks. Stanisław Bonifacy Jundziłł, założyciel wileńskiego ogrodu botanicznego. Znakomitymi humanistami byli natomiast: Ernest Groddeck, ceniony starożytnik, znawca greki i łaciny; Leon Borowski, profesor wymowy i poezji; oraz uwielbiany przez studentów Joachim Lelewel – wybitny historyk, który nie tylko z pasją przekazywał swą wiedzę z historii, geografii, archeologii i kartografii, lecz także głosił pochwałę polskiej tradycji demokratycznej i umiłowanie wolności.

» Na promienistych skrzydłach młodości

Odznaczający się charyzmatyczną osobowością i żywiołową naturą Mickiewicz od razu pozyskał sobie sympatię rówieśników: „chłonnością umysłu, odwagą własnego zdania, fascynującą kolegów zdolnością poetyckiej wypowiedzi". Szczere więzi przyjaźni oraz te same horyzonty umysłu i ducha połączyły go z Tomaszem Zanem, Józefem Jeżowskim, Franciszkiem Malewskim, Onufrym Pietraszkiewiczem i Janem Czeczotem. Zan, wywodzący się z biednej szlachty nowogródzkiej, z czasem wyrósł na duchowego przywódcę młodzieży wileńskiej. Potrafił pięknie i długo mówić publicznie bez jakiegokolwiek przygotowania, a przy tym był dobrze zapowiadającym się poetą, twórcą ballad, spośród których najsłynniejsza jest jego „Cyganka". Z kolei poważny z natury Józef Jeżowski, pochodzący z okolic Humania, to typ samotnika o surowych obyczajach, który dużo czytał, zwłaszcza autorów starożytnych, tak iż w przyszłości został filologiem klasycznym. Franciszek Malewski natomiast to syn rektora Uniwersytetu Wileńskiego, późniejszy prawnik, który jako pierwszy poznał się na talencie poetyckim Adama i odkrył przed nim dzieła literatury niemieckiej. Odznaczający się zdrowym rozsądkiem i swojską rubasznością Onufry Pietraszkiewicz, student nauk przyrodniczych i fizycznych, stylizował się na „polonusa starej daty" – nosił się po szlachecku, podkręcając swój zawiesisty wąs. W Towarzystwie Filomatów był sekretarzem, mistrzem ceremonii, archiwistą. Z kolei Jan Czeczot – „żywy, tkliwy, wesoły, bratający się ze wszystkimi" – został wprowadzony do kręgu filomatów w styczniu 1819 roku przez swego przyjaciela z nowogródzkiej szkoły – Adama Mickiewicza. Był też „najsumienniejszym czytelnikiem i najtroskliwszym korektorem" jego pierwszych tomików poetyckich. Sam też próbował swych sił jako poeta, zdobywając wśród kolegów miano „nadwornego balladzisty i jambisty".

Bardzo wiele dzieliło Mickiewicza i jego rówieśników od balującej w czasie karnawałów i bujającej w obłokach złotej młodzieży wileńskiej, której krotochwile i uciechy zobrazował Adam w swym debiutanckim wierszu „Zima miejska". Nie dla niego jednak ani jego kolegów prowincjuszy były rozrywki bogatych paniczyków strojnych w sobole i rosomaki, którzy rozsmakowani w bilardzie składali daniny hazardowej grze pożerającej majątki, wznosząc toasty mocnym węgrzynem i spijając pierwszorzędne koniaki i poncze. Mickiewiczowscy

przyjaciele woleli zaś wznosić kielichy wypełnione… mlekiem i rozkoszować się własną twórczością literacką! W przeważającej mierze wywodzili się z drobnej szlachty, niepotrzebnej już magnatom, dla których zbędne stały się ich szable i „kreski" na sejmach. Młodzieńcy, tacy jak Mickiewicz, mieli poczucie, że sami muszą walczyć o własną pozycję w świecie i że ich największym atutem będzie zdobyte wykształcenie.

Mickiewicz wraz ze swymi przyjaciółmi założył w październiku 1817 roku, działające potajemnie i mające elitarny charakter, Towarzystwo Filomatów – miłośników mądrości. Była to swoista republika młodych, funkcjonująca na wzór małego państwa z prezydentem i własnymi prawami. Na cotygodniowych posiedzeniach prezentowali efekty swej pracy naukowej i artystycznej. Poznawali największe dzieła starożytności i współczesności. „Dumali nad Hezjodem, Heraklitem, Diogenesem i Eurypidesem […]. Czytali przy skwierczących świecach nocami Goethego, Schillera, Byrona. Pochylali się nad Niemcewiczem". Prowadzili gorące dyskusje, uprawiali własną twórczość literacką, dążyli do samokształcenia i samodoskonalenia, a wszystko po to, by w przyszłości jak najlepiej służyć swojemu krajowi i walczyć o duszę narodu. Ich działaniom patronowało hasło: „Ojczyzna, nauka, cnota".

Na Uniwersytecie Wileńskim działali też od maja 1820 roku Promieniści – jawne towarzystwo młodzieży studenckiej, któremu przewodził Tomasz Zan, zwany „Arcypromienistym" lub „Arcym". Każdy, kto chciał zostać promienistym, musiał „prawym i pięknym postępowaniem zasłużyć sobie na dobre imię, znać historię polską, aby naśladować cnoty, a unikać wad przodków". Podczas słynnych majówek organizowanych przez Zana wśród studentów ujawniały się coraz wyraźniej nastroje patriotyczne, a „co gorętsi oświadczali wręcz gotowość wyzwolenia ojczyzny z kajdan". Wkrótce władze uniwersyteckie zakazały związkowi dalszej działalności, ale w jego miejsce z inicjatywy Zana powstało tajne Towarzystwo Filaretów – miłośników cnoty, którzy realizowali filomackie ideały – nauki, pracy, moralnego doskonalenia i przyjaźni. Z kolei w 1822 roku szczególną aktywność ujawnili Filadelfiści Błękitni, którzy zamierzali powołać do życia Związek Patriotyczny, opierający się na dwóch filarach – „Czerwonych" (ucząca się młodzież wileńska) oraz „Zielonych" (obywatelstwo prowincjonalne). W ostatniej fazie istnienia tajnych organizacji na Uniwersytecie Wileńskim to właśnie Filadelfiści na czele z ich przywódcą Stanisławem Kozakiewiczem nadawali swej organizacji polityczny, a zarazem patriotyczny charakter.

» Rozprawa Nowosilcowa z duchem polskim

W 1823 roku na studentów i profesorów Uniwersytetu Wileńskiego padł blady strach. Wszystko zaczęło się od zajścia, do którego doszło w gimnazjum wileńskim, gdzie jeden z uczniów, Michał Broel-Plater, napisał na tablicy: „Vivat Konstytucja! Ach jak słodkie wspomnienie". A inni gimnazjaliści – Jan Czechowicz, Benedykt Kościałkowski i Józef Kułakowski – rozwinęli jeszcze tę patriotyczną myśl: „Vivat Konstytucja 3 Maja! O jak słodkie wspomnienie dla Rodaków, lecz nie masz, kto by się o nią dopominał". W konsekwencji aresztowano rektora Uniwersytetu Wileńskiego Józefa Twardowskiego, kilku nauczycieli gimnazjum wileńskiego oraz Michała Platera i jego kolegów.

Wypadki te zwróciły uwagę władz carskich na wileńskie środowisko młodzieży, w którym działali filomaci, promieniści, filareci, filadelfiści… Na ich tropie był już wysłany do Wilna

nienawidzący Polaków senator Mikołaj Mikołajewicz Nowosilcow – zausznik cara Aleksandra I. Miał nie tylko zbadać sprawę „niestosownych napisów", lecz także sprawdzić, „jak dalece rozpanoszyło się na Uniwersytecie Wileńskim owo zło". Podczas przeszukiwania jednej ze studenckich stancji w kufrze filarety Jana Jankowskiego odnaleziono „plugawe wiersze" wymierzone w carycę Katarzynę II oraz obciążające papiery, które ujawniły istnienie tajnej organizacji wśród uczniów gimnazjum w Świsłoczy. Odtąd wszystko potoczyło się lawinowo. Złamany podczas śledztwa Jankowski ujawnił istnienie tajnego Towarzystwa Filaretów, wskazując na Zana jako przywódcę młodzieży, a spośród członków organizacji wymienił „starą gwardię filomacką" wraz z Mickiewiczem, Czeczotem i Jeżowskim. Zeznania te dały Nowosilcowowi podstawę do rozpoczęcia masowych aresztowań i nadania sprawie wileńskiej młodzieży charakteru „wielkiej pokazowej rozprawy z polskim duchem narodowym".

» „A wyrok o nich wyda wróg potężny"

Prawdziwy dramat rozegrał się w nocy z 4 na 5 listopada 1823 roku, kiedy aresztowano aż 85 osób, w tym Mickiewicza, Zana i Jeżowskiego. Na całej Litwie słychać było odgłosy kibitek uwożących młodzież na śledztwo do Wilna. W „Przedmowie" do cz. III „Dziadów" Mickiewicz ujawniał, że „w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego i tajemniczego. Charakter mistyczny, łagodny, ale niezachwiany Tomasza Zana, naczelnika młodzieży, religijna rezygnacja, braterska zgoda i miłość młodych więźniów [...] zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami zdarzeń".

Jeden z uwięzionych, filomata Ignacy Domeyko (pierwowzór Żegoty z III cz. „Dziadów"), w przyszłości znany polski geolog i badacz Ameryki Południowej, tak wspominał czas aresztowania i prowadzonego śledztwa: „We dnie wodzono nas do sądu; każdego pod strażą dwóch z karabinami żołnierzy i ciągnięto inkwizycje z całą formalnością moskiewską, z groźbami, podstępami, pochwyceniami za słowo, kłamstwami i wymysłami, których używają pospolicie na wyśledzenie zbrodni [...]. Za więzieniem była zima, mrozy i grożący nam wszystkim Sybir; w więzieniu na schadzkach panowała wiosna i nadzieja w przyszłość, choć daleką, Polski".

Docierały do nich jednak coraz bardziej niepokojące wieści o represjonowanych uczniach szkół w Świsłoczy, Krożach, Kiejdanach, Poniewieżu. Bezbronnych chłopców poddawano bezwzględnym badaniom, zastraszano, bito, wywożono w kajdanach w głąb Rosji. Dwóch uczniów szkoły kiejdańskiej, Tyra i Jana Mollesona (pierwowzór Rollisona z III cz. „Dziadów") sąd wojenny skazał na karę śmierci, zamienionej dzięki walce zrozpaczonej matki Janka na ciężkie roboty na Syberii. Pozostali młodzi spiskowcy z Kiejdan ukarani zostali nakazem uwięzienia i robót fortecznych. Wyrok śmierci usłyszeli też dwaj inni uczniowie ze szkoły w Kownie – Szymon Olszewski i Dominik Dębiński, którzy ośmielili się podrzucić prefektowi szkolnemu wiersze patriotyczne z pogróżkami. Ostatecznie Olszewski skazany został na ciężkie roboty w fortecy bobrujskiej, a Dębińskiego wysłano w sołdaty do Dubna.

Za najniebezpieczniejszą ideologię wyznawaną przez filomatów, promienistych i filaretów Nowosilcow uznał „narodowość". Ich siłą była przecież poezja patriotyczna, która miała moc wskrzeszania ducha polskości; historia, która nie pozwalała zapomnieć ojczystych dziejów; nauka – kształcąca samodzielne myślenie, etyka – ucząca niezłomności i wierności wyznawanym wartościom. A ta ideologia narodowa według Nowosilcowa stała w opozycji do carskiej Rosji i groziła wybuchem jawnego buntu. Winni „zbrodni patriotyzmu"

musieli zostać ukarani. Karę uzależniono od stopnia winy – pierwszy, najniższy, dotyczył przynależności do tajnego związku, drugi – szkodliwego wpływu na umysły młodzieży, a trzeci – uprawiania antyrosyjskiej twórczości. Do odległych od Polski guberni zesłano 23 filomatów i filaretów, którzy poświęcili się pracy nauczycielskiej. Najsurowszy wyrok więzienia w twierdzy Orenburg i stałego pobytu w głębi Rosji usłyszeli – Tomasz Zan, Jan Czeczot i Adam Suzin. Zan, który podczas procesu przyjął na siebie cały ciężar winy, by ratować współtowarzyszy, stał się w oczach wileńskiego pokolenia ofiarników największym męczennikiem narodowej sprawy. I tak też ukaże go Mickiewicz w III cz. „Dziadów". Ten carski wyrok złamał Zanowi życie – „stopniowo pogrążał się w religijnym mistycyzmie, […] rozmyślając nad nędzą swojej doli, nad bezmiarem upodlenia, przez które musiał przejść, tłukąc się po żołnierskich odwachach, więzieniach i fortecach". Potem przez wiele lat zmuszony był znosić beznadzieję zesłańczego żywota w Orenburgu, gdzie był guwernerem i geologiem. I choć powrócił po latach na ojczystą ziemię i założył rodzinę, czekały go jednak „nieubłaganie postępujący obłęd i bieda, ciągłe niepowodzenia w gospodarowaniu, stały brak pieniędzy, wreszcie śmierć w 1855 r.".

Z kolei Jan Czeczot na zesłaniu przebywał kolejno w Kisylu, Ufie i Twerze. Cierpiał z powodu rozdzielenia z ukochaną Zofią Malewską, a także miał wyrzuty sumienia, bo pozostawił w kraju starych i biednych rodziców. Po powrocie na Litwę w 1841 roku został bibliotekarzem u Joachima Chreptowicza w Szczorsach. Wtedy też „próbował powrócić do zainteresowań młodości, do wielkiego odkrycia czasów filomackich – kultury ludowej, autentyzmu piosenki wieśniaczej, wreszcie do zbieractwa folklorystycznego". Zmarł na gruźlicę w 1847 roku.

Ideały młodości udało się natomiast zrealizować innemu filomacie – Ignacemu Domeyce, wybitnemu przyrodoznawcy, powstańcowi listopadowemu, który zasłynął jako geolog w Chile i rektor Uniwersytetu w Santiago. Niewielu jednak wileńskich miłośników nauki i cnoty było w stanie po zsyłce ułożyć sobie życie na nowo. Pietraszkiewicz po 30 latach tułaczki wrócił na Liwę jako stary, schorowany człowiek. Po kilku latach na wygnaniu zmarli Cyprian Daszkiewicz i Jan Sobolewski. Śmierć przyszła też szybko po Feliksa Kołakowskiego – „zawołanego jambistę filareckiego". Dosięgła także Teodora Łozińskiego, który w dalekiej Wiatce pracował jako skromny nauczyciel, a był przecież w latach wileńskich jednym z najtrudniejszych do złamania młodzieńców.

***

Wyrok wydany przez „wroga potężnego" był jednak tylko pozornym tryumfem władz rosyjskich nad filomatami, filaretami i uczniami szkół litewskich, którzy odnieśli prawdziwe zwycięstwo nad despotą – w sferze etycznej, duchowej, narodowej… Ich ofiarniczy czyn ocalił przed zapomnieniem jeden z nich – Adam Mickiewicz, twórca III cz. „Dziadów", który podzielił los swych przyjaciół – skazany na wygnanie w głąb Rosji. Swoje dzieło poświęcił „Spółuczniom, Spółwięźniom, Spółwygnańcom za miłość ku ojczyźnie prześladowanym, z tęsknoty ku ojczyźnie zmarłym w Archangielu, na Moskwie, w Petersburgu, Narodowej Sprawy Męczennikom". Tym samym stworzył nieśmiertelne epitafium ofiarników swojego pokolenia, którzy są, jak pisze Alina Witkowska, „pierwszym ogniwem w łańcuchu ofiar, będących obok bojowników, bohaterami wielkiego starcia idei, wyznaczającego bieg historii wieku XIX – walki despotyzmu z wolnością". ■



Antonina Tosiek, „Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet", Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025.

Krzysztof Wołodźko



Odrzucony świat. Pamiętniki wiejskich kobiet

Świat kobiet, które dawno odeszły, i tych, które są naszymi prababciami, babciami i matkami. Świat po dziejowych kataklizmach, wielkich zmianach ustrojowych i najpotężniejszych od stuleci przemianach społecznych. „W latach 1933–1995 w konkursach pamiętnikarskich dla ludności wiejskiej mogło wziąć udział nawet dziewięćdziesiąt tysięcy kobiet. Najstarsza z nich urodziła się najprawdopodobniej w roku 1882, najmłodsza kilka dni po wprowadzeniu stanu wojennego" – pisze Antonina Tosiek na kartach książki „Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet".

Dlaczego u początków transformacji zrezygnowano z wielkiej pamiętnikarskiej inicjatywy, od dekad ilustrującej przemiany polskiej wsi? Pozostawmy to pytanie otwarte, choć doskonale wpisuje się w to, co wiemy o najbardziej antyspołecznych czy wręcz nieludzkich cechach balcerowiczowskich przemian. Warto wiedzieć, że początki pamiętnikarstwa konkursowego wiążą się z inicjatywą wybitnego polskiego filozofa i socjologa Floriana Znanieckiego. To on w pierwszych dekadach XX wieku opracował wielotomowy zbiór „The Polish Peasant in Europe and America" na podstawie listów i autobiografii chłopów, którzy z polskich ziem ruszyli za chlebem za ocean. W czasach II RP Znaniecki stworzył w Poznaniu Polski Instytut Socjologiczny. I wtedy na dobre rozpoczęła się historia pamiętnikarstwa konkursowego: jej bohaterami stali się pracownicy fizyczni, bezrobotni, Ślązacy, mieszkańcy i mieszkanki Poznania, a także chłopi: „Na pierwszy w historii konkurs pamiętnikarski dla chłopstwa z roku 1933 rękopisy nadesłało czterysta dziewięćdziesiąt osiem osób. Jedynie siedemnaście tekstów było autorstwa kobiet".

Czasy PRL, choć kojarzymy je przede wszystkim z cenzurą, przyniosły rozkwit pamiętnikarstwa konkursowego. To był ewenement na skalę światową, tradycja wyrzucona na śmietnik przez demiurgów transformacji: pamiętniki słali autostopowicze, mieszkańcy Nowej Huty, górnicy, repatrianci. Wspomnienia pisała polska wieś. Poczesne miejsce w tej wyliczance zajmuje pamiętnikarstwo wiejskich kobiet: poświęcone starości, macierzyństwu, życiu codziennemu: „Trudno o bardziej wiarygodne, rozpisane w czasie świadectwo emancypacji i rewolucji kulturowych, jakie zaszły w polskim społeczeństwie, niż porównanie życiorysów czterech pokoleń kobiet wiejskich".

» Kłopot z dziećmi i świniami

W przedwojennej Polsce na wsi żyły ponad 3 mln kobiet prowadzących gospodarstwa domowe. Pomagało im 1,5 mln córek i synowych. Wedle dostępnych obliczeń blisko dekadę przed wojną gospodyni wiejska dziennie pracowała średnio ponad 13 godzin. Kobiety zaczynały ciężką fizyczną pracę jako kilkulatki; kończyły, gdy choroby lub starość odbierały siły ich ciałom i umysłom. Dla wielu z nich o wiele ważniejsza od zmiany ustrojowej była stopniowa mechanizacja pracy na wsi. Każda pora roku wymagała nieco innej pracy i planu dnia, ale wstawać trzeba było skoro świt. Kalendarz rolny wyznaczał rytm życia w sposób, który dziś dla wielu z nas jest nie do wyobrażenia. Pelagia z gminy Grążawy na Kujawach wspomina, że „za Bieruta maszyn nie było", więc praca przy wykopkach zaczynała się od 4 rano. Dzieci dołączały zaraz po szkole – gdy zjadły obiad. Za Gomułki szło się już za traktorem: w pół zgięte kobiety zbierały ziemniaki do koszy, na stertę, i znów za traktor. Zimą wstawało się godzinę później: „[…] zrobiłam ogień na placie i pod parnikiem […] zastawiałam wodę dla świń, poszłam doić krowy, wydoiłam, mleko do kanów i gotowe do mleczarni, następnie obdaje świniom, kurom i śniadanie robię. […] Dzieci zbudziłam, łóżka posłałam posprzątałam i śniadanie. Dzieci w tym czasie się pomyły ubrały, pomówili paczórki i siadali do śniadania. Śniadanie u mie było zawsze o godzinie siódmej. Ja dokończyłam sprzątanie i do roboty zależy co. Albo szyłam czy przędłam albo za dzianie się wzięłam" (wszystkie cytaty z pamiętników to pisownia oryginalna).

Gabrysia z gminy Kołaczkowo w Wielkopolsce w 1957 roku pisała w pamiętniku: „Podobno są pralki elektryczne, żebyśmy my też taką mieli jak by było dobrze". Tłumaczyła z goryczą: „Kobieta na wsi to piekło na ziemi. Nikt nie jest w stanie zrozumieć jej obowiązków. Wszystkim musi wygodzić, a dla siebie zawsze czasu brakuje. Nie ma dla niej nadziei, że to osiem godzin przerobi i święto. Biega od świtu do nocy". Nie brakowało też poczucia złości i żalu na mężczyzn: to oni wydzielają pieniądze na zakupy, to oni mają czas na gazetę i wódkę, to oni są panami każdej życiowej sytuacji. Honorata z Bliznego latem 1955 roku pisała: „Dziś pokłóciłam się

FOT. MAT. PRAS.

z mężem żąda ode mnie pomocy a ja sobie rady dać nie mogę z tymi dziećmi i świniami".

Antonina Tosiek analizuje pamiętniki wiejskich kobiet, przyglądając się nie tylko ich opowieściom o pracy. Interesuje ją samoświadomość polskich chłopek, jej przemiany, życiowe strategie kobiet w czasach awansu społecznego i wielkich kryzysów. Bada kwestie oświaty i kultury, wpływ przemian ustrojowych, przygląda się seksualności kobiet, ich intymnym relacjom, pojmowaniu macierzyństwa i tego, co długo nazywano obowiązkami małżeńskimi. Dla wielu bardziej konserwatywnych czytelników i czytelniczek kontrowersyjne mogą być fragmenty poświęcone aborcji i lękom przed narodzeniem dziecka z niepełnosprawnością. Jestem jednak przekonany, że trzeba poznać przedstawioną przez autorkę perspektywę, by rozumieć także wiele współczesnych kobiet z klasy ludowej. Interesująco omówiony jest również wątek wiejskiego antyklerykalizmu. Na prawicy to często temat tabu, a warto mieć świadomość, że na wsi od zawsze ludowa pobożność współegzystuje z dystansem do duchowieństwa i tych stronnictw politycznych, którym chłopi nie ufają. W latach 90. wielki zwrot wsi ku postkomunistom nie wziął się znikąd: na dawne animozje nałożyły się nowe zadry i urazy. Dopiero Prawu i Sprawiedliwości udało się odbudować zaufanie wsi do centroprawicy. Kwestie społeczno-gospodarcze mocno nałożyły się na godnościowe: PiS skutecznie zerwało z mocno balcerowiczowską mentalnością części prominentnych polityków Akcji Wyborczej „Solidarność".

» „Chcę być ładną"

Jednym z wielkich toposów społecznych, wokół których ogniskuje się zarówno polska wspólnota, jak i klasowe konflikty, jest szkoła. Ponad rok temu pisałem dla „Nowego Państwa" o książce „Życie codzienne nauczycieli w II Rzeczypospolitej" Piotra Gołdyna: kwestie społeczne bardzo mocno nakładały się wówczas na narodowe: „Szanowany i lubiany nauczyciel mógł liczyć na mniej lub bardziej hojne podarunki od chłopów, »jeśli jednak nie był aprobowany przez społeczność wsi, to zdarzało się nawet przymierać głodem«" (numer 222 (04/2025)). Antonina Tosiek przypomina, że choć dekret z 1919 roku objął powszechnym obowiązkiem kształcenia wszystkie dzieci od siódmego do 14. roku życia, w tym dzieci chłopskie i robotnicze, to jeszcze w połowie lat 30. sytuacja nie przedstawiała się na wsi najlepiej: „W roku szkolnym 1934/1935 do szkół podstawowych uczęszczało 97 procent dzieci mieszkających w miastach i jedynie 15,3 procent dzieci z terenów wiejskich, z czego większość kończyła naukę po dwóch klasach". Nawet po wielu dekadach i kilku społecznych rewolucjach wymowne ślady cywilizacyjnych przemian są jeszcze dobrze widoczne w urbanistyce i architekturze wielu wsi. W mojej rodzinnej wielkopolskiej wiosce na terenie byłego wzorcowego PGR Manieczki, niedaleko starego, nieczynnego, popruskiego dworca kolejowego, mieści się budynek przedwojennej, czteroklasowej szkoły elementarnej (obecnie własność prywatna). Z kolei gmach po-PRL-owskiej podstawówki, w której klasy 4–8 przez dekady uczyła moja matka, znajduje się głębiej we wsi – tyle że dzisiaj to już nie szkoła, lecz prywatny dom spokojnej starości. Dawne ambicje, zamiary i realia społeczne, edukacyjne, polityczne ściśle przenikają się z rzeczywistością nowej, skrajnie urynkowionej epoki. Instytucjonalne znaki czasów wielo- i „dwudzietności" – z dojmującymi symptomami starzenia się społeczeństwa.

Warto pamiętać, że przedwojenna Polska, wbrew komunistycznej propagandzie, z niemałym zapałem budowała również oddolnie oświatę i społecznikostwo, a ruch młodochłopski był rzeczywistym ruchem ludowym. Antonina Tosiek, analizując przedwojenne dokumenty, pisze: „O szkole marzyła niemal każda pamiętnikarka sprzed 1939 roku. Dla wielu z nich dostęp do edukacji symbolizował coś znacznie większego niż tylko spełnienie indywidualnych aspiracji i ambicji – to był krok w stronę

większych zmian klasowych: tworzenia własnych, ludowych elit, organizowania niezależnych od władzy centralnej spółdzielni i stowarzyszeń, zwiększania obecności ludności wiejskiej w życiu publicznym". Wśród najważniejszych instytucji, które pomagały chłopkom i chłopom przed wojną, były „Wici", związane w latach 30. ze Stronnictwem Ludowym. Znaczną popularnością wśród mieszkanek wsi cieszyło się również Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży i Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej. Urodzona w 1915 roku Helena zapisała w pamiętniku: „Z kursu [KSMŻ – red.] wróciłam bardzo zadowolona. Był bardzo mądrze pomyślany. Do południa mieliśmy zajęcia praktyczne w kuchni. Uczyłyśmy się gotować, piec ciasta, przyrządzać różne leguminy, a po południu słuchałyśmy wykładów na tematy »Jak wybierać«, »W okresie narzeczeństwa«, »Chcę być ładną«, »W oczekiwaniu dziecięcia«, »Jak kąpać, karmić i ubierać niemowlę« i wiele, wiele innych tematów związanych właśnie z życiem małżeńskim". Wspominała również, że na ogólnopolskim spotkaniu KSMŻ kobiety ze wsi „wyglądały na bardzo nieśmiałe, niezbyt rozmowne", podczas gdy kobiety z miast był wygadane, przebojowe, swobodne. „Widziałam, że lekceważyły sobie niekiedy koleżanki z wiosek. Uważały się za lepsze, mądrzejsze. Bardzo mnie to bolało. Wiedziałam sama, podług siebie, że w niejednym dorównuję im, nawet zrobiłabym lepiej od nich, ale brak mi było tego tupetu, tego obycia wśród ludzi".

» „Zawsze będziemy przeklinali Wałęsę"

Jeden z boleśniejszych, bo nie tak odległych wątków w książce Antoniny Tosiek dotyczy czasów transformacji. Świętej pamięci prof. Elżbieta Tarkowska kobiety z klasy ludowej nazywała menedżerkami ubóstwa, odnosząc to właśnie do realiów balcerowiczowskich przemian. Swego czasu rozmawiałem na ten temat z Piotrem Binderem, autorem książki „Młodzi a bieda. Strategie radzenia sobie w doświadczeniu młodego pokolenia wsi pokołchozowych i popegeerowskich". Naukowiec mówił: „Mam przed oczyma rodziny, które poznałem w trakcie swoich badań. To byli ludzie skuteczni w zarządzaniu biedą – brak formalnych kompetencji nadrabiali determinacją i uporem. Szybko uczyli się nowych rzeczy, świat popegeerowski przeobrażał się błyskawicznie. Droga od pełnego zatrudnienia do wszechobecnego bezrobocia nie była wcale taka długa, dlatego też adaptacja musiała być szybka. […] Zwykle na początku rezygnowano z produkcji zwierzęcej, bo była energochłonna. Praca w cielętnikach, świniarniach, oborach itp. to było zajęcie kobiet. One pierwsze traciły pracę. Ale nie mogły siedzieć z założonymi rękoma. Zarządzały tymi zasobami, które były w domu, i pozyskiwały nowe środki do życia".

Kobiety ze wsi opisywały to również w swoich pamiętnikach. Antonina Tosiek pisze: „potransformacyjną zapaść wsi wielokrotnie porównywano do wielkiego kryzysu". 54-letnia matka szóstki dzieci spod Rzeszowa żaliła się: „Pracuję ponad siły, dzieci mi pomagają, ale trudno jest związać koniec z końcem. Za komuny pobudowaliśmy dom, mamy wodę, gaz, telewizor. […] Jeszcze próbuję walczyć o byt swój i rodziny, ale czy wygram? Dopomóż mi Boże! Nie chwalę komuny, bo to był zły system, totalitarny. Ale żyło się łatwiej". Inna kobieta, Krystyna, pisała, że Lecha Wałęsę „będziemy przeklinali po wszystkie jego dni. […] Została zniszczona taka piękna mleczarnia w Tomaszowie [Mazowieckim – red.] i przepadły nasze udziały, nasza krwawica. A co oni robią – wariaci? Jeden po drugim niszczy i nic nie będzie. Owszem. Głód i nędza na pewno". Nie była to osoba cierpiąca na „wyuczoną bezradność" – prowadziła z mężem gospodarstwo rolne i dodatkowo pracowała w spółdzielni spożywczej. Takich ludzi, których u korzeni wyrywano z podstawy bytu, było wówczas w Polsce stanowczo zbyt dużo.

„Przepraszam za brzydkie pismo" to jedna z najciekawszych książek o chłopkach w Polsce. Trudno się jednak dziwić, że pamiętnikarstwo konkursowe zniszczono u zarania III RP. Zbyt wiele nadto niewygodnych dla p.o. elit spraw mogłoby przebić się do mainstreamu za sprawą takich pamiętników. ■



Mateusz Matyszkowicz



Upadłe Hollywood w każdym domu

W serialu, który jest komediową próbą diagnozy Hollywood, czyli w „Studio", główny bohater, szef studia filmowego, który jest fanem Martina Scorsese, musi powiedzieć swojemu mistrzowi, że wytwórnia nie zrealizuje jego ostatniego filmu.

Możemy uznać tę scenę za podsumowanie stanu amerykańskiego kina. Wielcy mistrzowie kina wciąż żyją, jest wielu młodszych, także zdolnych. Ale ich projekty nie będą realizowane.

Zarządzający przemysłem filmowym, jak bohater „Studia", będą sobie zdawać sprawę z tej katastrofy, dobrze wiedzą, że karmią widownię słabymi produktami, ale nie są w stanie nic zrobić. Nadszedł czas małego człowieka i małego kina. Jedyną pociechą jest to, że nie pierwszy raz i że już kilka razy kino podnosiło się z ogromnych kryzysów.

» Na początek twarda ekonomia

W czasach swojej świetności Hollywood produkowało przede wszystkim dla kina. To stamtąd pochodziły owe spektakularne przychody, które napędzały cały przemysł. Bilety do kin, globalna dystrybucja, błyskawiczna, następująca zaraz po premierze monetyzacja produkcji, a potem jeszcze wiele lat profitów z przychodów telewizyjnych oraz z DVD, ale to już jako dodatek, bo w kinie nie wynaleziono jeszcze niczego lepszego niż przychody z biletów. Tak, kupowanych na konkretny film, konkretnego twórcy. Film, który oglądało się w skupieniu, w odizolowanej od zewnętrznego świata sali kinowej, z osobą bliską lub bez niej.

To sprawiało, że film musiał być zarówno widowiskiem, jak i osobistym przeżyciem. Widowiskiem, bo musiał być wart wydania pieniędzy na bilet, musiał sam sobą wzywać do tego, by ludzie zbierali się razem w salach kinowych, a jednocześnie osobistym przeżyciem, bo oglądając film na wielkim ekranie, w ciemności, zostawaliśmy na dwie godziny z naszymi bohaterami, obserwując ich podróż z jednego punktu życia do drugiego, w rozpisanej według starych jak nasza kultura schematach dramaturgicznych.

Swój szczyt kino w tej postaci przeżyło w 2019 roku. To właśnie wtedy globalny box office z kin osiągnął rekordowe 42,5 mld dolarów, a cały rynek filmowy, licząc z pozostałymi kanałami dystrybucji (streaming, home entertainment), przekroczył 100 mld dolarów. Symbolem tego złotego dla kina roku był film „Avengers: Endgame", który zarobił 2,8 mld dolarów. Żeby porównać to z rokiem 2025: przychody z kin tylko w USA i Kanadzie wyniosły nieco ponad 8,1 mld dolarów, a globalny box office kinowy zamknął się na poziomie około 33,5 mld, czyli cały rynek jest niższy o około 20–25 proc. względem szczytu z 2019.

Co stało się potem, dobrze wiemy. Wybuchła pandemia, która opróżniła kina. Ale to wciąż za mało, by odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego w kolejnych latach kino nie odrobiło strat z okresu pandemicznego. Dlaczego ludzie

FOT. MAT. PRAS.

nie wrócili? Można powiedzieć, oczywiście, że nie mieli do czego wracać, bo nie ma już dobrych filmów. Ale to odpowiedź zbyt prosta, a przede wszystkim daleka od prawdy.

W pandemii przecież ludzie nadal oglądali filmy, tylko że w streamingu. Też za nie płacili, tylko w postaci subskrypcji, i tak im zostało. Ale ta zmiana sposobu oglądania filmów zmieniła nie tylko rynek obiektów kinowych, lecz także cały przemysł oraz samych widzów.

Przede wszystkim rentowność filmu od tego momentu przestała być liczona w pojedynczych egzemplarzach dzieł wpuszczanych do telewizyjne produkty, przy okazji, jako tło, a rozwój aplikacji społecznościowych sprawił, że ekran, na którym ogląda się dzieło, nie jest jedynym. Oglądając film, przegląda się zwykle na drugim ekranie media społecznościowe lub odpisuje na wiadomości. W takim trybie niemożliwe jest doświadczenie klasycznej dramaturgii, odbiera się jedynie pojedyncze bodźce skierowane do nas z ekranu, bodźce, które muszą konkurować z krótkimi filmami z mediów społecznościowych. Zamawiające filmy platformy streamingowe dobrze o tym wiedzą, stąd dobierają takie projekty oraz su-

W PANDEMII LUDZIE NADAL OGLĄDALI FILMY, TYLKO ŻE W STREAMINGU. TEŻ ZA NIE PŁACILI, TYLKO W POSTACI SUBSKRYPCJI, I TAK IM ZOSTAŁO. TA ZMIANA SPOSOBU OGLĄDANIA FILMÓW PRZEMIENIŁA RYNEK OBIEKTÓW KINOWYCH, CAŁY PRZEMYSŁ FILMOWY I SAMYCH WIDZÓW.

dystrybucji. Widz, wykupując subskrypcję, nie robi tego dla pojedynczego filmu, lecz dla całej oferty. Nie wydaje już 10 dolarów na bilet do kina na konkretny film, ale te same 10 dolarów na całą ofertę, jaką ma dla niego dostawca. Wprawdzie koszty dotarcia do widza są niższe, bo nie trzeba się dzielić z właścicielami sieci kinowych, ale to wciąż znacznie mniej. Zmienił się w ten sposób model biznesowy całego przedsięwzięcia.

» Razem z tym modelem zaczął się też zmieniać sam widz

Netflix i inne platformy zaoferowały mu wszystko, czego dusza zapragnie, odbierając kontaktowi z dziełem charakter czegoś wyjątkowego, a przede wszystkim niszcząc stary rytuał wyizolowanego i skupionego oglądania. Filmy zaczęły być oglądane zatem tak jak inne gerują takie zmiany twórców, aby dopasować się do oczekiwań widowni, co ostatecznie prowadzi do degradacji sztuki nazywanej kiedyś filmem.

Cały proces odbywa się w rytm algorytmu, który przeciętnemu widzowi kojarzy się z systemem rekomendacji. Czyli z tym, że system platformy sugeruje klientowi następne pozycje do obejrzenia na podstawie wcześniejszych wyborów. Widzowie już zaakceptowali, że system w dużym stopniu wybiera za nich, przedstawiając tak naprawdę niewielką część oferty do wyboru. Ale to tylko niewielka część prawdy. System rekomendacji jest wyłącznie wierzchnią warstwą całej aplikacji. Prawdziwy algorytm znajduje się w jej silniku, tam, gdzie dokonuje się programowanie całej oferty, czyli dobór filmów, które od czasów pandemii powstają najczęściej na zamówienie samych

platform, nieustannie badających reakcje swoich użytkowników i dobrze wiedzących, czego potrzebują. Dzięki narzędziom AI platformy dobrze wiedzą, jak zachowują się ich użytkownicy i co trzeba robić, by przed ekranem spędzali coraz więcej czasu i nie rezygnowali z subskrypcji. Zamawiane filmy przestają więc być dziełami, są zaledwie towarem na półkę według uśrednionych parametrów. I to uśrednionych przez sztuczną inteligencję, która pozostaje sztuczna, a więc pozbawiona świadomości, kreatywności, gustu i świata wartości.

» Ktoś mógłby powiedzieć, że przecież nie wygląda to źle

Skoro narzędzia badają preferencje klientów, a dostawca się do tych preferencji dostosowuje, to wszystko gra. Ale to nieprawda. Bo algorytm jest w stanie przetwarzać informacje wyłącznie na podstawie prostych, możliwych do nazwania parametrów oraz opiera się na przewidywalności. Kino zaś, to największe, to które opierało się na przełomach, zaskoczeniu i w ten sposób było w stanie uwieść wyobraźnię odbiorców, opierało się na nieprzewidywalności, na prawdziwym zaskoczeniu, którego nie da się algorytmicznie odtworzyć.

Posłużmy się przykładem. Algorytm może zauważyć reakcje widza w czasie oglądania filmów Alfreda Hitchcocka i uznać, że taki typ oferty warto zamawiać. Zostanie precyzyjnie opisane, co dzieje się z widzem w każdej minucie oglądania filmu, potem uśrednione z innymi podobnymi pozycjami i następnie będą preferowane albo wręcz zamawiane te produkcje, które będą „hitchcocko podobne". Ruszy taśma produkcyjna i widz dostanie do obejrzenia serię miałkich filmów naśladujących ton Hitchcocka. Natomiast gdyby sam Alfred Hitchcock jakimś cudem ożył i postanowił złożyć na przykład Netflixowi swój projekt, najlepiej jeszcze pod pseudonimem, to zostałby on odrzucony. Dlaczego? Bo genialna twórczość jest zawsze oryginalna, odmienna i zaskakująca, nawet w przypadku pojedynczego twórcy.

Wielcy twórcy kina, jak choćby przywołany mistrz suspensu, oczywiście przetwarzali istniejące wzorce. W jego filmach odnajdujemy motywy z Sofoklesa, z Biblii i z lektury psychoanalityków. Wszystkie są jednak przetworzone w oryginalny sposób i za każdym razem złamane. Ten moment „złamania" schematu, który wywołuje u widza zaskoczenie i stanowi ostatecznie o wartości dzieła, jest niemożliwy do odtworzenia przez algorytm.

Można więc powiedzieć mocniej, z dużym prawdopodobieństwem, że gdyby Hitchcock zaczynał swoją karierę dzisiaj, skończyłby jako twórca niszowy i niskobudżetowy albo zostałby całkowicie wyparty z rynku i zająłby się sprzedażą samochodów.

Cały ten proces odbywał się powoli i wielu go nie zauważyło, bo na samym początku, kiedy platformy walczyły o swoje miejsce, a narzędzia AI nie były jeszcze tak zaawansowane, finansowały wiele ambitnych i ciekawych produkcji. Ale dalszy ciąg procesu jest nieubłagany. Po zamordowaniu kina, kiedy nie ma już konkurencji, w ruch idą ołówki księgowych tnących koszty, optymalizujących procesy i oczekujących od narzędzi matematycznych, jakimi są algorytmy, coraz większej przeciętności.

Jak zakończyć pozytywnie? Prosto. Wprowadzić własne BHP. Wprowadzić we własnym życiu rytm oglądania, choćby raz w tygodniu, filmu z wyłączonym telefonem komórkowym, przy zgaszonym świetle, najlepiej w sali kinowej, a jeśli nie ma na to czasu lub środków, u siebie w domu. I ponownie przeżywać kino. Tylko umasowienie takiej postawy może skorygować rynek, czekający na nowego geniusza i nowy przełom, który wyciągnie kino z zapaści. ■



Krzysztof Karnkowski



Z krzyżem i różańcem przez kraj

Za chwilę minie pięć lat. 24 czerwca 2021 roku z miejscowości Różaniec Michał Ulewiński wyruszył w swoją pielgrzymkę po Polsce. Idąc z 15-kilogramowym krzyżem na plecach, wydeptał na mapie naszego kraju znak krzyża. Odwiedził m.in. Giewont i Jasną Górę, modląc się o nawrócenie i zjednoczenie Polaków. W maju swą premierę będzie miał film Dariusza Walusiaka, dla którego ta niesamowita droga młodego Polaka jest punktem wyjścia do opowieści o działaniu Boga w życiu zwykłych ludzi.

Historia Michała miała być punktem wyjścia do opowieści o Kościele w Polsce. Chodziło o to, by pokazać różne przejawy działań katolików świeckich, którzy z miłości do Boga robią rzeczy niezwykłe. Razem z żoną Beatą jesteśmy także aktywni w tym środowisku. Uczestniczymy w wielu inicjatywach, takich jak: męski różaniec, kobiecy różaniec, Msze święte »Powróć córko, wróć synu«, podczas których wierni modlą się w intencji tych, którzy odeszli od Kościoła. Byliśmy wśród organizatorów krakowskiego Białego Marszu Papieskiego w 2023 roku i przede wszystkim od 13 lat przygotowujemy Krakowskie Zaduszki za Żołnierzy Wyklętych Niezłomnych. To też zbliżyło nas do ludzi, którzy w innych miastach zajmują się podobną działalnością" – opowiada reżyser filmu „Posłani", Dariusz Walusiak.

» Rodzima iskra

„Inspiracją do wybrania się w niezwykłą pielgrzymkę były słowa z »Dzienniczka« s. Faustyny oraz czytanie Słowa Bożego. »Studiując pewne fragmenty, po prostu poczułem w sercu, że Bóg chce, żebym podjął taką inicjatywę – wyjaśnia pielgrzym. – Żebym nakreślił na Polsce znak krzyża i uzyskał błogosławieństwo do budowania »państwa Bożego«, żeby Polska była takim państwem, jakim Pan Bóg chce. Ale wiedziałem, że do tego potrzebna jest pokuta, więc właśnie podjąłem taką pokutę za każdego Polaka, i mam nadzieję, że owoce będą takie, że po prostu Polacy zrozumieją, że my potrzebujemy tej pokuty«. Punktem kulminacyjnym pielgrzymowania było zdobycie Giewontu. 20 lipca pielgrzym z krzyżem na plecach stanął na Giewoncie, gdzie odmówił modlitwę w intencji Polski zakończoną słowami: »W całym Narodzie i Państwie Polskim – Króluj nam, Chryste!«" – mogliśmy przeczytać w trakcie pielgrzymki Ulewińskiego na portalu katolik.pl.

W filmie widzimy inscenizowaną powtórkę z tamtej drogi, ukazaną w sposób piękny, mocno eksponujący krajobrazowy urok drogi pielgrzyma. „Dwa miesiące drogi z 15-kilogramowym krzyżem. 1680,5 kilometra, bez gotówki, bez karty kredytowej, w stuprocentowym zaufaniu, że Pan Jezus wszystkim się zajmie. Czułem się niesamowicie wolny i jedyne, co było dla mnie ważne w tym momencie, to Pan Bóg. Ja po prostu zacząłem za nim tęsknić. Tęsknota za Panem Bogiem i świadomość, że na tym świecie te wszystkie rzeczy materialne nie mają żadnej wartości, a największą wartością jest Pan Jezus ukryty w Przenajświętszym Sakramencie – to jest coś niesamowitego, czego nie da się oddać ludzkimi słowami. Te dwa miesiące drogi, wierzę, że były wielkim błogosławieństwem i ono wyda owoce, ale tylko Bóg wie kiedy" – mówi na koniec filmu Michał Ulewiński.

„Te dwa miesiące drogi, wierzę, że były wielkim błogosławieństwem i ono wyda owoce, ale tylko Bóg wie kiedy" – mówi na koniec filmu Michał Ulewiński.

Poza jego drogą, w filmie Walusiaka prześledzić możemy też inne aspekty dzisiejszej żywej, polskiej duchowości, przede wszystkim maryjnej. Widzimy więc uczestników męskiego różańca, poznajemy przez pryzmat jednego z tworzących tę wspólnotę mężczyzn środowisko Wojowników Maryi, śledzimy losy pani

FOT. MAT. PRAS.

Anety Ciężarek, współorganizującej peregrynację po Polsce, w tym po jednostkach wojskowych, obrazu Matki Bożej Łaskawej. Obserwujemy też z bliska Nocną Pielgrzymkę Pokutną z Miedniewic do Niepokalanowa, spotykamy również kontynuatorów dziedzictwa błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszki. W opowieściach bohaterów filmu znajdujemy historie: nawrócenia, ciężkich zmagań z życiem oraz osobistymi, lecz realnymi demonami, wreszcie – prawdziwych cudów, jakich doświadczali sami rozmówcy Dariusza Walusiaka lub ich najbliższych. Widzimy, jak pomysły, które traktowane były najpierw nieufnie lub bez entuzjazmu, eksplodują w potężne, wychodzące daleko poza nasz kraj zjawiska. Jak męski różaniec, w którym uczestnicy widzą tę zapowiedzianą przez św. Faustynę iskrę, która wyjść ma z Polski. Można więc napisać, że film „Posłani" jest w jakimś stopniu mapą żywej, współczesnej duchowości. Mapą niezwykle plastyczną, wykonaną z wielkim uczuciem. Zarówno zdjęcia, jak i muzyka bardzo dobrze pasują do opowieści i przesłania filmu. Bliskość biograficzna czy geograficzna z jego bohaterami i miejscami może poruszyć polskiego widza.

» Walka w postchrześcijańskim świecie

Ostatnie miesiące przyniosły polskim widzom wiele innych ciekawych produkcji religijnych, zarówno dokumentalnych, jak i wplatających w dokument elementy fabularne, wreszcie jedną zaskakującą i ciekawą jako zjawisko społeczne fabułę. Ten ostatni przypadek to bardzo popularne w kraju swojej produkcji „Niedziele". „Niedziele" Alaudy Ruiz de Azúi są jednym z najbardziej nieoczywistych europejskich filmów ostatnich lat. Hiszpańska niewierząca reżyserka stworzyła bowiem poruszającą opowieść o nastolatce odkrywającej powołanie do życia klauzurowego – i zrobiła to bez ironii, kpiny czy antyreligijnej publicystyki. Bohaterka filmu dojrzewa w rodzinie, która zachowała jeszcze religijne formy i zwyczaje, ale utraciła żywą wiarę. Na tym tle jej duchowe wybory stają się dla bliskich czymś niezrozumiałym, a nawet trudnym do zaakceptowania. „Niedziele" są więc nie tylko historią powołania, lecz także opowieścią o świecie postchrześcijańskim, w którym religia coraz częściej pozostaje jedynie kulturowym rytuałem. Ruiz de Azúa z ogromną subtelnością pokazuje rodzinne napięcia, emocjonalne uzależnienia i walkę młodej dziewczyny o prawo do własnej drogi. To kino oszczędne formalnie, ale bardzo dojrzałe psychologicznie i zaskakująco uczciwe wobec doświadczenia wiary.

„Najświętsze Serce. Jego panowaniu nie będzie końca" łączy dokumentalną formę z fabularyzowanymi scenami objawień św. Małgorzaty Marii Alacoque, tworząc opowieść o wierze, samotności i duchowym kryzysie współczesnego świata.

Hiszpania to zresztą jeden z tych krajów, w którym jakaś walka, podskórna lub bezpośrednia, toczy się zawsze. Możemy to zobaczyć w kolejnym filmie, tym razem ukazującym nam kawałek historii człowieka, a zarazem narodu. Hiszpański film „Claret" Pablo

Moreno opowiada historię św. Antoniego Marii Clareta – misjonarza, arcybiskupa i obrońcy ubogich, który już w XIX wieku stał się ofiarą brutalnej kampanii oszczerstw i politycznej propagandy. Twórcy nie ograniczają się jednak do klasycznej biografii świętego. Konstrukcja filmu oparta została na śledztwie pisarza José Martíneza Ruiza odkrywającego po latach, że opowieści o rzekomej rozwiązłości Clareta były świadomie fabrykowanym kłamstwem. Dzięki temu „Claret" staje się równocześnie opowieścią o wojnach domowych targających Hiszpanią, mechanizmach dezinformacji i niszczeniu ludzi niewygodnych dla elit. Ten ostatni wątek czyni film wartym obejrzenia nie tylko z przyczyn duchowych czy historycznych, lecz także jak najbardziej praktycznych. To cenna lekcja w czasach, gdy propaganda zyskuje jeszcze lepsze, nowocześniejsze i bezwzględne narzędzia – i coraz bardziej bezbronnych wokół nich odbiorców. Moreno pokazuje Clareta jako człowieka pokornego wobec Boga, ale odważnego wobec możnych tego świata – duchownego, który sprzeciwiał się niewolnictwu i traktował wszystkich z jednakową godnością. Film zaskakuje wielowymiarowością, aktualnością i bardzo współczesnym wydźwiękiem.

» Matka i Syn – nadzieja dla Polski i świata

Innym krajem południowego zachodu, w którym wciąż jeszcze wiara walczy o swoje wpływy z wrogą i pustą nowoczesnością, jest Francja, z której pochodzi trzeci z wartych wspomnienia obrazów. „Najświętsze Serce. Jego panowaniu nie będzie końca" łączy dokumentalną formę z fabularyzowanymi scenami objawień św. Małgorzaty Marii Alacoque, tworząc opowieść o wierze, samotności i duchowym kryzysie współczesnego świata. Reżyserzy Sabrina i Steven Gunnell przypominają historię kultu Najświętszego Serca Jezusowego, ale najważniejsze okazują się dla nich współczesne świadectwa ludzi, których życie zmieniło się dzięki wierze – od byłego dilera po muzyka opiekującego się chorą matką. Film pokazuje chrześcijaństwo nie jako abstrakcyjną ideę, lecz realną odpowiedź na zagubienie, atomizację i poczucie pustki. Szczególne wrażenie robi warstwa wizualna: pełne światła sceny klasztorne, subtelna mistyka obrazów i bardzo oszczędna, lecz sugestywna gra aktorska. Twórcy znakomicie posługują się kolorem, co ze scen fabularyzowanych czyni wizualne, plastyczne arcydzieło. To kino religijne, które nie ucieka od emocji i współczesności, a zarazem przypomina o duchowych korzeniach Europy.

Na koniec spójrzmy na jeszcze jedną krajową produkcję, która bardzo dobrze radzi sobie w kinach. Film „Maryja. Matka Papieża" Jana Sobierajskiego jest czymś więcej niż klasycznym dokumentem o Janie Pawle II. To opowieść o duchowym fundamencie jego życia, splatająca historię Karola Wojtyły z polską maryjnością i miejscem Matki Bożej w historii całego narodu. Twórcy prowadzą widza od Wadowic, przez Gietrzwałd, po Fatimę, pokazując, jak bardzo relacja przyszłego papieża z Maryją kształtowała jego duchowość, decyzje i sposób patrzenia na świat. Film przypomina też, że papieskie „Totus Tuus" nie było jedynie dewizą, lecz osią całego pontyfikatu. Choć formalnie dokument pozostaje bardzo tradycyjny i zachowawczy, jego siłą okazują się właśnie spokój narracji i skupienie na treści. W czasach coraz większego zagubienia i słabnącej więzi z dziedzictwem Jana Pawła II obraz Sobierajskiego wybrzmiewa jako refleksja nad polską duchowością, pamięcią i potrzebą zakorzenienia. Film w kinach przez pierwszy miesiąc obejrzało ponad 50 tys. osób. Nie tyle, by ścigać się z wielkimi zachodnimi blockbusterami, ale już tyle, by w każdym tygodniu od premiery być w top 10 kinowej oglądalności. ■







Łukasz Czarnecki

Herosi, jakich świat nie widział

Już od blisko dwóch dekad komiksowi superbohaterowie niepodzielnie królują na ekranach. W marcu do oferty Disney Plus wszedł drugi sezon historii „Daredevil: Odrodzenie", pod koniec maja na Amazon Prime Vido pojawi się serial „Spider-Man Noir", a w wakacje czeka nas kinowa premiera filmu „Spider-Man: Całkiem nowy dzień". Wszystkie wymienione produkcje łączy jedno – herosi, o których opowiadają, pochodzą ze stajni wydawnictwa Marvel Comics, niekwestionowanego lidera w branży.

Rok 1954 stanowi jedną z przełomowych dat w historii amerykańskiej popkultury. Działający wówczas w USA wydawcy opracowali tzw. kodeks komiksowy (szerzej pisaliśmy o nim w poprzednim numerze „Nowego Państwa"). Dokument stanowił spis ograniczeń dotyczących treści, które mogły pojawiać się odtąd na kartach opowieści obrazkowych. Wydawało się, że przemysł komiksowy zamieni się w żywą skamielinę. I choć rzeczywiście wszystko na to wskazywało, to od DC Comics wyszedł wówczas impuls, który zainicjował początek tzw. srebrnej ery komiksu.

» Pamiętna partyjka w golfa

W 1956 roku wydawnictwo przywróciło zawieszony w 1949 roku komiks o przygodach superszybkiego herosa o pseudonimie Flash. Wkrótce potem wskrzesiło też inną ideę z lat 40. – serię o Amerykańskiej Lidze Sprawiedliwości (znanej wcześniej jako Amerykańskie Towarzystwo Sprawiedliwości), w której znaleźli się: Superman, Batman czy Wonder Woman. Seria o przygodach zwalczającej zło organizacji okazała się wielkim sukcesem, generując gigantyczne zyski. I nikomu ze świętujących sukces członków zarządu korporacji nie przyszło nawet do głowy, że to właśnie popularność Ligii Sprawiedliwości wprawi w ruch koła przeznaczenia, które zrzucą DC z piedestału. A do katastrofy tej zapewne nigdy by nie doszło, gdyby współwłaściciel DC, Jack Liebowitz, potrafił trzymać język za zębami. Albo hobbystycznie nie grywał w golfa.

Bo to właśnie w trakcie partyjki tej gry w 1961 roku prezes DC pochwalił się właścicielowi Marvela, Martinowi Goodmanowi, wpływami, jakie przynosiły jego imperium komiksy o Lidze Sprawiedliwości.

Goodman, choć nie tak bogaty i wpływowy jak Liebowitz, sam w sobie był postacią ciekawą. W biznesie siedział od lat 30., stojąc na czele całkiem pokaźnego „królestwa medialnego", wydającego wszystko, w tym (a właściwie przede wszystkim) szmirę. Był mistrzem kreatywnej księgowości, dzieląc swe włości na liczne imprinty po to, by uniknąć płacenia wysokich podatków. Jednym z nich było Marvel Comics, które do czasu pamiętnej partyjki golfa zdążyło już dwukrotnie zmienić nazwę. Co więcej, biznesmen wyznawał zasadę, że jeśli na rynku pojawił się produkt, który odniósł sukces, należy jak najszybciej wypuścić podróbkę, na tyle podobną do oryginału, by zmylić nabywców. Dotyczyło to zwłaszcza branży komiksowej. W 1961 roku Marvel był epigonem i to – cytując jednego z pracowników firmy – „najgorszego rodzaju". Nawet największy hit wydawnictwa (wtedy nazywającego się Timely), kultowy w okresie II wojny światowej Kapitan Ameryka, powstał jako plagiat postaci Supermana. Nie ma się zatem co dziwić, że gdy Goodman usłyszał o milionach płynących do kieszeni kolegi, a zarazem konkurenta z branży, zapragnął uszczknąć coś z tego tortu dla siebie. Wezwał zatem do siebie redaktora naczelnego Marvela, Stana Lee, i powiedział mu, żeby na szybko wymyślił drużynę herosów, których będzie można nazwać… Ligą Prawych (sic!).

» Sukces, czyli to, co w duszy gra

Stanley Lieber (prawdziwe imię i nazwisko Lee) był krewnym żony Goodmana, w branży komiksowej pracował od 17. roku życia, wówczas zbliżał się do czterdziestki, coraz większą łysinę ukrywał pod tupecikiem i podobnie jak wielu mężczyzn w wieku średnim desperacko zadawał sobie pytanie: „Co ja robię ze swoim życiem?". Stan od młodości chciał zostać pisarzem i stworzyć wielką amerykańską powieść. W szkole osiągał dobre wyniki i marzył, by iść na studia, jednak jego rodziców, ubogich

FOT. MAT. PRAS.

żydowskich emigrantów z Rumunii, nie było stać na opłacenie edukacji syna, więc tę zakończył na liceum, po czym został zatrudniony przez Goodmana. Zaczynał jako chłopiec od wszystkiego, potem pozwalano mu pisać scenariusze, aż został głównym autorem i redaktorem naczelnym Marvela. Problem w tym, że awans zawdzięczał nie tyle wierze prezesa w swoje talenty, ile skąpstwu Goodmana. W DC pracowały dziesiątki scenarzystów, w Marvelu prawie wszystko spoczywało na barkach Lee. Przez dwie dekady pisał setki historii na zadane tematy, w większości głupkowatych, a jego frustracja rosła. Pseudonim Lee przyjął, rezerwując prawdziwe personalia na okładkę swej wielkiej powieści, na której napisanie nie miał jednak czasu przez nadmiar obowiązków. Co gorsza, o ile DC cieszyło się szacunkiem jako poważana korporacja, firma zatrudniająca Stana sprawiała wrażenie raczej szemranej instytucji, a on sam pytany w sytuacjach towarzyskich o zawód, ze wstydem udzielał mętnych odpowiedzi o „branży wydawniczej".

Co sprawiło, że Fantastyczna Czwórka urosła do rangi dzieła kultowego? Przede wszystkim indywidualizm cech charakteru.

Głowiąc się nad zadaniem postawionym przed nim przez prezesa, redaktor czuł się wypalony i nieszczęśliwy. Ostatecznie postanowił, że tworzona fabuła będzie jego ostatnią, a ukończywszy ją, poszuka nowej pracy. Gdy podzielił się tymi przemyśleniami z żoną, ta poradziła mu, by w takim razie pozwolił sobie napisać scenariusz, jak mu w duszy gra. Tymi słowami pani Lieber zmieniła historię popkultury.

Stan Lee wciągnąwszy do współpracy rysownika Jacka Kirby'ego, nie powołał do życia taniej podróbki bohaterów DC, jakiej żądał od niego Goodman. Zamiast tego narodziła się Fantastyczna Czwórka, a pierwszy zeszyt o jej przygodach trafił do kiosków w 1961 roku. Opowieść zaprezentowana światu przez dwóch steranych życiem weteranów branży komiksowej różniła się od wszystkiego, co do tej pory znali czytelnicy. Magazyn odniósł gigantyczny sukces, a twórcy poszli za ciosem. Lee pisząc przygody Fantastycznej Czwórki, odzyskał radość życia, i wkrótce jedna po drugiej wyłaniać się zaczęły kolejne postacie, każda osobliwsza i bardziej charyzmatyczna od poprzedniej.

» Bohater nie ma łatwo

Co sprawiło, że Fantastyczna Czwórka urosła do rangi dzieła kultowego? Przede wszystkim indywidualizm cech charakteru. Bohaterowie z kart komiksów DC stanowili posągowe bóstwa, tymczasem w dziełach Lee i jego współpracowników występowały postacie skrajnie różne i zindywidualizowane. W Fantastycznej Czwórce nie udałoby się pomylić kwestii subtelnego intelektualisty Reeda Richardsa, czyli Pana Fantastycznego, z jego gburowatym przyjacielem Benem Grimmem, znanym jako Stwór. Kiedy do stajni Marvela doszły później takie postacie, jak Spider-Man czy Thor, każda z nich miała charakterystyczny styl wypowiedzi.

Herosi nie tylko mówili inaczej, lecz także mieli inne podejście do życia, odmienne osobowości, co niejednokrotnie prowadziło do napięć, widocznych choćby w przygodach Fantastycznej Czwórki, a po pewnym czasie

także w dwóch innych flagowych drużynach Marvela, czyli Avengersach i X-menach. Pewien krytyk ujął to nawet stwierdzeniem, że bohaterowie kłócili się ze sobą niczym znudzone dzieciaki. Pytanie brzmi jednak, czy aby na pewno byli to bohaterowie?

Stan Lee i skupieni wokół niego rysownicy de facto wprowadzili na łamy komiksu antybohaterów, i to w sytuacji, gdy ich kreatywność ograniczały wymagania kodeksu. Bo jeśli spojrzymy na galerię postaci Marvela narodzonych w srebrnej erze komiksu, ujrzymy, że w przeciwieństwie do Supermana i jego kolegów z DC, wielu z nich bynajmniej nie stanowiło wzoru do naśladowania. Przynajmniej z początku. Co bowiem robi nastolatek Peter Parker po zdobyciu pajęczych mocy w wyniku ugryzienia przez radioaktywnego ośmionoga? Najpierw cieszy się z możliwości zemsty na szkolnych prześladowcach, a następnie wykorzystuje nowe umiejętności do zbicia szybkich i łatwych pieniędzy. Kiedy w budynku stacji telewizyjnej, w której show wystąpił (właśnie na tę okazję uszył kostium i przyjął pseudonim Spider-Mana), ochroniarz prosi go o zatrzymanie uciekającego złodzieja, chłopak nie reaguje, mówiąc, że to nie jego sprawa i nikt nie będzie mu już mówił, co ma robić. Dopiero gdy ów rabuś włamie się później do domu wychowujących osieroconego nastolatka krewnych i zastrzeli zastępującego mu ojca wujka Bena, Peter wkroczy na ścieżkę heroizmu, która przyniesie mu… nie uznanie, lecz gorycz, oszczerstwa, a wręcz nagonkę medialną! Co więcej, prócz walki z przestępczością Spider-Man dosłownie będzie musiał walczyć o byt, starając zarobić na utrzymanie swoje i starzejącej się, owdowiałej, schorowanej ciotki.

» Herosi z Nowego Jorku

Podany wyżej przykład Spider-Mana jest symptomatyczny dla wielu postaci Marvela z lat 60. O ile Fantastyczna Czwórka miała w sobie silny rys rycerskości i humanizmu (głównie za sprawą ich lidera, Pana Fantastycznego), o tyle już na przykład Tony Stark, czyli Iron-Man, w chwili przedstawienia go czytelnikom był… aroganckim handlarzem bronią, bogacącym się na wojnie w Wietnamie, a Doktor Strange był pyszałkowatym geniuszem chirurgii, bogacącym się na swych umiejętnościach. Pokory obydwu nauczyły dopiero własne nieszczęścia, ich przezwyciężenie dało im niezwykłe moce, dzięki którym mogli zacząć służyć tak długo lekceważonym bliźnim.

Co istotne, o ile komiksy DC działały w świecie całkowicie oderwanym od rzeczywistości, a Superman i Batman przeżywali swe przygody w fikcyjnych metropoliach, o tyle Fantastyczna Czwórka, Spider-Man czy Avengers działali na terenie Nowego Jorku, na tle autentycznych krajobrazów znanych mieszkańcom miasta! Po latach ludzie, którzy zaczytywali się zeszytami ze srebrnej ery komiksu jako dzieci, przyznawali nieraz, że dzięki temu zabiegowi byli gotowi uwierzyć, iż ulubione postaci nie należały do świata fikcji.

» Nowe czasy

Marvel nie zdetronizował DC z dnia na dzień. Proces przejęcia korony trwać miał ponad dekadę. O ile jednak DC miało większe nakłady, w ciągu zaledwie kilku lat Marvel wysunął się naprzód pod względem procentu sprzedawanych egzemplarzy.

Końcówka srebrnej ery komiksu przypada na 1970 rok, kiedy to zdesperowane spadającymi wynikami sprzedaży DC zabrało się za gruntowne reformy. Rzecz w tym, że korporacja, która przez lata trzęsła rynkiem, przemieniła się w epigona naśladującego lekceważonego przez prawie całe lata 60. konkurenta. Tak oto już od pół wieku DC próbuje wrócić na szczyt, jednak ciągle pomysły mające pomóc przywrócić mu hegemonię sprowadzają się do naśladowania Marvela. ■



Hanna Shen

Trump w Chinach. Pekin pokazał klatkę, Zachód wpadł w histerię



Wizyta Donalda Trumpa w Pekinie powiedziała nam coś ważnego o Chinach. Ale jeszcze więcej powiedziała o nas samych – o kondycji Zachodu, który w obliczu chińskiego reżimu nie radzi sobie nie z brakiem informacji, lecz z własną podatnością na narracje pisane przez przeciwnika.

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI IA

Wizyta Donalda Trumpa w Pekinie 13–15 maja 2026 roku pokazała dwa obrazy. Pierwszy – w samych Chinach: tysiące funkcjonariuszy na ulicach, dziennikarze zamykani siłą w pomieszczeniach, Secret Service niewpuszczony tam, gdzie powinien być, urzędnicy Białego Domu wyrzucający chińskie identyfikatory i telefony jednorazowe do kosza pod schodami Air Force One. To obraz klatki – dobrze urządzonej, technologicznie zaawansowanej, ale klatki. Drugi obraz powstał równolegle w zachodnich, w tym polskich, redakcjach: panika oparta na faktach, które nie zaszły. Trump miał rzekomo „sprzedać Tajwan", a kolejną ofiarą miała stać się Polska.

» Co zobaczyły kamery i co zobaczyli Amerykanie

Reżim chiński urządził Trumpowi spektakl, który miał wyglądać na pokaz partnerstwa równych. Czerwone dywany, dzieci z flagami, gwardia honorowa, kolacja w Wielkiej Sali Ludowej, wycieczka do Świątyni Nieba. Ale tuż pod warstwą lukru widać było co innego.

Skala operacji bezpieczeństwa była bezprecedensowa. Według źródeł powiązanych z aparatem KPCh do obsługi wizyty zmobilizowano ponad 2 tys. funkcjonariuszy, policji, paramilitarnej Ludowej Policji Zbrojnej oraz elitarnego Centralnego Biura Ochrony. Ulice wokół pekińskiego hotelu Four Seasons, w którym zatrzymał się Trump, zostały zamknięte, a kierowcy taksówek dostali wewnętrzne instrukcje, aby zgłaszać „nietypowe zachowania" pasażerów. Komitety osiedlowe miały „wzmocnić pracę nad stabilnością społeczną".

Najmocniej dostali dziennikarze. 14 maja chińskie służby odcięły amerykańską grupę prasową towarzyszącą prezydentowi od

motorkady prezydenckiej, zagoniły reporterów do zamkniętego pomieszczenia i postawiły przy drzwiach dwóch strażników. Zatrzymanie trwało około pół godziny. Z osobnego nagrania z chwili, gdy Trump i Xi wchodzili już do Wielkiej Sali Ludowej na formalne spotkanie, słychać, jak ktoś krzyczy po angielsku: „Get the f*** out of here!" [„Wyp***aj stąd!" – przyp. red.]. Tajny agent Secret Service eskortujący dziennikarzy nie został wpuszczony do Świątyni Nieba, bo miał broń, standard ochronny amerykańskiego prezydenta. Bret Baier ze stacji Fox News mówił podczas transmisji o wszechobecnych kamerach monitorujących każdy ruch w mieście. „Są poważne pytania o to, jaki jest cel KPCh, jeśli chodzi o śledzenie obywateli i system zaufania społecznego" – zauważył.

Najbardziej wymowne były kulisy odlotu. Amerykańscy urzędnicy zostawili prywatne telefony w Stanach. Przez całą wizytę korzystali z tymczasowych telefonów jednorazowych, wydanych specjalnie na podróż, a na pokładzie Air Force One trzymali wszystkie urządzenia w torbach Faradaya blokujących sygnały. Przed odlotem z Pekinu cała grupa prasowa oraz pracownicy administracji wyrzucili wszystkie chińskie identyfikatory, prezenty, plakietki delegacji i te jednorazowe telefony do kosza pod schodami do Air Force One. „Nic z Chin nie wchodzi na pokład" – relacjonowała amerykańska dziennikarka. To miara realnego zaufania administracji USA do gospodarza.

Skoro nawet delegacja prezydenta USA musi tak się chronić przed chińskim aparatem, łatwo wyobrazić sobie, w jakiej rzeczywistości żyje przeciętny obywatel Chin. A jednak czasem podsuwa się ten kraj jako alternatywę dla Zachodu – nowoczesne państwo, w którym roboty sprzedają w sklepach, kamery rozpoznają twarze, aplikacje obsługują wszystko. Tyle że ta sama infrastruktura identyfikuje dziennikarza, dysydenta i ucznia, który napisał coś niewygodnego dla partii na komunikatorze. Technologiczny blichtr nie zastąpi wolności. Bez wolności reszta jest tylko klatką.

» Co Trump dostał i czy to się zmaterializuje

Konkretne ustalenia szczytu są skromne. Pekin zobowiązał się do zakupu 200 boeingów, do co najmniej 17 mld dolarów rocznych zakupów amerykańskich produktów rolnych w latach 2026–2028 oraz do zniesienia zakazu importu amerykańskiej wołowiny.

Problem w tym, że obietnice zakupów to najtańsza waluta dyplomatyczna Pekinu. W ramach umowy „Phase One" z 2020 roku Chiny zobowiązały się zwiększyć zakupy amerykańskich towarów o 200 mld dolarów w ciągu dwóch lat. Zrealizowały 58 proc. i obyło się bez konsekwencji. Teraz również test prawdy nadejdzie przy pierwszej tonie soi, rzeczywiście kupionej przez chińskich importerów.

» Pułapka Tukidydesa: dlaczego Xi sięgnął akurat po nią

Ale fizyczna kontrola i obietnice handlowe to dopiero jedna warstwa pekińskiej strategii. Drugą, i to ona była prawdziwym narzędziem Xi podczas szczytu, jest wojna psychologiczna. W przemówieniu otwierającym w Wielkiej Sali Ludowej chiński przywódca ostrzegł przed „pułapką Tukidydesa". Xi Jinping używa tego pojęcia od co najmniej 2014 roku, ale tym razem padło ono w obecności amerykańskiego prezydenta i było skierowane do globalnej widowni.

Sama teza, spopularyzowana przez amerykańskiego politologa Grahama Allisona, brzmi prosto: kiedy wschodzące mocarstwo rzuca wyzwanie dotychczasowemu hegemonowi, najczęstszym wynikiem jest wojna. Allison

liczy, że w 12 z 16 takich przypadków od 1500 roku dochodziło do konfliktu. Wniosek dla Zachodu: aby uniknąć wojny, dotychczasowa potęga musi „radykalnie zmienić swoje postawy". W praktyce – zaakceptować dominację rywala.

Pułapka Tukidydesa, w wydaniu Xi, nie jest ostrzeżeniem, lecz groźbą. Jeśli będziecie się opierać, będzie wojna. Jeśli ustąpicie, będzie pokój. Pekin tę logikę uwielbia, bo wmontowana jest w nią z góry odpowiedź: wina za wojnę spadnie na Waszyngton, a nie na agresywną politykę chińską. Kampania terytorialna, presja na sąsiadów, groźby wobec Tajwanu – to ma być normalne zachowanie mocarstwa „w drodze do pozycji". Opór Zachodu to irracjonalna prowokacja.

Tę logikę opisał dekady temu sowiecki defektor Anatolij Golicyn. W „Nowych kłamstwach w miejsce starych" tłumaczył, że komunistyczne reżimy prowadzą długoterminową wojnę psychologiczną wobec Zachodu nie po to, by go pokonać militarnie, lecz po to, by skłonić go do samorozbrojenia. Golicyn pisał o ZSRS, ale jego intuicja działa dziś wobec Chin idealnie: nie trzeba pokonać przeciwnika militarnie, jeśli można go psychologicznie przekonać, że opór jest bezsensowny. Pułapka Tukidydesa to dokładnie ta operacja.

Tyle że Pekin sprzedaje obraz potęgi większej niż jest jego realna przewaga. Chiny tkwią w kryzysie na rynku nieruchomości, mierzą się z zadłużeniem władz lokalnych i starzeniem społeczeństwa, a w zaawansowanych technologiach pozostają zależne od Zachodu. Pułapka Tukidydesa to narzędzie wojny kognitywnej, które ma zastąpić realną przewagę, której Pekin po prostu nie ma.

» „Trump sprzedał Tajwan", czyli czego nie pokazują fakty

Jeszcze przed lądowaniem Trumpa w Pekinie w kręgach antytrumpowskich narosła teza, że prezydent „poświęci Tajwan". Po szczycie posłużyły do jej potwierdzenia wypowiedzi Trumpa o tym, że nie zatwierdził jeszcze pakietu zbrojeniowego dla Tajpej wartego 14 mld dolarów oraz że Tajwan i Chiny „powinny się ochłodzić". Wyrwane z kontekstu brzmią niepokojąco. Kontekst zmienia wszystko.

Sekretarz stanu Marco Rubio w NBC News, jeszcze będąc w Pekinie, oświadczył, że polityka USA wobec Tajwanu pozostaje „niezmieniona" i „konsekwentna na przestrzeni wielu administracji", a próba zajęcia wyspy siłą byłaby „straszliwym błędem". Sam Trump też powtórzył, że „nic się nie zmieniło".

> Fizyczna kontrola i obietnice handlowe to dopiero jedna warstwa pekińskiej strategii. Drugą, i to ona była prawdziwym narzędziem Xi podczas szczytu, jest wojna psychologiczna.

Twarde dane są jeszcze ważniejsze. Pakiet sprzedaży broni dla Tajpej z grudnia 2025 roku, pierwszy rok drugiej kadencji Trumpa, był rekordowy w historii relacji amerykańsko-tajwańskich: 11,1 mld dolarów. Zawierał 82 wyrzutnie HIMARS, 420 rakiet ATACMS, 60 samobieżnych haubic, pociski Javelin i drony ALTIUS. Wartość tego jednego pakietu przekroczyła wartość całej czteroletniej sprzedaży broni do Tajwanu za kadencji Bidena (8,4 mld dolarów). Dla porównania, administracja Obamy przez ponad cztery lata, od 2011 do 2015 roku, w ogóle nie sprzedawała Tajwanowi

broni; był to najdłuższy taki paraliż w historii ustawy o relacjach z Tajwanem. Kraj, który ma być rzekomo „poświęcony" przez Trumpa, dostaje od jego administracji więcej broni i szybciej niż od jakiegokolwiek demokratycznego poprzednika.

Sama reakcja Tajpej jest wymowna. Prezydent Lai Ching-te podziękował na Facebooku Trumpowi za „nieustanną dbałość o pokój i stabilność w Cieśninie Tajwańskiej". „Tajwan nigdy nie zostanie poświęcony ani odsprzedany" – stwierdził. A rynki dały jeszcze trzeźwiejszą odpowiedź: tajwańska giełda w dniu szczytu rosła, należąc do najmocniej zyskujących w regionie. Inwestorzy, którzy mają realne pieniądze do stracenia, gdyby Tajwan rzeczywiście był „sprzedawany", wycenili to inaczej niż antytrumpowskie redakcje. To nie język ani zachowanie kraju zdradzonego.

W Polsce też nie zabrakło histerii wokół Tajwanu; ekspertami od Dalekiego Wschodu stali się nagle Tomasz Lis i Roman Giertych i powielali oni tezę o „opuszczeniu Tajwanu", dorabiając do niej automatyczny ciąg dalszy: skoro Trump zdradził Tajwan, zdradzi też pozostałych sojuszników. Tymczasem dokładnie po zakończeniu wizyty w Pekinie Trump z pokładu Air Force One zadzwonił do premier Japonii Sanae Takaichi, potwierdzając „niezachwiany» sojusz amerykańsko-japoński – sygnał czytelny dla całego Indo-Pacyfiku. Polska panika opierała się na faktach, które nie zaszły, i ignorowała te, które właśnie zaszły. To już nie naiwność. To pożytek dla propagandy rosyjsko-chińskiej.

» Co z tego wynika

Wizyta w Pekinie powiedziała nam więcej o stanie Zachodu niż o samych Chinach. O Chinach dowiedzieliśmy się tego, co i tak wiedzieliśmy, że to klatka. Najbardziej zaawansowane technologicznie laboratorium kontroli totalitarnej, które KPCh chętnie eksportowałaby jako model globalny. To, że zanim amerykańscy urzędnicy weszli na pokład Air Force One, wyrzucili do kosza wszystko, co dostali od gospodarzy, było potwierdzeniem, a nie odkryciem.

Bardziej niepokojąca okazała się reakcja samego Zachodu. Xi pierwszego dnia szczytu zaserwował Trumpowi pułapkę Tukidydesa, instrument wojny kognitywnej, którego celem nie jest opis świata, lecz uzyskanie określonej reakcji: skłonienie przeciwnika do dobrowolnej akomodacji. I część Zachodu, w tym znaczna część polskiej publicystyki, zareagowała dokładnie tak, jak Pekin tego sobie życzył. Zamiast pytać, dlaczego Xi sięgnął akurat po tę figurę, twierdzono, że Xi wystraszył Trumpa. Zamiast analizować to, co Trump rzeczywiście zrobił dla Tajwanu i regionu – rekordowy pakiet broni, telefon do Tokio z Air Force One, niezmienione stanowisko Rubio – alarmowano, że Tajwan został „sprzedany", a Polska będzie następna. To pokazuje słabość, która jest groźniejsza niż chińskie ambicje. Pekin używa narracji jako broni, a Zachód, który daje się tą narracją prowadzić, sam siebie rozbraja. I robi to za darmo, w imię klikalności, partyjnej walki politycznej albo intelektualnej wygody. Nie potrzeba do tego Pekinu ani Moskwy, wystarczą publicyści i politycy, którzy nie odróżniają analizy od projekcji własnych emocji.

Czas pokaże, czy chińskie obietnice handlowe są coś warte; pamięć z 2020 roku każe wątpić. Ale to drobiazg wobec sprawy poważniejszej: czy Zachód odzyska zdolność czytania rzeczywistości samodzielnie, czy dalej będzie powtarzał scenariusz pisany w Pekinie i Moskwie. Bo każda powtórzona alarmistyczna fałszywka jest cegłą wmurowaną w mur, którego nasi przeciwnicy nawet nie musieli budować sami. ■

Antoni Rybczyński

Czarna flaga nad Czarnym Lądem. Dżihad w Afryce

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLINSKI AI

Islamski radykalizm, terroryzm, Al-Kaida, Państwo Islamskie – przez długie lata wszystko to kojarzyło się głównie z Bliskim Wschodem. Jednak dziś trzeba otwarcie powiedzieć, że bastionem dżihadu jest Afryka – i to wcale nie ta północna, arabska. Co ważne, za sukcesami islamistycznych rebelii stoi nie tyle fanatyczna wiara w Allaha, ile fatalne warunki bytowe. Tym groźniej wygląda perspektywa nowej fali imigracji zalewającej Europę z południa.

Grupy dżihadystyczne stanowią coraz większe i rozprzestrzeniające się zagrożenie w Afryce. Islamscy bojownicy są coraz silniejsi, atakując siły rządowe i ludność cywilną w wielu regionach kontynentu. Liczba ofiar śmiertelnych związanych z ich aktywnością w 2025 roku sięgnęła niemal 24 tys. – co oznaczało wzrost o jedną czwartą w porównaniu z rokiem poprzednim. Afryka Subsaharyjska odpowiada obecnie za ponad połowę wszystkich ofiar śmiertelnych terroryzmu na świecie, a sześć z dziesięciu najbardziej dotkniętych tym problemem krajów znajduje się na Czarnym Lądzie.

» Afrykańska mapa dżihadu

Patrząc na mapę kontynentu, wyraźnie wskazać można kilka regionów szczególnie dotkniętych islamskim terroryzmem. Przede wszystkim to zachodnia część Sahelu: Mali, Niger i Burkina Faso. Stąd zagrożenie zaczyna się rozlewać na kraje sąsiednie, leżące nad Zatoką Gwinejską. Kolejne ognisko dżihadu to leżący nieco na wschód basen Jeziora Czad: tutaj islamiści aktywni są głównie w Nigerii, ale też Czadzie, Nigrze i Kamerunie. Pod względem zagrożenia i intensywności działań islamistów trzecim obszarem Afryki jest Somalia, kolebka organizacji Al-Shabaab. Łącznie – Sahel, Somalia i basen Jeziora Czad – odpowiadają za 98 proc. wszystkich ofiar śmiertelnych związanych z działalnością dżihadystów w Afryce. Ale są jeszcze dwa obszary na kontynencie, gdzie zbrojny islamizm pozostaje poważnym problemem: to pogranicze Demokratycznej Republiki Konga z Ugandą, Rwandą i Burundi (region Wielkich Jezior) oraz północ Mozambiku.

Kim są dżihadyści podpalający wymienione wyżej części Afryki? Oprócz rozległej sieci podmiotów powiązanych z Państwem Islamskim (IS), rozciągającej się od Afryki Zachodniej po Somalię i Mozambik, bardzo groźne są grupy identyfikujące się z Al-Kaidą: zwłaszcza Al-Shabaab w Rogu Afryki i Jama'at Nusrat al-Islam wal-Muslimin (JNIM) w zachodnim Sahelu. Są też ugrupowania lokalne, jak choćby Boko Haram w Nigerii. Państwo Islamskie (IS), które narodziło się wszak na Bliskim Wschodzie i nawet zdołało na krótko zbudować w Syrii i Iraku quasi-kalifat z terytorium, stolicą i administracją, zdecydowanie skupia się obecnie na Afryce. Według ACLED, ośrodka analitycznego śledzącego konflikty na świecie, w pierwszym kwartale 2026 roku aż 86 proc. aktywności IS miało miejsce na Czarnym Lądzie, w porównaniu z 49 proc. w całym 2024 i 79 proc. w 2025 roku. Ostatnio jednak zdecydowanie najpotężniejszą i święcącą najwięcej sukcesów grupą islamistyczną w Afryce jest związany z Al-Kaidą JNIM: od 2017 roku przeprowadził ponad

16 tys. ataków, w których zginęło prawie 40 tys. osób w Mali, Burkina Faso, Nigrze, Beninie i Togo. Zasięg tych organizacji wykracza poza granice państwowe, zagrażając stabilności afrykańskich rządów i podtrzymując globalne sieci bojowników oraz przemytu. Są one w stanie kontrolować rozległe obszary, przeprowadzać złożone ataki na ważne cele wojskowe, zakłócać funkcjonowanie kluczowej infrastruktury zasobowej i komunikacyjnej, a nawet zagrażać stolicom państw, takim jak somalijskie Mogadiszu czy malijskie Bamako. Mniejsze ugrupowania, takie jak Zjednoczone Siły Demokratyczne (ADF) w Demokratycznej Republice Konga czy Prowincja IS w Mozambiku (ISM), częściej stosują przemoc wobec ludności cywilnej w celu pozyskania zasobów, umacniania kontroli i pozyskiwania nowych rekrutów.

Ekspansja dżihadystów jest możliwa dzięki coraz większemu zaawansowaniu broni i taktyki. Podczas gdy niektóre grupy islamistyczne, takie jak somalijskie i środkowoafrykańskie oddziały IS, mają dostęp głównie do prymitywnej broni i broni ręcznej, inne dysponują bardziej zaawansowanym technologicznie uzbrojeniem. Wykorzystanie przenośnego internetu satelitarnego oraz systemów bezzałogowych statków powietrznych (UAV) zwiększyło możliwości operacyjne grup dżihadystycznych w Afryce Zachodniej i Wschodniej, gdzie coraz częściej wykorzystują one drony do celów bojowych, rozpoznawczych i propagandowych. JNIM i grupy Państwa Islamskiego w Sahelu zdobyły również broń ciężką i sprzęt podczas udanych nalotów na bazy wojskowe. Nakładanie blokad na komunikację, wykorzystywanie napięć społecznych oraz strategiczne stosowanie przemocy wobec ludności cywilnej wskazują na ciągłe unowocześnianie taktyk przez te grupy. Ekspansja nie ogranicza się wyłącznie do działań zbrojnych. Islamiści rozbudowują transgraniczne sieci przemytnicze, pobierają podatki od ludności na kontrolowanych przez siebie terytoriach i przedstawiają się jako gwaranci bezpieczeństwa i sprawiedliwości, gromadząc znaczne środki na utrzymanie swoich operacji wojskowych.

» Na drodze do kalifatu

Według Globalnego Indeksu Terroryzmu Sahel obecnie odpowiada za „co piąty atak grup bojowników na całym świecie i 51 proc. ofiar śmiertelnych" i jest „globalnym epicentrum terroryzmu". Mali, Burkina Faso i Niger znalazły się pod silną presją islamistycznych grup, które posuwają się na południe i w głąb bardziej zaludnionych obszarów w każdym z tych krajów. Przemoc jest w dużej mierze napędzana przez JNIM, która odpowiada za niemal 80 proc. ofiar śmiertelnych w regionie w ciągu ostatniego roku. Najgorzej pod tym względem jest w Mali, gdzie JNIM zawarł sojusz taktyczny z separatystami tuareskimi z Frontu Wyzwolenia Azawadu (FLA) i rozpoczął tej wiosny wielką ofensywę przeciwko siłom wojskowej junty i wspierającym ją rosyjskim najemnikom z Korpusu Afrykańskiego. Ruch kontroluje obecnie rozległe obszary w północnej, środkowej, południowej i zachodniej części Mali; opanował też znaczne obszary w Burkina Faso oraz regularnie przeprowadza ataki w południowo-zachodniej części Nigru. Na tych terytoriach JNIM stworzył formę rządów, która pozwala mu przedstawiać się jako alternatywa dla państwa. Wprowadził prostą strukturę administracyjną, która jest w stanie wymierzać sprawiedliwość zgodnie z jego wersją prawa islamskiego, pobierać podatki i w inny sposób sprawować kontrolę społeczną. JNIM nie chce być postrzegany jako radykalny projekt polityczny, który narzuci się społeczeństwu, ale raczej jako alternatywa polityczna i religijna, którą społeczeństwo byłoby skłonne poprzeć.

Rywalem JNIM w Sahelu jest regionalna filia Daesh, czyli ISGS (Państwo Islamskie w Wielkiej Saharze), działające głównie w zachodnim Nigrze i wschodnim Mali. Konsoliduje ono swoją bazę na północ od Niamey, przygotowując się do głębszych najazdów na terytorium Nigru. Wraz z ekspansją obu ugrupowań nasila się między nimi rywalizacja, dochodzi do zbrojnych starć w zachodnim Burkina Faso i północnym Mali, w okolicach Gao i Timbuktu. Obie organizacje jednocześnie stosują przemoc wobec ludności cywilnej. Karzą społeczności postrzegane jako sprzymierzone z siłami państwowymi lub rywalizującymi milicjami, dokonując masakr i organizując wysiedlenia. Obie organizacje prowadzą też wojnę ekonomiczną, aby pozbawić państwo zasobów, podważyć jego autorytet i zakłócić działalność gospodarczą. JNIM atakuje w Mali kopalnie, fabryki, blokuje dostawy paliwa do stolicy. ISGS atakowało rurociąg naftowy Niger–Benin i uderzało na infrastrukturę krytyczną i instalacje wojskowe, czego przykładem jest atak na lotnisko w Niamey w styczniu 2026 roku. Jest oczywiste, że Mali znajduje się na agendzie dżihadystów jako kraj, który w najbliższych tygodniach, miesiącach, a nawet latach najprawdopodobniej stanie się nowym, podatnym terenem do utworzenia kalifatu. Dlaczego? Po prostu dlatego, że jest odizolowane w regionie, pozbawione dostępu do morza, oddalone od Francji i pozostaje w ciągłym napięciu ze swoim algierskim sąsiadem. Ponadto jego partnerzy w Sojuszu Państw Sahelu (AES), również junty wojskowe w Burkina Faso i Niger, sami mają problem z islamistami. Jeśli chodzi o Rosję, kilka tysięcy najemników nie zdoła osiągnąć tego, co wcześniej nie udało się choćby armii francuskiej.

» Pod sztandarami IS i Al-Kaidy

Na wschód od zdestabilizowanego trójkąta sahelskiego znajduje się kolejne wielkie ognisko dżihadu: basen Jeziora Czad. Tutaj w ubiegłym roku odnotowano wzrost liczby ofiar śmiertelnych islamistów o blisko jedną trzecią – tak źle nie było od 2015 roku, czyli szczytowego okresu potęgi Boko Haram. Drugim obok tej organizacji największym podmiotem dżihadystycznym w tej części Afryki jest filia Państwa Islamskiego, czyli ISWA (Państwo Islamskie w Afryce Zachodniej). Najgorzej sytuacja wygląda w północno-wschodniej Nigerii i południowo-zachodnim Czadzie, ale do ataków dochodzi też w sąsiadujących obszarach Nigru i Kamerunu. Sytuacja na północy Nigerii stała się tak poważna, że interweniować postanowiły Stany Zjednoczone (potężna fala nalotów na islamistów w grudniu ubiegłego roku). Niedawno zaś w wyniku wspólnej operacji amerykańsko-nigeryjskiej zabito Abu Bilala al-Minukiego, który był uznawany za numer dwa w globalnej strukturze IS.

Największy wzrost liczby ofiar śmiertelnych islamistów spośród wszystkich regionów Afryki w ubiegłym roku odnotowano jednak w Somalii: blisko 9 tys., a więc niemal dwa razy więcej niż w 2024 roku. Tutaj głównym zagrożeniem pozostaje Al-Shabaab, która ostatnio poczyniła zdobycze terytorialne w środkowych i południowych regionach kraju, zbliżając się na odległość 50 km od Mogadiszu. Al-Shabaab podobno przeznacza około jedną czwartą swoich funduszy operacyjnych na zakup broni od Huti i jemeńskiej filii Al-Kaidy (AQAP). Dwa pozostałe obszary Afryki z dużą aktywnością islamistów to region Wielkich Jezior (pogranicze Demokratycznej Republiki Konga i Ugandy) oraz północny Mozambik. W tym pierwszym zwiększyła się aktywność oddziałów ADF, znanych też jako Prowincja Państwa Islamskiego w Afryce Środkowej (ISCAP). Wykorzystują destabilizację regionu przez rebelię Ruchu 23 Marca (M23) wymierzoną w kongijskie władze,

a wspieraną przez sąsiednią Rwandę. Nie są poważnym zagrożeniem dla sił rządowych, ale terroryzują skutecznie ludność cywilną – dokonując rzezi we wsiach zamieszkanych przez chrześcijan. Z inną filią IS, czyli Państwem Islamskim Mozambiku (ISM), od lat nie może poradzić sobie tamtejszy rząd, mimo wsparcia kilku tysięcy żołnierzy z innych krajów afrykańskich. Dżihadyści działają w prowincji Cabo Delgado z jej podmorskimi zasobami gazu. W ciągu ostatniego roku odnotowano tutaj 51-proc. wzrost liczby ofiar śmiertelnych, z czego połowa to cywile (to wyższy odsetek niż w jakimkolwiek innym regionie na kontynencie).

» Europa musi mieć się na baczności

W wymienionych regionach Afryki islamistyczne rebelie utrzymują się od kilku, a nawet kilkunastu lat. To zagrożenie dobrze znane także Zachodowi – zagraża nie tylko bezpieczeństwu wielu państw afrykańskich, lecz także uderza w interesy ekonomiczne krajów spoza kontynentu i napędza migrację do Europy. W ostatnim czasie sytuacja jednak znacząco się pogarsza, a to, co powinno najbardziej niepokoić Stary Kontynent, to rozszerzanie się dżihadu na nadmorskie kraje Afryki Zachodniej. Regiony Mali, Nigru i Burkina Faso graniczące z Beninem, Nigrem i Nigerią stopniowo stają się strategicznym punktem dla grup zbrojnych z Sahelu i obszarów północnej Nigerii. JNIM oraz ISGS wzmacniają tam swoją obecność, tworząc sieć terytorialną łączącą obszary, które wcześniej były odizolowane. W przeciwieństwie do sporadycznych wtargnięć obserwowanych w przeszłości, ta aktywność świadczy o planie trwałej ekspansji. Benin i Togo stały się szczególnie narażone na infiltrację i destabilizację. W tym pierwszym liczba ofiar śmiertelnych w ubiegłym roku wzrosła aż o 76 proc., a JNIM mianował swojego emira w tym kraju. Ale obecnie o zagrożeniu mówią wszystkie kraje regionu, w tym Ghana, Wybrzeże Kości Słoniowej, Gwinea, Sierra Leone i Liberia. Kraje, które nie są jeszcze bezpośrednio atakowane przez terrorystów, poza źródłem rekrutów, są również źródłem broni. Pieniądze na broń dżihadyści zdobywają, handlując nielegalnie wydobytym złotem, porywając ludzi dla okupu, a ostatnio porywając całe stada zwierząt gospodarskich, co stało się prawdziwą plagą od Senegalu po Nigerię.

Ryzyko rozprzestrzenienia się wojującego islamizmu przez nieszczelne granice Afryki Zachodniej, dotykające nawet stabilne demokracje, takie jak Senegal i Ghana, jest realne. W obliczu biedy i rządów islamistów wielu ludzi zdecyduje się wyjechać za granicę. Kraje europejskie muszą przygotować się na większą migrację. Region Sahelu, pomimo swojego geograficznego oddalenia od Europy, nie jest odizolowany: miliony Malijczyków i mieszkańców Burkina Faso już teraz pracują w Senegalu i Wybrzeżu Kości Słoniowej leżących nad Atlantykiem i dobrze skomunikowanych z Europą. Według agencji Frontex Malijczycy już teraz znajdują się w pierwszej trójce narodowości przybywających na hiszpańskie Wyspy Kanaryjskie, kluczowy punkt tranzytowy dla afrykańskich migrantów podróżujących do Europy. Na Zachodzie radykalizacja jest często kształtowana przez ideologię i sieci internetowe. W Afryce Subsaharyjskiej czynniki te są bardziej bezpośrednie i materialne. Głównym, szczególnie w ciągu ostatnich pięciu lat, jest brak możliwości ekonomicznych. Operacje wojskowe mogą w krótkim okresie osłabić grupy islamistyczne i ograniczyć ataki, ale w niewielkim stopniu wpływają na głębsze przyczyny rekrutacji, w tym ubóstwo, słabe rządy i nadużycia ze strony państwa. ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

» **Chiny–Kościół podziemny**

15 kwietnia organizacja Human Rights Watch (HRW) opublikowała raport, który powinien wstrząsnąć Watykanem. Dokument opisuje, jak Komunistyczna Partia Chin (KPCh), mimo porozumienia ze Stolicą Apostolską, kontynuuje likwidację chińskiego Kościoła podziemnego, który przez dziesięciolecia trwał w wierności papieżowi mimo represji. Liczba katolików w Chinach szacowana jest na około 12 mln, podzielonych między oficjalny Kościół „patriotyczny" i Kościół podziemny, lojalny wobec Rzymu.

„Dekadę po rozpoczęciu kampanii sinizacji (przymusowego dostosowywania religii do chińskiej kultury i ideologii KPCh) przez Xi Jinpinga katolicy w Chinach doświadczają narastających represji. Papież Leon XIV powinien pilnie dokonać przeglądu porozumienia z 2018 roku i naciskać na Pekin, aby zakończył prześladowania Kościołów podziemnych" – oświadczył Yalkun Uluyol, specjalista ds. Chin w HRW. Raport opiera się na rozmowach z dziewięcioma osobami przebywającymi obecnie poza Chinami, mającymi bezpośrednie doświadczenie tego, jak wygląda życie katolików w tym kraju. Ich relacje są dramatyczne: aresztowania biskupów i księży, przymusowe zaginięcia, zakaz nauczania i ewangelizowania w internecie, zamykanie kont bankowych, blokowanie kart SIM i odbieranie paszportów księżom, którzy odmawiają wstąpienia do Stowarzyszenia Patriotycznego. Jeden z duchownych po wyjściu z aresztu „ledwo jest w stanie przetrwać dzień czy dwa". W niektórych regionach wierni zaczęli organizować „fałszywe wesela", żeby móc się modlić bez nadzoru.

Najmocniej jednak w raporcie uderza analiza samego porozumienia z 22 września 2018 roku, którego pełna treść do dziś nie została opublikowana. Mimo to dokument odnawiano już trzykrotnie – w październiku 2020 i 2022 roku na dwuletnie okresy, a 22 października 2024 roku Watykan przedłużył je aż do 2028 roku. Świadkowie cytowani przez HRW twierdzą, że porozumienie „stworzyło ramy umożliwiające władzom wywieranie presji na katolików podziemnych", a wierni „czują się zdradzeni przez Watykan". Jeden z byłych członków Kościoła podziemnego, który opuścił Chiny w 2024 roku, ujął to bez ogródek: zostało ono wykorzystane przez KPCh „jako najinteligentniejsza broń do legalnego zniszczenia Kościołów podziemnych". Dwóch

prześladowanych biskupów podziemnych zostało już „uznanych" przez Pekin, dwóch kolejnych przebywa w areszcie domowym z posługą poddaną kontroli biskupów mianowanych przez władze.

Reakcja Stolicy Apostolskiej na raport HRW była minimalna; rzecznik Watykanu Matteo Bruni nie odpowiedział na prośbę o komentarz, a sam papież Leon XIV podczas pielgrzymki do Kamerunu odpowiedział wymijająco, że „prowadzi rozmowy na kilku poziomach", a „sytuacja jest bardzo trudna". Pekin zareagował klasycznie: chińskie MSZ oświadczyło, że HRW „fabrykuje kłamstwa i plotki i nie posiada żadnej wiarygodności". Tymczasem Nina Shea, dyrektor Centrum Wolności Religijnej w Hudson Institute, przypomniała, że Benedykt XVI ustanowił 24 maja Światowym Dniem Modlitwy za Kościół w Chinach, „lecz w ostatnich latach został on praktycznie zapomniany i nie był promowany przez Watykan". W tym roku, tuż przed Dniem Modlitwy, kardynał Stephen Chow z Hongkongu wezwał wiernych do modlitwy, „aby Leon XIV mógł postawić stopę na ziemi chińskiej jako papież".

» Filipiny – cyjanek, blokada i „szara strefa"

Ostatni miesiąc przyniósł na Morzu Południowochińskim eskalację, która nie jest jeszcze wojną, ale już dawno przestała być zwykłym sporem dyplomatycznym. 14 kwietnia filipiński Departament Bezpieczeństwa Narodowego oskarżył chińskich rybaków o zrzucanie cyjanku do wód wokół rafy Second Thomas Shoal (filipińska nazwa: Ayungin), gdzie stacjonują filipińscy żołnierze na osadzonym na mieliźnie okręcie desantowym Sierra Madre. Cel – zdaniem Manili – był prosty: zabić ryby wokół rafy i tym samym pozbawić załogę głównego źródła pożywienia. Rzecznik filipińskich władz Jonathan Malaya nazwał to wprost „formą sabotażu". Według filipińskich służb od początku 2025 roku wielokrotnie obserwowano na chińskich kutrach żółte butelki popularnych marek płynu do mycia naczyń – w rzeczywistości zawierające cyjanek. Rzecznik chińskiego MSZ Guo Jiakun odrzucił zarzuty jako „niewiarygodne i niewarte polemiki".

Dzień po oskarżeniach Manili agencja Reuters – powołując się na zdjęcia satelitarne z 10 i 11 kwietnia – ujawniła, że Chiny ponownie zablokowały wejście do laguny Scarborough Shoal ławicy w filipińskiej wyłącznej strefie ekonomicznej. Od 2012 roku jest ona faktycznie kontrolowana przez Pekin, a we wrześniu 2025 roku została ogłoszona chińskim Narodowym Rezerwatem Przyrody Wyspy Huangyan, co Manila nazwała „oczywistym pretekstem do okupacji". Międzynarodowy Trybunał Arbitrażowy w Hadze już w 2016 roku orzekł, że chińskie roszczenia oparte o tzw. linię dziewięciu kresek (umowną granicę obejmującą około 90 proc. Morza Południowochińskiego) nie mają „skutków prawnych", lecz Pekin konsekwentnie ignoruje wyrok.

Symbolicznym tłem dla całej tej eskalacji stały się największe w historii doroczne amerykańsko-filipińskie manewry Balikatan 2026. Na przełomie kwietnia i maja uczestniczyło w nich blisko 16 tys. żołnierzy z dodatkowymi kontyngentami z Japonii, Australii, Kanady i Francji; po raz pierwszy testowano amerykańskie systemy rakietowe Typhon zdolne do odpalania pocisków Tomahawk. Pekin odpowiedział, że Filipiny „nakłaniają państwa spoza regionu do organizacji tzw. wspólnych patroli", co „zakłóca pokój i stabilność w regionie".

Filipiński gen. Romeo Brawner ostrzegł, że Manila „nie pozwoli", aby to, co stało się z rafą Mischief w latach 90., czyli cicha aneksja i militaryzacja, powtórzyło się na Scarborough.

Tego, co dzieje się obecnie na Morzu Południowochińskim, nie da się sprowadzić do lokalnego sporu o kilka skał. To podręcznikowy przykład chińskiej strategii „szarej strefy", tj. systematycznej presji poniżej progu wojny, której celem jest zmiana terytorialnego status quo bez wystrzału. Pekin doskonale wybiera moment: gdy uwaga Waszyngtonu skupiona jest na wojnie w Iranie i cieśninie Ormuz, w Azji Południowo-Wschodniej krok po kroku przekształca faktyczną kontrolę w trwałą okupację. To test dla całego regionu: czy międzynarodowe prawo morskie nadal cokolwiek znaczy, czy w XXI wieku wraca zasada, że rację ma silniejszy.

» Bangladesz – chrześcijanka w parlamencie kraju z 91 proc. muzułmanów

3 maja w parlamencie Bangladeszu, kraju, w którym muzułmanie stanowią 91 proc. ludności, a chrześcijanie zaledwie 0,3 proc. (około 500 tys. osób), przysięgę poselską złożyła Anna Minj. Katoliczka, członek rdzennego ludu Oraon (zwanego też Kurukh, drawidyjskiej mniejszości plemiennej, która osiedliła się w północnym Bangladeszu w czasach mongolskich i w 1971 roku ramię w ramię z Bengalczykami walczyła o niepodległość kraju), została pierwszą w historii kobietą chrześcijanką z mniejszości etnicznej. Minj objęła jedno z 50 zarezerwowanych dla kobiet miejsc w 350-osobowym parlamencie z ramienia Bangladeskiej Partii Nacjonalistycznej (BNP), która 12 lutego wygrała wybory dwoma trzecimi głosów.

To wydarzenie ma znaczenie wykraczające daleko poza karierę jednej osoby. Anna Minj reprezentuje dwie marginalizowane mniejszości – chrześcijan i ludność rdzenną. „Jako chrześcijanka i kobieta z ludności rdzennej reprezentuje podwójną mniejszość. Mamy nadzieję, że będzie głosem w sprawach praw człowieka, praw do ziemi i bezpieczeństwa" – powiedział agencji UCA News bp Gervas Rozario z Rajshahi. Nirmol Rozario, przewodniczący Bangladeskiego Stowarzyszenia Chrześcijan, dodał: „Bez uczestnictwa politycznego mniejszościom, takim jak chrześcijanie, trudno zapewnić rozwój".

Kontekst polityczny jest tu istotny. W sierpniu 2024 roku masowe protesty młodzieży obaliły rząd premier Sheikh Hasiny, otwarcie wrogiej chrześcijanom, których w maju 2024 roku publicznie oskarżyła o spisek w celu „wykrojenia" niezależnego państwa z Bangladeszu i Mjanmy. Po półtorarocznych rządach tymczasowych lutowe wybory wygrała BNP, partia o liberalno-demokratycznej orientacji. Organizacja Open Doors klasyfikuje obecnie Bangladesz na 33. miejscu w Światowym Indeksie Prześladowań – wskazano na nasilenie ataków islamistycznych. Zwycięstwo BNP w wyborach daje chrześcijanom oraz innym mniejszościom nadzieję na ochronę.

Sama Anna Minj nie jest postacią przypadkową. Od dziesięcioleci pracowała m.in. w Caritas Bangladesz, zajmując się walką z ubóstwem oraz prawami kobiet i ludności rdzennej. W kraju, w którym jeszcze dwa lata temu premier publicznie oskarżała chrześcijan o zdradę stanu, sam fakt, że córka ludu Oraon składa przysięgę w narodowym parlamencie, jest cichą rewolucją i przypomnieniem, że historia chrześcijaństwa w Azji jest pisana nie tylko przez prześladowania, lecz także przez takie pojedyncze, dające nadzieję momenty. ■

opracował **Antoni Rybczyński**

Kryzys w Putinlandzie

Kiepskie perspektywy wojenne, problemy gospodarcze, wrzenie w elitach, frustracja społeczeństwa – niewątpliwie putinizm wszedł w nową fazę. Niewątpliwie kryzysową, ale czy to już początek końca? Biorąc pod uwagę, że mowa o Rosji, nie jest to wcale takie pewne.

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLINSKI AI

W ostatnich miesiącach na zazwyczaj spokojnych wodach rosyjskiej polityki pojawiły się niewielkie, lecz zauważalne fale – nie są one jeszcze oznaką, że pozycja Władimira Putina jest bezpośrednio zagrożona, ale wskazują, że wojna na Ukrainie zaczyna znacząco zmieniać gospodarkę i politykę kraju.

» Władza wyłącza internet

Obecne napięcia zaczęły pojawiać się na początku roku, kiedy Kreml zakazał lub ograniczył dostęp do większości komunikatorów, z wyjątkiem jednego, który został opracowany przez państwo. W ciągu następnych trzech tygodni w centrum Moskwy ograniczono lub całkowicie wyłączono mobilny internet. Te represje – które nastąpiły w kontekście kurczącej się gospodarki, rosnących kosztów, podwyżek podatków oraz ukraińskich ataków dronów na sektor energetyczny kraju – doprowadziły do rzadkiego wybuchu niezadowolenia społecznego i równie rzadkiego przyznania się Putina do tego niezadowolenia. Odnosząc się do przerw w dostępie do internetu, powiedział: „Niestety, to się zdarza", ale dał jasno do zrozumienia, że kwestie bezpieczeństwa Rosji mają nadrzędne znaczenie (Yoshua Yaffa, „Pogłoski o niestabilności w Moskwie", „New Yorker", 8 maja 2026). Reakcja rosyjskiego aparatu bezpieczeństwa tylko pogarsza sytuację. Istnieją dowody na walki wewnętrzne wśród służb bezpieczeństwa, które obwiniają się nawzajem za uchybienia w zakresie bezpieczeństwa, które rzekomo pozwoliły na przykład Ukraińcom na zamachy na wysokich rangą oficerów wojskowych. Stosowanie przerw w dostępie do internetu w Moskwie – rzekomo w celu przeciwdziałania ukraińskim atakom dronów – wywołało dalsze powszechne niezadowolenie w jednym z najbardziej zaawansowanych cyfrowo miast na świecie. Zakaz korzystania z aplikacji społecznościowej Telegram, którą szeroko posługują się elity polityczne, tylko dolał oliwy do ognia. Osłabił on również skuteczność działań Rosji na polu walki na Ukrainie, gdzie aplikacja ta była preferowanym środkiem komunikacji wśród żołnierzy na linii frontu (Thomas Graham, „Najnowsza moskiewska parada z okazji Dnia Zwycięstwa ujawnia pęknięcia w Rosji Putina", Council on Foreign Relations, 11 maja 2026).

Te i inne pęknięcia to jeszcze nie dowód na rozpad systemu, ale symptomy jego złego stanu. Widzą je nie tylko ludzie z otoczenia Putina, lecz także zwykli obywatele. Podobnie jak strach przed ukraińskimi dronami, który towarzyszył przygotowaniom do parady zwycięstwa na Placu Czerwonym w piątym roku wojny rosyjsko-ukraińskiej. Ze względu na 45 minut symbolicznej uroczystości Kreml ogłosił jednostronne zawieszenie broni i zagroził „odpowiedzią w postaci masowanego uderzenia na centrum Kijowa" w przypadku jego naruszenia. W rezultacie pojawił się upokarzający dla rosyjskich władz i „patriotów Z" dekret Zełenskiego, zezwalający na przeprowadzenie parady 9 maja. Erozja reżimu przejawia się również w tym, że dwa kraje – Azerbejdżan i Armenia, które Rosja postrzega jako swoją historyczną strefę wpływów – przyjęły u siebie z wizytą Wołodymyra Zełenskiego, pomimo oczywistej niechęci, jaką żywi do niego Putin. Takie wydarzenia pozbawiają autorytetu władzę centralną i samego Putina, a w powietrzu unosi się już buntownicze przekonanie, że „car nie jest prawdziwy". Jak zauważa Aleksander Baunow, ekspert z berlińskiego Centrum Carnegie ds. Badań nad Rosją i Eurazją, choć „władza nadal pozostaje w rękach Putina, magia jego władzy zanika" (Władimir Kim, „Korozja reżimu Putina. Dlaczego na Kremlu się denerwują", „Dzerkało Tyżnia", 13 maja 2026).

» **Wielki terror Putina?**

Tymczasem cała rosyjska gospodarka zaczyna się dusić pod ciężarem licznych zakłóceń i skutków zewnętrznych spowodowanych trwającą od ponad czterech lat wojną na pełną skalę. Wydatki na produkcję wojskowo-przemysłową i premie dla nowych rekrutów doprowadziły do wysokiej inflacji, którą Bank Centralny próbował kontrolować za pomocą wysokich stóp procentowych – wynoszą one 14,4 proc., czyli są prawie dwukrotnie wyższe niż przed wojną. Dzięki wydatkom wojennym PKB Rosji wzrósł o około 4 proc. zarówno w 2023, jak i 2024 roku. W ubiegłym roku wyniósł on zaledwie 1 proc. W zeszłym miesiącu, podczas spotkania urzędników gospodarczych na Kremlu, Putin ujawnił, że PKB w 2026 roku skurczył się jak dotąd o prawie 2 proc., co oznaczałoby, że Rosja stoi obecnie w obliczu recesji (Y. Yaffa, „Pogłoski o niestabilności w Moskwie…"). Ujawnione problemy gospodarcze z pewnością nie wydają się krytyczne. Raczej wyrywają one spod obywateli i elit tę podkładkę, która pomagała im godzić się z przedłużającą się wojną i sankcjami w poprzednich latach. Dzisiaj mówi się czasem, że elity w Rosji straciły „wizję przyszłości". Jest to częściowo prawda. To, co straciły elity, to wiara w to, że reżim jest gwarantem tego, iż ta na razie niezbyt jasna przyszłość ostatecznie nabierze akceptowalnych kształtów (Kiryłł Rogow, „Dzień Niezwyciężstwa: reżim wojennego putinizmu wszedł w okres niestabilności", Re: Russia, 8 maja 2026).

Nerwowość na Kremlu wzrasta również w związku z wrześniowymi wyborami do Dumy Państwowej i na stanowiska szefów kilku regionów. Zastępca szefa Administracji Prezydenta, Siergiej Kirijenko, musi zapewnić wysoką frekwencję wyborczą i wykazać znaczny odsetek poparcia dla Jednej Rosji, a samymi fałszerstwami przy liczeniu głosów tego nie osiągnie. Tym bardziej że na tle pogorszenia się poziomu życia i odcięcia dostępu do internetu rośnie popularność Komunistycznej Partii. Niepokój budzą również wybory w Czeczenii i Dagestanie – dwóch najbardziej problematycznych regionach nie tylko Północnego Kaukazu, lecz także całej Rosji: w tych republikach możliwa jest każda niespodzianka. W rezultacie dzień jednolitego głosowania zmienia się z formalnej procedury we wskaźnik tego, jak skutecznie działa cały system. W tym rów-

CAŁA ROSYJSKA GOSPODARKA ZACZYNA SIĘ DUSIĆ POD CIĘŻAREM LICZNYCH ZAKŁÓCEŃ I SKUTKÓW ZEWNĘTRZNYCH SPOWODOWANYCH TRWAJĄCĄ OD PONAD CZTERECH LAT WOJNĄ NA PEŁNĄ SKALĘ.

nież wtedy, gdy dochodzi do konfrontacji wewnątrz establishmentu, próbującego zdobyć uznanie Putina i dostęp do zasobów finansowych w warunkach kurczenia się „bazy żywieniowej". Na tym tle wyraźnie rośnie rola FSO i, oczywiście, FSB. W końcu za każdym razem, gdy Putin gubi się w tym, co się dzieje, szuka oparcia w systemie, który wydaje mu się własny i jedyny, na którym może polegać, najbardziej bliski i zrozumiały dla niego (W. Kim, „Korozja reżimu Putina…").

Już w ubiegłym roku niezależni obserwatorzy odnotowali wzrost represji wobec rosyjskich elit. Putin wykorzystuje zarzuty korupcyjne, aby zastąpić przywództwo w regionach

przygranicznych osobami wywodzącymi się z wojska lub aparatu bezpieczeństwa. Zmiany te mają częściowo na celu zastraszenie innych elit politycznych i gospodarczych. Rosyjski politolog Władimir Pastuchow uważa, że represje wobec biurokracji zbliżają się już do skali represji skierowanych przeciwko tej samej grupie społecznej podczas wielkiego terroru za rządów Stalina (Kassie Corelli, „Władimir Putin tworzy »nową opryczninę«", Eurasia Daily Monitor, 13 maja 2026). W nowych warunkach dawne zasady przestają obowiązywać i obecnie ani lojalność wobec reżimu, ani bliskość jednej z wież Kremla nie mogą zagwarantować urzędnikom i funkcjonariuszom służb specjalnych z drugiego i niższych szczebli władzy ani menedżerom najwyższego szczebla korporacji państwowych, że nie staną się obiektem zainteresowania „organów" w trakcie kolejnego śledztwa antykorupcyjnego. O wszystkim decyduje tylko jedna osoba – Władimir Putin, który odgrywa rolę superarbitra. Tymczasem dla rosyjskiego społeczeństwa wszczęte postępowania karne to możliwość zaspokojenia głodu sprawiedliwości, dla poruczników i majorów – szansa na karierę, a dla najwyższych władz – sposób na redystrybucję majątku, zasobów finansowych i władzy (W. Kim, „Korozja reżimu Putina…").

» Między wojną a pokojem

Po Paradzie Zwycięstwa w Moskwie Władimir Putin podczas spotkania z weteranami stwierdził, że wojna z Ukrainą „być może wkrótce się zakończy". Może to odzwierciedlać nasilenie dyskusji w rosyjskich kręgach władzy na temat konieczności zakończenia konfliktu, pisze brytyjska gazeta „The i Paper". Według informacji podanych przez gazetę część otoczenia Putina uważa, że wojna osiągnęła „punkt malejących zysków" („W otoczeniu Putina zaczęto mówić o »granicach« wojny: w Kremlu rozważa się ryzyko przedłużającego się konfliktu z Ukrainą", Wiorstka, 13 maja 2026). Wyciekające informacje z administracji prezydenckiej potwierdzają, że grupa doradców jest zajęta opracowywaniem planu politycznego zarządzania przerwą w działaniach bojowych i atakach dalekiego zasięgu, który musi zostać przedstawiony kluczowym grupom elitarnym i szerokiemu społeczeństwu w Rosji jako najlepszy możliwy wynik strategicznego impasu (Pavel K. Baev, „Skrócona parada rozwiewa złudzenie zwycięstwa w wojnie Putina", Eurasia Daily Monitor, 11 maja 2026).

Jednocześnie nacjonalistycznie nastawieni przedstawiciele sił zbrojnych wzywają Putina do kontynuowania ofensywy i liczą na dalszy postęp armii rosyjskiej latem 2026 roku. Niektórzy ultranacjonaliści domagają się eskalacji wojny, w tym nowej mobilizacji („W otoczeniu Putina zaczęto mówić o »granicach« wojny…). Niezadowolenie głównych komentatorów wojskowych z kierunku, w jakim zmierza Rosja, jest oczywiste. Serwis Topwar.ru, który do niedawna pozostawał całkowicie lojalny wobec Kremla, coraz częściej zaczyna stawiać te same pytania co radykalni blogerzy z ruchu Z. Ultrakonserwatywny kanał telewizyjny Cargrad TV otwarcie nazwał ukraińskie ataki dronów na terytorium Rosji katastrofą i opublikował listę rafinerii ropy naftowej, które Ukraina wyłączyła z eksploatacji (K. Corelli, „Władimir Putin tworzy »nową opryczninę«…). „The i Paper" określa Putina jako polityka skłonnego do odkładania trudnych decyzji i zajmowania postawy wyczekującej. Gazeta uważa, że obecnie Kreml zamierza sprawdzić wyniki nowej rosyjskiej ofensywy i być może ponownie spróbuje wykorzystać ataki na infrastrukturę energetyczną Ukrainy zimą („W otoczeniu Putina zaczęto mówić o »granicach« wojny…).

» Kryzys? Tak. Pucz? Nie

Portal „Ważne historie", niezależna rosyjska platforma poświęcona dziennikarstwu śledczemu, opublikował 4 maja raport dotyczący narastających podziałów wśród elit Kremla. Dokument, powołując się na dane wywiadowcze z jednego z krajów UE, stwierdza, że jedną z przyczyn konfliktu jest niezdolność aparatu bezpieczeństwa do zapewnienia ochrony najwyższym dowódcom wojskowym. W raporcie odnotowano również obawy prezydenta Rosji Władimira Putina przed zamachem stanu oraz fakt, że elity Kremla postrzegają sekretarza Rady Bezpieczeństwa Siergieja Szojgu jako potencjalnego inicjatora (K. Corelli, „Władimir Putin tworzy »nową opryczninę«"…). Może to być kolejna wątpliwa informacja wywiadowcza, pojawiająca się po szwedzkim raporcie, który dramatycznie wyolbrzymiał presję na rosyjską gospodarkę. W Europie panuje desperacka potrzeba deus ex machina, jakiegoś cudownego zakończenia wojny na Ukrainie. Myśl o obaleniu Putina w wyniku zamachu stanu lub implozji kraju z pewnością pasuje do tego scenariusza. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy agencje wywiadowcze uległyby pokusie dostarczenia swoim zwierzchnikom tego, co chcą usłyszeć, a nie tego, czego potrzebują (Mark Galeotti, „Nie, Rosja nie jest na krawędzi puczu", „The Spectator", 4 maja 2026). Rosyjski system bezpieczeństwa jest starannie zorganizowany, aby zminimalizować ryzyko zamachu stanu. Różne siły wojskowe i paramilitarne równoważą się nawzajem, a FSO jest pełne lojalistów i uprawnione do monitorowania każdego, kogo uzna za stosowne. Przedstawianie Szojgu jako konkretnego puczysty jest szczególnie śmieszne. Czy to sprawiedliwe, czy nie, to on poniósł główny ciężar krytyki w wojsku za nieudaną początkową inwazję i późniejsze porażki w zakresie przywództwa, strategii i zaopatrzenia. Trwała szeroko zakrojona kampania mająca na celu zwolnienie, postawienie przed sądem lub usunięcie jego kumpli z ministerstwa. Oficerowie, z którymi był związany, w tym szef sztabu generalnego Gierasimow, którego sam mianował, wyraźnie się od niego odcięli. Trudne, a wręcz niemożliwe jest wyobrażenie sobie, że ma on wystarczający autorytet i wiarygodność w wyższych kręgach dowództwa, by przeprowadzić zamach stanu, nie mówiąc już o swobodzie działania pozwalającej mu to zrobić bez zwrócenia na siebie uwagi informatorów, podsłuchów i przechwytywania e-maili (M. Galeotti, „Nie, Rosja nie jest na krawędzi puczu…").

Reżim wojskowego putinizmu wkroczył w nowy okres – znacznie bardziej problematyczny i mniej stabilny niż poprzedni, a odpowiedzi na pytanie, czy reżim poradzi sobie z tymi wyzwaniami i tą niestabilnością, nie otrzymamy ani jutro, ani za miesiąc. Nie warto oczekiwać jego szybkiego upadku. Co więcej, taka perspektywa, jeśli z jakichś powodów pojawi się w najbliższej przyszłości, najprawdopodobniej przestraszy samych dzisiejszych niezadowolonych, którzy stawiają reżimowi swoje nieśmiałe żądania (K. Rogow, „Dzień Niezwyciężtwa…"). Chociaż rosyjski prezydent traci swoją sakralność, a rosyjscy obywatele i elity są niezadowoleni, to samo w sobie nie oznacza jeszcze szybkiego pojawienia się spisku wewnątrz elity ani masowych protestów przeciwko polityce władz centralnych. Nie chodzi tylko o to, że FSB podsłuchuje wszystkich – menedżerów najwyższego szczebla, urzędników, wojskowych – oraz o to, że w otoczeniu Putina wszyscy się ze sobą kłócą. Dla czołówki rosyjskiej elity odsunięcie Putina od władzy grozi nadchodzącym chaosem i możliwym rozpadnięciem się Rosji. A to przeraża (W. Kim, „Korozja reżimu Putina…"). ■



Marek Kalinowski

Flea kontra jazz

Flea od dekad udowadnia, że cztery struny basu mogą prowadzić stadionowy tłum równie skutecznie jak najbardziej charyzmatyczny frontman. Tym razem najbardziej rozpoznawalny basista rocka odkłada jednak swój ukochany instrument i sięga po trąbkę. Czy z równą łatwością podbije świat jazzu?

Red Hot Chili Peppers sprzedali właśnie prawa do swoich nagrań za, bagatela, 300 mln dolarów. Nabywca – w tym przypadku Warner Music Group – może tylko zacierać ręce z zadowolenia. Katalog obejmujący kilkanaście albumów i dziesiątki rockowych przebojów generuje imponujące zyski już z samego streamingu. Muzycy zaś mogliby spokojnie zwolnić tempo na wyczekiwanej, luksusowej emeryturze.

Jak się jednak okazuje, nie wszystkim do emerytury spieszno. Informacja o sprzedaży praw niemal zbiegła się z premierą nowego muzycznego projektu basisty grupy. Flea, znany fanom zespołu z niewyczerpywalnej wręcz energii, tym razem porzucił gitarę basową na rzecz trąbki, instrumentu, z którym, jak sam przyznał, wiążą go niespełnione dziecięce marzenia o zostaniu muzykiem jazzowym.



Flea, HONORA, Nonesuch Records

Widać marzenia, nawet po wielu latach uśpienia, potrafią się spełniać. Choć Flea wciąż pozostaje zdecydowanie lepszym basistą niż trębaczem, to nowa płyta „Honora" okazuje się pozycją wartą uwagi.

Sukces albumu nie wynika jednak z wirtuozerskich umiejętności świeżo upieczonego trębacza, lecz raczej ze spotkania silnych muzycznych osobowości, które udało się zaprosić do współpracy. Już w trzecim utworze „Traffic Lights" za mikrofonem pojawia się Thom Yorke, a kilka numerów dalej czeka jeszcze większa niespodzianka – w nastrojowym coverze „Wichita Lineman" słyszymy charakterystyczny baryton Nicka Cave'a.

Wsparcie znanych rockowych frontmanów okazuje się nieprzypadkowe. Flea w roli wokalisty wypada słabiej niż jako trębacz, co słychać już w pierwszych minutach albumu, gdy bardziej deklamuje niż śpiewa nieszczególnie odkrywcze slogany o „pięknie", „wolności" i „pokoju". Na szczęście całość broni się muzycznie, a w przyjemnie bałaganiarskich aranżacjach wciąż pulsuje energia lidera RHCP.

Szczęśliwie Flea nie próbuje też zbyt długo walczyć z mikrofonem, bo większość materiału pozostaje instrumentalna. Fani Red Hot Chili Peppers bez trudu rozpoznają charakterystyczne funkowe linie basu. Momentami trudno nawet odgadnąć, kiedy odpowiada za nie sam Flea, a kiedy Anna Butterss, nie mniej utalentowana basistka.

Pojawiają się także muzycy z macierzystego zespołu Flea. Tym razem jednak to nie gitara Frusciante, a Jeffa Parkera okaże się głównym motorem do muzycznych dialogów. Ich wspólne jam session w utworze „Morning Cry", obok występu z Cavem, należy bez wątpienia do najmocniejszych momentów całego albumu. ■

FOT. MAT. PRAS.

Tomasz Sakiewicz

Wrogowie demokracji

Zwalczanie niezależnych mediów, cicha akceptacja obozu władzy dla wykorzystania cyberterrorystów do ataków na redakcje, mieszkania dziennikarzy oraz polityków opozycji, łamanie wszelkich procedur przez interweniującą policję, poniżające przeciwników reżimu informacje pochodzące wprost z materiałów policji – to zatrważający obraz stanu demokracji w Polsce. Donald Tusk przejął władzę dzięki oszukaniu wyborców. Ponieważ nie mógł samodzielnie wygrać wyborów, pomógł w powstaniu kilku bloków, z których każdy był zakotwiczony w jego układzie politycznym, ale mógł udawać niezależny. To Tuskowi pozwoliło zyskać niewielką przewagę nad opozycją. Miał przy tym ogromne wsparcie kilku zagranicznych ambasad. Tusk wiedział, że nie dotrzyma większości obietnic złożonych swoim zwolennikom, nie ma też we własnych szeregach ludzi nadających się do zarządzania krajem. Postanowił utrzymać się przy władzy, mocno ograniczając demokrację i obowiązujące w Polsce prawo. Zaczął od napadu na media publiczne. Siłowe wejście do Telewizji Polskiej, Polskiego Radia i Polskiej Agencji Prasowej już powinno było obudzić cały demokratyczny świat. Nie obudziło, bo demokratyczny świat został zdominowany przez rządy liberalnej lewicy, która wie, że jej idee bankrutują. Coraz więcej głosów nawołuje w tych środowiskach do ograniczania demokracji w imię wyższych wartości. O jakie to wartości chodzi? Nie wiadomo, bo nawet istotny element liberalnej religii – globalne ocieplenie, a raczej walka z nim – stanął pod znakiem zapytania. Dla liberalnej lewicy, tak jak dla wszystkich schyłkowych formacji, wartością stało się samo trzymanie się blisko władzy i czerpanie z tego profitów. Bardzo atrakcyjne społecznie to nie jest, a ludzi nie da się w kółko oszukiwać. Stąd atrakcyjność w tych środowiskach działań sprzecznych z podstawowymi prawami obywatelskimi, a nawet prawami człowieka. Bardzo szybko degenerują się podstawowe pojęcia liberalnej lewicy. Najszybciej ich ofiarą pada wolność słowa. Cenzura w internecie, używanie sądów i narzędzi administracyjnych do gnębienia tradycyjnych mediów, zorganizowany hejt wobec osób o innych poglądach, odbieranie prawa do godności, włącznie z brutalnym wkraczaniem w życie prywatne – to poszerzający się arsenał represji wobec osób o innych poglądach. Nie wiadomo, jak daleko są w stanie się posunąć, ale to, co się już stało, dobrze nie wróży. Wielu przedstawicieli władzy nie ma już odwrotu, dlatego coraz bezczelniej podważa równy dostęp do wyborów. Rośnie ryzyko, że staną się one po prostu farsą. Trzeba dmuchać na zimne, póki nie jest za późno. ■

Tusk postanowił utrzymać się przy władzy, mocno ograniczając demokrację i obowiązujące w Polsce prawo.

InPost | GAZETA POLSKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO



Prenumerata Elektroniczna za **1 zł***

NOWOŚĆ!

Gazeta Polska i Nowe Państwo – teraz do odbioru przez Twój Paczkomat® InPost

Dostawa co środę / Bez kolejki / Bez kompromisów

ZESKANUJ

Zamów już teraz!

prenumerata.swsmedia.pl/inpost

*Kupując roczną prenumeratę Gazety Polskiej lub Nowego Państwa, otrzymasz dostęp do wersji elektronicznej za jedyne 1 zł – na cały okres prenumeraty.